

Jurij Kariagin:
Ukraińcy nie chcą płacić mafii

Oscar Romero – arcybiskup
porzucony przez Watykan

Wiesław Kot:
To były numery, Brunner!

Arkady Fiedler
– miłość na Madagaskarze

WYBORY W MAJU TO SZALEŃSTWO



Drodzy Czytelnicy, wiemy, że jesteście roztropni i kierujecie się hasłem #zostajedomu.
Zadbaliśmy, by w tym okropnym czasie nie zabrakło Wam lektur.

Książki PRZEGLĄDU na kwarantannę w domu

KUPUJ BEZPIECZNIE!



Nie korzystasz z internetu?

Poproś kogoś z rodziny lub znajomych, by kupił za Ciebie online.

Zachęcamy do zakupów przez sklep internetowy i wyboru przesyłek z dostawą do domu.

Darmowa dostawa kurierska przy zamówieniu od 69 zł.

Do końca marca przy zamówieniach online można skorzystać z bezpłatnej wysyłki kurierskiej InPost. Aby przesyłka była darmowa, zamówione książki muszą kosztować min. 69 zł. Zwiększ dodatkowo własne bezpieczeństwo i umów się z kurierem, by zostawił paczkę pod drzwiami Twojego domu/mieszkania.

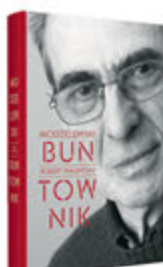
Zobacz wszystkie tytuły na  www.sklep.tygodnikprzeklad.pl



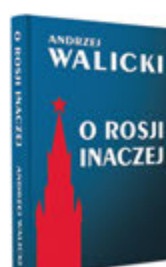
45 zł



49 zł



65 zł



67 zł



Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

CYTATY

OLGIERD GEBLEWICZ,
marszałek województwa
zachodniopomorskiego

*W Polsce mamy
najmniejszą liczbę
badań w Europie.
A jeżeli nie będziemy
badać, to nie będziemy
wykrywać, jeżeli nie
będziemy wykrywać,
to nie będziemy mogli
skutecznie izolować
zakażonych.*

„Życie Regionów”

JAROSŁAW FLIS,
politolog

*Kaczyński nie powinien
od 2015 r. zajmować się
przystrzyganiem Dudy
jak drzewka bonsai.
„Tygodnik Powszechny”*

PIOTR BECZAŁA,
śpiewak operowy

*Trochę tęsknię za Polską.
Ale jak tu pobędę tydzień,
to tęsknię znacznie mniej.
„Gala”*

RENATA PRZEMEK,
wokalistka

*Miłość jest wtedy, kiedy
masz poczucie, że ktoś
jest ważniejszy od ciebie.
„Zwierciadło”*

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Drodzy Czytelnicy

Do zwykłych kłopotów, których i tak na co dzień nie brakuje, doszła epidemia. I nic już nie jest takie jak wcześniej. Również na rynku prasowym. I u nas, w redakcji. To wydanie tygodnika, które właśnie czytacie, przygotowaliśmy metodą eksperymentalną. By zadbać o zdrowie zespołu, ale też by nie obniżyć wymagań, które kiedyś sami sobie postawiliśmy. Część zespołu pracowała w domowej izolacji. Ale większość na miejscu, w redakcji. Ograniczyliśmy bezpośrednie kontakty do minimum. Niestety, nie wszystko da się zrobić zdalnie. By życie w Polsce nie zamarło, miliony ludzi codziennie chodzą do pracy. Szacunek i niskie ukłony.

Niestety, w czasie pandemii nie wystarczy przygotowanie i wydrukowanie tygodnika. Znacznie skomplikowała się późniejsza droga czytelników po gazetę.

Kolporter, Ruch i inni dbają o to, by prasa była powszechnie dostępna.

Myślę, że mimo zarazy warto sięgnąć po nasz tygodnik. Jak bezpiecznie to zrobić? Bardzo liczę na to, że nasi Czytelnicy pokonają i tę przeszkodę.

Naszą reprezentacją jest Izba Wydawców Prasy, której list prezentujemy poniżej.



Niespodziewana w swoim zasięgu epidemia koronawirusa COVID-19 zdewastowała i przeorganizowała nasze życie społeczne i państwowe. Zmusiła nas do nowych zachowań, innej organizacji życia i pracy zawodowej. Brak wiedzy o rozwoju choroby skazuje nas na pełne niepokojące oczekiwanie. To nie jest łatwy czas dla Polaków. Tym ważniejsza jest pełna, rzetelna i wiarygodna informacja, którą przekazuje czytelnikom prasa – w wydaniach papierowych, a także za pośrednictwem mediów elektronicznych. Jej rola w czasie pandemii jest szczególna. Tylko prasa dostarcza wiedzy pogłębionej, eksperckiej, opartej na wielu źródłach. Na dodatek, w przeciwieństwie do radia i telewizji, forma przekazu treści jest trwała, można do niej wielokrotnie wracać. Gazety i czasopisma docierają i powinny docierać do każdego zakątka kraju. Dokładamy wyjątkowych starań, by tak właśnie było. Nie zrezygnowaliśmy z dyżurów dziennikarskich, nie godzimy się na obniżenie jakości naszej pracy, działamy wbrew wszelkim przeciwnościom. By jednak nasza praca była owocna, potrzebujemy współpracy czytelników. Namawiamy do kupowania prasy, do podejmowania prenumeraty, do zapoznawania się z naszą ofertą *online*. Tam, gdzie nie dociera prasa papierowa, sugerujemy, by korzystać z wydań elektronicznych. Oferują je już niemal wszystkie tytuły. Przetrywamy w służbie dla Czytelnika tylko dzięki Czytelnikowi. To relacja nierozdzielna, a dziś wyjątkowo Wam i nam potrzebna. Czytajmy prasę i walczmy o jakość informacji.

Prezes Izby Wydawców Prasy Bogusław Chrobot



Dziękujemy!

Zaczynając program „Pamięć”, którego istotą jest rejestrowanie rozmów z wybitnymi postaciami ze świata polityki, nauki i kultury, wiedzieliśmy, że za wszelką cenę musimy ocalić od zapomnienia ich poglądy i opinie w ważnych dla Polski sprawach. Wiemy, że dziś instytucje państwowe nie są tym zainteresowane. A gdy krótkowzroczne matolki odejdą, może być już za późno. Musimy więc działać sami. Dzięki pierwszym wpłatom możemy już uruchomić leasing sprzętu do filmowania i nagrywania rozmów. Dziękując darczyńcom, zapewniamy, że to dopiero początek działań, które, mamy taką nadzieję, zaowocują piękną filmoteką. Dostępną dla każdego.

**Apelujemy o wsparcie i wpłaty na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3, lok. 7, z dopiskiem „Pamięć”.**



BĄKOWSKI

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Wybory w maju to szaleństwo**
Chcemy wybierać prezydenta za rok
- 12 Do lekarza z przeszkodami, czyli skąd wytrzasnąć e-receptę**
Chory nie na koronawirusa ma problem
- 17 Zadyszka z respiratorami**
Dramatyczny brak sprzętu
- 18 Śmieciówki w czasach zarazy**
Najbardziej poszkodowani pracownicy
- 20 Granice państw nie są granicami dla epidemii**
– rozmowa z Janem Truszczyńskim
- 24 Zamaskowana ulica**
Wietnamczycy w Polsce zamykają biznesy
- 26 Cieszyn i Czeski Cieszyn znów podzieliła granica**
Tęsknimy za sąsiadami
- 30 Robota jest robotą, a któż by bez niej żył**
– rozmowa z Jurijem Kariaginem
- 48 Stan epidemiczny**

HISTORIA

- 34 Oscar Romero – święty Ameryki Łacińskiej**
Korespondencja z Rzymu

KULTURA

- 38 Teatralny rok niebezpiecznych marzeń**
Międzynarodowy Dzień Teatru
- 42 Jak nie zostałem drugim Nabokovem**
– rozmowa z Łukaszem Najderem
- 44 Tylko z nim te numery!**
Wspomnienie o Emilu Karewiczu
- 46 Culturalia**
- 66 Zwiedzanie w domu**

ZAGRANICA

- 50 Lektury pod specjalnym nadzorem**
Książki na indeksie
- 56 Ekologia z narażeniem życia**
Aktywiści zabijani przez mafie

OBSERWACJE

- 52 Arkady Fiedler na Madagaskarze**
Pod urokiem kobiet
- 58 Dekameron 2020**
Rozrywki na czas izolacji

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Drodzy Czytelnicy
- 23 Jan Widacki**
Gdy minie zaraza
- 29 Roman Kurkiewicz**
Wszystkie mundury Andrzeja Dudy
- 37 Tomasz Jastrun**
Trwoga
- 41 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Wenus w Lidlu
- 47 Wojciech Kuczok**
Między słupkami



TEATRALNY ROK NIEBEZPIECZNYCH MARZEŃ

Międzynarodowy
Dzień Teatru

38
KULTURA



48

KRAJ

STAN EPIDEMICZNY



DEKAMERON 2020

Rozrywki na czas izolacji

58
OBSERWACJE

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER



Prof. Stanisław Obirek
Dlaczego odszedłem z Kościoła

Bartosz M. Kowalski,
reżyser
Horror z przymrużeniem oka

W Meksyku codziennie ginie 10 kobiet

f Czy Polacy lekceważą zagrożenie epidemią?

Lekceważą. U nas chodzenie do pracy z grypą, zapaleniem oskrzeli i innymi chorobami to ciągle standard. Wirus, z jakim mamy obecnie do czynienia, to zagrożenie nieporównywalnie mniejsze od codziennych przypadłości, z jakimi borykają się Polacy. Lekceważymy objawy raka, cukrzycy, chorób serca, a nagle przejmujemy się wirusem, z którego powodu zmarło na świecie w ciągu czterech miesięcy mniej osób, niż dziennie umiera z głodu.

Artur Pie

f Legenda wielkiej budowy

Nowa Huta była przekazaniem przez propagandę marzeniem wizjonerów, które pociągnęło za sobą społeczeństwo i dzięki mobilizacji zasobów przerodziło się w rzeczywiste zwycięstwo. Zwycięstwo dziś przemilczane lub wyśmiewane, abyśmy nie mieli śmiałości tak marzyć i domagać się systemu gospodarczego pozwalającego na realizację tak ambitnych wizji.

To PRL zbudował



f Kapitalizm w czarnej dziurze

Jako realista prof. Tadeusz Klementewicz stwierdził, że nasza cywilizacja wciąż jest przemysłowa. Ale uwzględnił też nowe trendy, dodając: „Sama Unia zaczyna korygować konsumpcjonizm, choćby wprowadzając przepisy, że klient musi mieć możliwość naprawy zepsutego urządzenia”. Cóż, w Polsce Ludowej normą były zakłady naprawcze i warsztaty usługowe, gdzie naprawiano np. sprzęt AGD. Trzeba jeszcze sporo zrobić, aby sprostać wymogom proklamacyjnym. I w tym można upatrywać dla nas szansy. Np. zadaniem dla PSL mogłaby być żywność ekologiczna.

Dorota Kaczmarek



✉ Solidarnie z Michnikiem

Sytuacja przypomina 1968 r. Już można „jechać” po Żydach. Dotyczy to przede wszystkim internetu i platform społecznościowych. A w Sztokholmie ambasada RP oficjalnie współpracuje ze skrajnie prawicowymi i faszystującymi organizacjami polonijnymi. Zapraszany jest tam np. pan Michalkiewicz ze swoimi antysemitkami pseudoodczytami. Adam Michnik atakowany jest cały czas zarówno w publikacjach największej polonijnej organizacji (Kongres Polaków w Szwecji), jak i na portalu Poloniainfo.se w Sztokholmie.

Jacek Nadzin



ZDJĘCIE TYGODNIA



Boskim orężem w koronawirusa – ks. Andrzej Ziombra modli się na ulicach Legnicy.

Krzysztof Pietraszkiewicz, prezes Związku Banków Polskich, sprawnie skoordynował działania pomocowe wiodących banków w związku z pandemią.

Wśród najpracowitszych narodów Polacy są na czwartym miejscu tuż za Grekami, Irlandczykami i Szwajcarami. Niestety, często kosztem zdrowia i życia osobistego.

Na wyjątkowo ciepłej ziemie udało się zaoszczędzić: samorządom, które nie musiały wydawać pieniędzy na odśnieżanie, firmom budowlanym, które mogły pracować bez zimowej przerwy, i lokatorom domów i mieszkań, którzy zapłacili niższe rachunki za ogrzewanie i paliwo.

Teatry i muzea przenoszą działalność do internetu. Na spektakle online zapraszają m.in. TR Warszawa, Groteska z Krakowa, Teatr Nowy z Poznania oraz Teatr Wielki-Opera Narodowa czy Teatr Dramatyczny w Białymstoku. Do zwiedzania online zapraszają: Muzeum Narodowe w Krakowie, POLIN, Europejskie Centrum Solidarności. Więcej na stronie www.kulturadostepna.pl.

Tadeusz Woźniak, muzyk i kompozytor, ogłosił konkurs na wykonanie piosenki „Mamela” ocieplającej społeczny wizerunek osób z zespołem Downa. Partnerem konkursu jest Warszawska Szkoła Filmowa.

W 2019 r. 55% dorosłych Polaków wyjechało na wypoczynek poza miejsce stałego zamieszkania. Średni wypoczynek trwał 14,8 dnia (CBOS).

Mariusz Kamiński, minister spraw wewnętrznych i administracji, oraz podległe mu policja i straż graniczna doprowadzili do gigantycznego chaosu na granicy polsko-niemieckiej i polsko-czeskiej. Kompromitujący brak kompetencji i nieudolność.

Abp Wacław Depo, metropolita częstochowski, nie lęka się koronawirusa, choć jego skutki woli przetestować na wiernych, których zachęca do chodzenia na msze i pielgrzymki. A w ogóle uważa koronawirusa za mniejsze zagrożenie niż gender.

Krajowa Rada Sądownictwa, nie dość, że prawnie wątpliwa (zwana neo-KRS), to jeszcze łamie zasady dotyczące zachowania w czasie epidemii. Sędzia Zbigniew Łupina z Biłgoraju zakażony COVID-19 brał udział w posiedzeniu KRS, a jej szef, sędzia Leszek Mazur, kompletnie to zlekceważył.

Jolanta Turczynowicz-Kierzyńska nie jest już szefem kampanii wyborczej prezydenta Dudy. Tak egzotycznej postaci nie miał jeszcze żaden kandydat. Polityka kadrowa PiS gwarantuje dodatkową rozrywkę.

Ks. Piotr M., proboszcz z Ruszowa w powiecie zgorzeleckim, został skazany na pięć lat bezwzględniego więzienia za wykorzystywanie seksualne niepełnosprawnych intelektualnie dziewczynek.

PRZEBŁYSKI

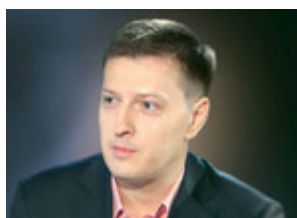
Tramolina do kasy

Znacie takie przysłowie: kto ma prezydenta w rodzie, tego bieda nie ubodzie? Jest prawie zgodne z oryginałem. Tak jak Andrzej Duda jest prawie prezydentem. Zresztą u niego, by dorobić, nie trzeba być z rodziny. Na hojne wsparcie Dudy może liczyć każdy pracownik. Pod warunkiem że jest mu wierny i oddany. Tak jak Małgorzata Sadurska. Przez dwa lata była szefem Kancelarii Prezydenta. Delikatnie mówiąc, bardzo miernym. Ale to było bez znaczenia, gdy PiS rzuciło swoją wieloletnią posłankę na tłustą posadę. Została wiceprezesem PZU do czegoś tam. Trudno uwierzyć, że się na tym zna. Ale uwierzcie, że w ubiegłym roku zarobiła ponad 1,5 mln zł. Daje to ponad 4 tys. zł dziennie. I tak skromnie! Bo prezes państwowego banku zarabia ponad 10 tys. dziennie. Ach, te pisowskie elity. Zawsze blisko ludzi. Pardon, kasy.



Ferfecki na tropie

Gazety lubią podkreślać swoją wyjątkowość. Konkurencja jest duża, więc trzeba jakoś się wyróżniać. W pewien sposób, choć dziwny, udało się to „Rzeczpospolitej”. Jako chyba jedyna na świecie ma człowieka, który tropi pochówki ludzi



związanych z PRL. Wiktor Ferfecki zna Cmentarz Wojskowy na Powązkach pewno lepiej od jego administracji. Wie, kto, kiedy i gdzie jest bądź zostanie pochowany. Z każdym nowym nieboszczykiem Ferfecki tak bardzo się oburza, że zaczynamy się martwić o jego zdrowie. Wiemy przecież, że cmentarze źle wpływają na psychikę ludzi. Zwłaszcza tych, którzy cierpią na obsesje.

Kłeczek zlustrowany

Szkoda, że nas przy tym nie było. Mina Miłosza Kłeczka czytającego o sobie w „Gazecie Wyborczej” musiała być jeszcze głupsza niż zwykle. Kłeczek to taki gość, który dla TVP Info udaje reportera sejmowego. A wcześniej udawał także biznesmena. Precyzyjnie – półbiznesmena. Dlaczego pół? Bo choć był właścicielem spółek i prezesem, zapomniał płacić za usługi. Są tacy, którzy już 10 lat mimo wyroków sądu i starań komorników nie mogą zobaczyć swojej kasy. Kłeczek, zamiast płacić stare długi, zajmuje się waleniem... w sędziów. I to akurat rozumiemy. Przecież wredni sędziowie skazali tego pocziwinę.



Po kurczaka z żyrantem

Kto zarabia na wirusie? Nie rolnicy, bo w skupie produktów rolnych ceny spadły, także z powodu zablokowanego eksportu. Nie przeszkadza to niektórym sieciom handlowym windować cen. 30,90 zł za kilogram piersi z kurczaka jest zdaniem Jacka Zarzeczkiego, prezesa Polskiego Związku Hodowców i Producentów Bydła Mięsnego, „przejawem czystego s...ństwa”. Wiedzą o tym nasi czytelnicy, których zachęcamy do pokazywania tych bezczelnych praktyk. Zdjęcia mile widziane.



PYTANIE TYGODNIA | Czy tylko instytucje globalne mogą skutecznie obronić świat przed epidemiami?

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ,
politolog, UW

Epidemia ma charakter globalny, bo jest jednym ze skutków ogromnej antropopresji, którą wywiera na przyrodę wyczynowy kapitalizm: kurczą się dziewicze ekosystemy, mieszają gatunki roślin i zwierząt, tak samo jak populacje żyjące na różnych kontynentach. Narastające zagrożenia epidemiami, zmianą klimatu, falami uciekinierów przed biedą mogą być stopniowo oddalane dzięki współpracy państw, głównie G20, zwłaszcza UE i Chin. Tylko na tym poziomie można zmniejszyć antropopresję, podporządkowując gospodarkę modelowi dobrobytu bez wzrostu (np. likwidując raje podatkowe, wprowadzając globalne podatki, obowiązki w zakresie recyklingu, przedłużając żywotność urządzeń). Przychodzi czas na maksimum: tyle planowania, ile konieczne, tyle rynku, ile możliwe.

TOMASZ JANYST,
Fundacja Kaleckiego

Z pewnością w walce z epidemiami pomagają koordynacja działań lokalnych. Jeśli jeden kraj lub region

nieskutecznie walczy z epidemią, stanowi to zagrożenie nie tylko dla społeczeństwa tego kraju, ale także dla innych. Myślę też, że to nie przypadek, że Richard Wilkinson i Kate Pickett, autorzy książki „Duch równości” postulujący m.in. wzmocnienie państwowej służby zdrowia i działania rządowe na rzecz zmniejszania nierówności, również są epidemiologami. Specjaliści z tej dziedziny mają świadomość, że z epidemią nie poradzi sobie samodzielnie żaden *homo oeconomicus*, potrzebne są skoordynowane działania, stworzenie sieci instytucji, które byłyby w stanie szybko reagować. Wielką zaletą instytucji globalnych jest to, że mogą działać transgranicznie i podejmować decyzje, które nie zawsze spotkałyby się z poparciem politycznym w jednym regionie, a które mogą się przyczynić do zmniejszenia ogólnych kosztów społecznych i ekonomicznych epidemii.

KRZYSZTOF MROCZKOWSKI,
ekonomista, publicysta

Przywódcy polityczni ponoszą odpowiedzialność wyłącznie przed swoim

narodem. Prezydent Francji Emmanuel Macron będzie podejmować decyzje chroniące Francuzów, nawet jeśli szkodzą Belgom. Instytucje globalne nie są wytworem demokracji bezpośredniej i nie mają bezpośredniej styczności z elektoratem, a więc będą podlegały sile wpływów partykularnych grup. Światowa Organizacja Zdrowia już jest oskarżana o zbyt przyjazne Chinom nastawienie w styczniu (m.in. nierekomendowanie, pod naciskiem tego kraju, zamknięcia lotów z niego i do niego). Dobrowolna solidarność państw i sojuszy państw to zły mechanizm, ale jedyny nam dostępny, przynajmniej do momentu ściślejszej federalizacji Unii Europejskiej.

ZDZISŁAW NOWAK,
czytelnik PRZEGLĄDU

Nie. Przy tej organizacji gospodarki, w której towary i ludzie przewożeni są z miejsca na miejsce po całym świecie, razem z nimi rozwlekane są choroby. No chyba że ta instytucja globalna zrobi porządek z turbokapitalizmem.

Not. Michał Sobczyk

Robert Walenciak

Nie ma co się zastanawiać – wybory prezydenckie nie mogą się odbyć 10 maja, trzeba je przełożyć. Politycy PiS, którzy mówią, że wybory zostaną przeprowadzone w normalnym terminie, albo nie za bardzo wiedzą, co mówią, albo frymarczą zdrowiem (i życiem) tysięcy Polaków.

Ale zacznijmy od początku – dlaczego wybory powinny być przełożone? Z tego prostego powodu, że mamy czas epidemii. I do maja, jak mówią zresztą osoby dobrze poinformowane, czyli minister zdrowia Łukasz Szumowski i premier Mateusz Morawiecki, ta epidemia nie wygaśnie. Ona wciąż narasta, zwiększa się liczba chorych.

„Szczycy zachorowań wciąż przed nami. Będziemy mieli kilka tysięcy zarażonych, a może i więcej”, mówił premier w wywiadzie dla stacji CNN. Z kolei minister Szumowski ocenił w Radiu Zet, że zachorować może 10-20% populacji i że czas społecznej izolacji zostanie przedłużony.

Prof. Robert Flisiak, prezes Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych, przestrzega: „W maju prawdopodobnie

WYBORY W MAJU TO SZALEŃSTWO

Pytanie jest właściwie jedno: na kiedy wybory przełożyć? Najuczciwszym terminem byłaby wiosna 2021 r.

ju epidemia nadal będzie w Polsce obecna.

Przyjmując, że choroba trwa dwadzieścia tygodni i że szczyt zachorowań jest przed nami, nawet w najbardziej optymistycznych wyliczeniach epidemia nie zniknie przed końcem kwietnia. W maju może zostać stłumiona, ale będzie się tlić, może też dalej gorzeć – tego nie wiemy. W każdym razie wszelkie zgromadzenia będą niemożliwe z racji zagrożenia epidemiologicznego. Jak więc w takiej sytuacji można namawiać do wyborów? Żeby rozpuścić kolejną falę zachorowań?

i Macedonia, w Szwajcarii odwołano referendum, w Austrii – wybory regionalne.

Sytuacja w naszym kraju jest podobna.

Ćwierć miliona ochotników

Zresztą wyobraźmy sobie wybory w Polsce. Pierwsza rzecz: trzeba by skompletować komisje wyborcze. To ok. 250 tys. ludzi. Członkowie komisji przez wiele godzin byłiby narażeni na kontakt z wirusem, bo trudno zakładać, że do wyborów poszliby sami zdrowi. Zwłaszcza że wirus może nie dawać objawów. Pytanie zatem jest oczywiste: czy znajdzie się ćwierć miliona ochotników, gotowych dać się zarazić? I gotowych zarażać innych? A jak przeprowadzić wybory, skoro chętnych do udziału w komisjach wyborczych zabraknie?

Dodajmy do tego jeszcze jeden element – prace komisji rozpoczynają się wcześniej, przed otwarciem lokali wyborczych. Co będzie, jeśli w tym czasie któryś z członków komisji zostanie zdiagnozowany jako chory? Komisja pójdzie na kwarantannę? A kto wtedy przeprowadzi wybory w okręgu?

Nie ma szans, by w czasie epidemii ktokolwiek zagwarantował, że wszystkie komisje będą działać i wszyscy obywatele będą mogli oddać głos. Jest sprawą oczywistą, że tysiące osób będą chore lub będą przebywać w kwarantannie. Jak im umożliwić głosowanie? Przecież z racji choroby nie tracą praw obywatelskich. Jak więc uznać wybory za



nastąpi wygaszenie epidemii. I wtedy będzie decyzja, czy już zdejmujemy obostrzenia, czy nie. Jeżeli zdejmie się je przedwcześnie i przy warunkach klimatycznych sprzyjających rozprzestrzenianiu się wirusa, może dojść do ponownego wzrostu liczby zakażeń”. I dodaje, że dzieci będą mogły wrócić do szkół... w połowie czerwca.

Z tych wypowiedzi osób, którym kompetencji odmówić nie można, wyłania się czytelny obraz – w ma-

Spójrzmy zresztą, jak ten problem rozwiązano w innych krajach europejskich, również dotkniętych epidemią. We Francji wprawdzie odbyła się pierwsza tura wyborów samorządowych, ale zakończyła się porażką – do urn poszło o ponad jedną trzecią mniej wyborców niż zwykle. Z tego powodu, a przede wszystkim dlatego, że we Francji szybko rośnie liczba chorych, prezydent Macron drugą turę przełożył. Swoje wybory przeniosły też na później Serbia



17 marca Andrzej Duda odwiedził zakłady PKN Orlen w Jedliczach. Nz. z prezesem Orlenu Danielem Obajtkiem.

ważne, gdy znaczne grupy obywateli nie będą mogły głosować?

Druga kwestia to samo głosowanie. Czyli miliony Polaków, którzy pójdą do lokali wyborczych. W roku 2015 do urn poszło 17 mln obywateli – 55% uprawnionych do głosowania. Można w ciemno zakładać, że z powodu koronawirusa w maju 2020 r. frekwencja będzie znacząco niższa. Ale i tak będzie to kilkanaście milionów osób, stojących w kolejce, jedna obok drugiej, przebywających w tych samych zamkniętych pomieszczeniach.

Będziemy więc świadkami szalonej sytuacji. Oto cała Polska poddana jest reżimowi epidemiologicznemu. Nie działają szkoły, kina, teatry, restauracje, zamknięte są galerie handlowe. Wszędzie ograniczenia. Wszyscy – politycy, biskupi, celebryci – apelują, byśmy zostali w domach. Ale wybory się odbywają. Miliony ludzi idą do urn. Głosując i – to nieuniknione – zarażając się. Czy jest w tym logika?

Wygrać za wszelką cenę

Jest. To logika Andrzeja Dudy, który walczy o reelekcję. I za sprawą stanu zagrożenia epidemicznego ma wymarzoną sytuację. Kampanię prowadzi tylko on. Ubrany w coś na kształt harcerskiego mundurka jeździ po Polsce i sprawdza. Zaczął od Garwolina, gdzie wizytował szpital. Przyjął go ratownik SOR w pomarańczowej kurtce. Później okazało się, że to przebrany dyrektor szpitala, a po tym radny PiS.

Potem widzieliśmy Andrzeja Dudę w innych miejscach. Wizytował punkt kontroli sanitarnej na granicy polsko-niemieckiej w Kołbaskowie, był w Ciechanowie, w Krakowie, był też w Jedliczach, gdzie Orlen produkuje płyn do dezynfekcji. Tam, wraz z szefem Orlenu Danielem Obajtkiem, w żółtym kasku na głowie przyglądał się, jak maszyna wlewa ciecz do kanistrów.

Poza tym mogliśmy oglądać kolejne konferencje prasowe – z udziałem prezydenta, premiera Morawieckiego, ministra Szumowskiego. Ich treść się zmieniała, ale ton był wspólny – jesteśmy najlepsi i świat nas podziwia. Prowadzimy walkę z koronawirusem, podejmujemy trafne decyzje, idzie nam świetnie. Co prawda, już niedługo będzie chorych

Kampanię prowadzi tylko Andrzej Duda. Ubrany w coś na kształt harcerskiego mundurka jeździ po Polsce i sprawdza.

tysiąc osób, ludzie będą umierać, ale szpitale za chwilę będą wyposażone w konieczny sprzęt, testów na wykrywanie choroby mamy tyle, ile trzeba, to nie problem. Mamy też tarczę antykryzysową dla biznesu, małego i średniego. Nikt nam nie pomoże, sami sobie poradzimy, ale nasza tarcza wszystkich uratuje, uruchamia sumy rzędu 212 mld zł. Mamy tyle pieniędzy, ile potrzeba – to już słowa prezesa NBP – wszystko, co będzie potrzebne, sfinansujemy. Jest zatem świetnie, bo Andrzej Duda przewodzi

Polsce w zwycięskim boju (z koronawirusem).

Taki jest ton kampanii, którą prowadzi tylko jeden polityk – Andrzej Duda. Jego konkurenci swoje kampanie musieli zawiesić. Nie mogą organizować zgromadzeń, wieców, spotykać się z wyborcami. To zabronione. Zostają im filmiki puszczone w internecie. Andrzej Duda może zaż wszystko. Jako urzędujący prezydent jeździ po Polsce i odgrywa rolę zadowolonego ojca narodu, dowódcy w czasach wojny.

Jeszcze zanim rząd ogłosił stan zagrożenia epidemicznego, media publiczne były tubą jednego polityka. Jak to wyglądało, policzyła Agata Szczęśniak z Oko.press. Oto czas obecności kandydatów w TVP w lutym:

- **Andrzej Duda:**
17 godzin, 21 minut, 25 sekund,
- **Krzysztof Bosak:**
37 minut, 22 sekundy,
- **Małgorzata Kidawa-Błońska:**
30 minut, 30 sekund,
- **Władysław Kosiniak-Kamysz:**
15 minut, 32 sekundy
- **Szymon Hołownia:**
5 minut, 37 sekund,
- **Robert Biedroń:** 44 sekundy.

Marzec, czas epidemii, dał Andrzejowi Dudzie nieograniczone możliwości działania. I on je wykorzystuje.

To jest zresztą, jak dowodzą minione wydarzenia, najlepszy sposób, by wygrać wybory. Bo w momencie zagrożenia obywatele instynktownie skupiają się wokół władzy. Tak było np. w roku 2002, podczas powodzi

w Niemczech. Kanclerz Gerhard Schröder zmierzał wtedy do katastrofy, sondaże wieszczyły jego zdecydowaną porażkę. Ale zdarzyła się powódź, kanclerz pojawił się wśród strażaków, nie bacząc na ulewę, nosił worki z piaskiem, co pokazywały kamery telewizyjne, i na ostatniej prostej pokonał chadeków. W Polsce z kolei wojna na Krymie w roku 2014 pomogła Donaldowi Tuskowi w wyborach samorządowych. To wtedy mówił on, że nie wiadomo, czy dzieci pójdą we wrześniu do szkół.

▶ A jak jest dzisiaj? Andrzej Duda miał słaby start kampanii prezydenckiej i – jak pokazywały sondaże – tracił poparcie. Epidemia tę sytuację odwróciła – Duda zyskuje, notuje w sondażach 46-51% poparcia. Czas zarazy mu sprzyja.

Mamy więc prosty motyw – PiS i Andrzej Duda uważają, że obecna sytuacja jest dla nich korzystna i dzięki temu wygrają 10 maja. Dlatego chcą przeprowadzić wybory za wszelką cenę, po trupach, nie bacząc na wszystko inne.

Państwo na sznurku

Jak ocenić tę postawę? To prymitywny egoizm. Zupełnie nie z naszego kręgu cywilizacyjnego. Zauważmy – w Europie sprawę walki o władzę odłożono na później. Tam przecież także jest sytuacja, że ktoś na koronawirusie zyskuje, a ktoś traci. Ale dla tamtejszych polityków są kwestie ważniejsze. U nas – jest inaczej.

Upór Andrzeja Dudy i PiS, by wybory prezydenckie odbyły się w maju, świadczy przy okazji o nieroztropności. Epidemia przynosi bowiem każdego dnia nowe wiadomości, które siłą rzeczy powodują rozhuśtanie nastrojów.

Szpitaly proszą o pomoc. Szpital Uniwersytecki w Zielonej Górze pisze na facebookowym profilu, że potrzebne są m.in. środki ochrony dla personelu (rękawiczki, maseczki, kombinezony, jednorazowa odzież itd.), środki

Mamy dwie Polski – jedną, którą widzimy na ekranach telewizji publicznej, a drugą – w realu.

do dezynfekcji, chusteczki, środki higieny osobistej (mydło w płynie, papierowe ręczniki, papier toaletowy itd.), środki czystości.

Praktycznie zresztą każdy szpital takich rzeczy potrzebuje. I oto na naszych oczach następuje weryfikacja tych krzepiących obietnic, które padają z ust ministrów – że wszystko jest w porządku, że szpitale mają potrzebny sprzęt, środki ochrony dla personelu i wystarczającą liczbę testów. Tymczasem wszystkiego brakuje, lekarze padają po kilkunastogodzinnych dyżurach. A to dopiero początek walki z epidemią.



Mamy też kilometrowe kolejki na granicy z Polską – w Niemczech sięgają 30-50 km, czekającym w nich Polakom pomaga Bundeswehra.

Widzimy zresztą, że i sama władza się miota, ma kłopoty z jednolitym przekazem. W minioną środę premier przekonywał w TVP, że Polska zaczęła przygotowania na nadejście koronawirusa „parę miesięcy temu”. A już w czwartek mówił, że rząd „musi radzić sobie z okolicznościami, których nikt się jeszcze miesiąc temu nie spodziewał, a dwa miesiące temu nikt o tym nie wiedział”.

Nastroje falują również w związku z załamaniem gospodarki. Setki tysięcy ludzi, nawet miliony, nie pracują. Tysiące firm, głównie usługowych, nagle straciło przychody. A pensje

pracowników, ZUS, czynsz itd. trzeba płacić, więc ci sami ludzie, którym podoba się, że władza tak zdecydowanie wypowiada się na temat epidemii, już w kwietniu, gdy nie dostaną pieniędzy, albo dostaną ich zdecydowanie mniej, mogą na temat rządzących mieć już inne zupełnie zdanie.

Mamy zatem dwie Polski – jedną, którą widzimy na ekranach telewizji publicznej, a drugą – w realu. I choć możemy w ciemno zakładać, że przez najbliższe kilkanaście dni górą będzie obraz Polski prezentowany przez PiS, to prawda wyjdzie na jaw. Z punktu widzenia czystszej polityki upór Dudy,

Członkowie komisji przez wiele godzin byłiby narażeni na kontakt z wirusem.

żeby wybory odbyły się 10 maja, ma więc w sobie coś z hazardu. On zdaje się na nastroje, których nikt nie jest w stanie przewidzieć. To też nie świadczy o nim najlepiej.

Strach, że będzie gorzej

A może jest tak dlatego, że obóz PiS wie, że potem będzie tylko gorzej? Mateusz Morawiecki w ubiegłym tygodniu hucznie ogłosił tarczę antykrzysową, czyli pakiet działań, które mają pomóc przedsiębiorcom przetrwać czas zapaści gospodarki. Oficjalnie ogłoszono, że tarcza zakłada uruchomienie środków na sumę 212 mld zł. To ogromne pieniądze. Ale gdy tym obietnicom zaczęli się przyglądać fachowcy, okazało się, że pakiet jest dużo skromniejszy. Że to bardziej propaganda niż pomoc. Co w dużym stopniu wynika z tego, że budżet państwa jest wysuszony.

Nie ma więc co porównywać polskiego pakietu z pakietem niemieckim, francuskim czy nawet węgierskim. Nasz na tym tle jest bardzo skromny. Ale warto spojrzeć na te działania szerzej.

Jeżeli bowiem epidemia koronawirusa zatrzęsie polską gospodarką, obnaży słabość służby zdrowia i innych instytucji, odbije się to także na notowaniach partii rządzącej. Która ma całkowitą władzę od pięciu lat i naprawdę nie może już zwać niczego na poprzedników.

Tego, być może, obawia się Andrzej Duda. Że jeśli zostanie ogłoszony stan klęski żywiołowej albo stan wyjątkowy, to automatycznie wybory prezydenckie zostaną przeniesione na jesień, a w tym czasie i on, i jego formacja będą notować sondażowy dołek. I to on zostanie złapany w pułapkę koronawirusa.

Może zatem lepiej zachęcić bardziej zdecydowanie PiS do przetożenia wyborów prezydenckich i – by uniknąć oskarżeń, że oto chcemy ugrać coś na epidemii – zaproponować ich przeprowadzenie wiosną 2021 r.? Na przykład w maju, kiedy te wszystkie zmyry koronawirusa

zostaną już zwalczane. Będziemy mieli szczepionkę i lek na wirusa, a państwo będzie w lepszym stanie.

Co mówi konstytucja?

Zastanówmy się, czy to wszystko jest możliwe. Na początek warto, byśmy sobie uświadomili, że uchwalona przed kilkunastoma dniami ustawa o zagrożeniu epidemicznym odpowiada *de facto* wszystkim cechom stanu nadzwyczajnego, z wyjątkiem przełożenia wyborów. Jeśli więc chodzi o prawa obywatelskie, PiS ma już to, co chciało.

A teraz zerknijmy do konstytucji. Sprawy wprowadzenia stanu wyjątkowego lub stanu klęski żywiołowej konstytucja RP reguluje w rozdziale XI „Stany nadzwyczajne”, w art. 228-234.

W art. 230 jest zapis, że stan wyjątkowy może być ogłoszony na maksimum 90 dni i przedłużony raz, na maksimum 60 dni. Wprowadza go prezydent, na wniosek Rady Ministrów. Natomiast stan klęski żywiołowej, zgodnie z art. 232, może wprowadzić sama Rada Ministrów

na okres 30 dni. A przedłużyć go może za zgodą Sejmu. Na jak długo i ile razy – tego konstytucja nie określa.

Z kolei w art. 228 znalazł się zapis, że w ciągu 90 dni po zakończeniu stanu nadzwyczajnego nie mogą być przeprowadzane m.in. wybory prezydenckie, a kadencja prezydenta automatycznie zostaje przedłużona.

Policzmy więc – jeżeli zostałby wprowadzony stan wyjątkowy, wybory mogłyby się odbyć za osiem miesięcy, czyli w listopadzie 2020 r. Mogłyby również odbyć się później. Bo jak zauważył Liwiusz Laska, członek Państwowej Komisji Wyborczej, konstytucja nie podaje dokładnie, kiedy po zakończeniu stanu nadzwyczajnego mogą się odbyć wybory. Wiadomo tylko, że nie wcześniej niż po 90 dniach. Ale to nie znaczy, że dokładnie po 90 dniach czy też w pierwszy dzień wolny od pracy po tym terminie. Wszystko zatem wymaga ustawowego doprecyzowania, co w przypadku konsensusu głównych sił politycznych nie byłoby specjalnie trudne.

W ten sposób wybory prezydenckie można by przełożyć na spokojniejsze chwile. Dając społeczeństwu czas na potrzebny oddech i refleksję.

Oto więc propozycja, która leży na stole. Przełożenia wyborów prezydenckich domagają się politycy opozycji, publicyści. Niektórzy proponują, by w innym wypadku wybory zbojkotować. „Jeśli rzeczywiście nie odwołają wyborów, niech sami pisowcy siedzą w tych komisjach, sami głosują, sami policzą i sami sobie wybiorą Dudeusza” – to jedna z opinii.

Na razie ten wariant powinniśmy odłożyć na bok. Rozsądek bowiem podpowiada, by wybory odbyły się w demokratycznych warunkach, tak żeby kandydaci mieli szansę się zaprezentować, a wyborcy szansę zagłosować.

Wszystko teraz zależy od polityków PiS – czy wybiorą wariant głosowania w dniach zarazy, ponosząc wszelkie konsekwencje tej decyzji, czy wybory przełożą. Proszę bardzo, niech wybierają.

Robert Walenciak

Coraz więcej Czytelników PRZEGLĄDU zostaje w domach.

Słusznie, bo musimy zadbać o zdrowie.
Co więc możemy zrobić w tej trudnej sytuacji?

CZYTAĆ, bo CZYTANIE skraca czas kwarantanny!



WSZYSTKIE NASZE E-BOOKI KUPISZ JUŻ OD 14,90 ZŁ

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL



Do lekarza z przeszkodami, czyli skąd wytrzasnąć e-receptę

Jeśli jesteś chory, ale nie na koronawirusa, to masz problem

Anna Brzeska

Moje dzieci kaszlą od ponad tygodnia. Przez ostatnie dwa dni próbuję dodzwonić się do przychodni, by zamówić e-receptę na następne opakowanie leku do inhalacji. Numer jest zajęty non stop, choć dzwonię wiele razy dziennie.

W końcu się udaje, dostanę e-receptę. – Co mam zrobić, gdyby dzieciom się pogorszyło i niezbędne było ich osłuchanie? – pytam. – Wtedy można ostatecznie przyjść, większość lekarzy pracuje – mówi rejestratorka. – Ale zanim umówię panią na wizytę, trzeba odpowiedzieć na kilka pytań, np. czy miała pani kontakt z kimś z zagranicy albo kimś chorym na koronawirusa – wyjaśnia. – Co jeśli tak? – Wtedy, zgodnie z instrukcjami, musi pani zadzwonić do szpitala zakaźnego lub sanepidu.

Na szczęście w moim przypadku odpowiedź brzmi „nie”. Ponieważ nikt z domowników nie czuje się naprawdę źle, zgodnie z rządowymi instrukcjami nie panikujemy i nie obciążamy oddziałów zakaźnych ani SOR-ów. Siedzimy w domu, ciesząc się z możliwości zdalnej pracy oraz jednak dość sprawnego działania przychodni. Dzieci rysują kolorowe patogeny w koronach, oglądamy seriale, odrabiamy lekcje. Ten kaszel to jednak pewnie nie koronawirus – powtarzam sobie.

Telefony, telefony

Nie wszyscy jednak są w tak komfortowej sytuacji.

Ola, mieszkanka stolicy: – Kończą mi się leki, bez których nie mogę funkcjonować, a psychiatrę odwołał mi wizytę. E-recepty – bo tylko na tym mi zależy – nie dostanę. Dlaczego? Bo psychiatrę dla mojej przychodni (nazwijmy ją X) zapewnia jeszcze inne centrum (Y). Lekarz pierwszego kon-

taktu z X, aby wystawić receptę, musi mieć zaświadczenie od mojego psychiatry z centrum Y, ale przychodnia X nie ma z nim kontaktu.

Podaję Oli numer na infolinię dla pacjentów, który znajduję na stronie NFZ. Może tam pomogą? Ola dzwoni. Do wyboru ma dwie opcje – informacje w sprawie koronawirusa oraz inne sprawy. Wybiera drugą możliwość.

– W czym mogę pomóc? – pyta głos po kilku minutach czekania. Ola opisuje sytuację. – Przepraszam, ale dodzwoniła się pani na infolinię dotyczącą koronawirusa – mówi pan. – Wybrałam inną opcję – zapewnia dzwoniąca. Pan wyjaśnia, że „coś się tam zmieszało” i trzeba będzie chwilę poczekać. Wraca po paru minutach. Ola znów wyjaśnia, że potrzebuje przedłużenia recepty, a jej wizyta w prywatnej przychodni

piero w połowie kwietnia, kiedy Oli leki już się skończą. – Dlaczego nie mogą mnie państwo umówić z moim psychiatrą za dwa tygodnie, na e-wizytę oczywiście, skoro będzie w pracy wcześniej niż ten drugi? – pyta. Pani wyjaśnia, że wtedy są już umówieni inni pacjenci, więc nie może dopisać dodatkowej wizyty.

Ola dzwoni też w końcu do centrum X – tego, w którym ma abonament. Ta placówka jednak nie zatrudnia „własnego” psychiatry, więc błędne koło się zamyka. Jedyne, co może zaproponować jej centrum X, to e-wizyta u lekarza pierwszego kontaktu. Ma sam zadzwonić do pacjentki następnego dnia rano.

Gdy piszę tekst, mijają właśnie kolejne godziny po wyznaczonej porze. Kontaktuję się z Olą. – Na razie nie dzwonili – mówi.

Czekałam wiele miesięcy na rehabilitację. Mój turnus został odwołany. Nie wiem, czy mnie wcisną na kolejny.

została odwołana. Pan na linii mocno się waha, co zrobić w sytuacji, gdy pacjentka ma abonament w prywatnej przychodni, ale w końcu daje jej numer telefonu do placówki POZ w pobliżu jej miejsca zamieszkania. Ola mogła go sama znaleźć w sieci, ale niech będzie.

Wykonuje kolejny telefon. W przychodni mówią, że oni nie mogą pomóc, bo pacjentka nie jest tam zapisana. Psychiatry zresztą nie mają. Dają jakiś inny numer. Ola mówi mi, że zadzwoni tam następnego dnia, bo już nie ma siły wisieć na liniach.

Następnego dnia radzę jej, by zadzwoniła bezpośrednio do centrum medycznego Y. Może mają jakiś kontakt z psychiatrą, którego zatrudniają?

Ola dzwoni. Nerwowa rozmowa, bo pani nie potrafi pomóc, kontaktu z psychiatrą nie mają – nie ma go do końca miesiąca. Mogą zaproponować innego lekarza, ale wizyta byłaby do-

Inne sygnały, które zbieram, najczęściej dotyczą właśnie dodzwonienia się i uzyskania informacji, czy placówka w ogóle jest otwarta, oraz tego, jak i gdzie można otrzymać pomoc przez telefon. U Emilii, której mama leczy się w poradni neurologicznej, wystąpił podobny problem jak u Oli – lekarze na urloпах, nikt nie wystawi e-recepty bez historii choroby. – W końcu okazało się, że jeden lekarz był w pracy ostatni dzień i złapałyśmy go dosłownie w progę. Następnego dnia już by go nie było i skończyłoby się szpitalem – opowiada.

Tu ważna informacja dla osób w takiej sytuacji: podzielona na regiony lista placówek, które udzielają teleporad, znajduje się na stronie NFZ. Do tych z listy – teoretycznie – powinniśmy więc prędzej czy później się dodzwonić.

Dominika: – W Szczyrku od dzisiaj przychodnia jest zamknięta, nie



E-recepty są ostatnią nadzieją pacjentów niezarażonych koronawirusem.

przyjmują pacjentów. Mamy tu jeden ośrodek, trzech lekarzy, w tym jednego pediatrę. Na drzwiach wisi kartka, żeby dzwonić, niestety do dzwonięcia się graniczy z cudem. Mama dzwoniła po e-receptę. Usłyszała w końcu, że nie są w stanie wystawić 6 tys. recept – miasteczko ma 6 tys. mieszkańców, wychodzi więc na to, że każdy nagle chce receptę, z dziećmi włącznie. Ostatecznie zgodzili się „wyjątkowo przyjąć prośbę”. Mnie właśnie wróciło ropne zapalenie migdałków, pomęczone się. W piątek jeszcze mnie przyjęli z gorączkującą córką, dzisiaj już ludzie odbijali się od drzwi. Co prawda, mamy szpital pediatryczny w Bielsku-Białej, ale tam sytuacja z przyjęciami też jest nieciekawa, poza tym dziś do szpitala nikt specjalnie nie chce się pchać. Oczywiście rozumiem ograniczenia i konieczność izolowania się, ale w takiej sytuacji telefony powinny być odbierane, a e-recepty wystawiane bez taksy.

Anna: – Leczę uraz kolana sprzed roku. Nic pilnego, jednak boli. Czekalam wiele miesięcy na rehabilitację. Mój turnus akurat został odwołany. Nie wiem, czy mnie wcisną na kolejny, jak przychodzi znów ruszy. Do dzwonić się nie dało – najpierw jest informacja, że jestem siódma w kolejce, potem w końcu pierwsza – a potem mnie rozłącza. Na mejl wysłany przed południem w piątek także nikt nie odpisał. W końcu pojechałam osobiście. Były chyba trzy osoby w recepcji, tłumaczyli, że telefon ciągle im się rozłącza. O nagraniu informacji nikt nie pomyślał.

Sygnatów o odwołanych wizytach jest bardzo wiele. Kasi zapadła umówiona w lipcu wizyta na NFZ u chirurga naczyniowego oraz prywatne wizyty u ginekologa i fizjoterapeuty. Joanna od trzech miesięcy czekała na okulistę – odwołane.

Elżbieta: – Rozbolał mnie ząb, który jest w trakcie leczenia kanałowego. Teraz miał być kończony, ale odwołano mi wizytę. Od dwóch godzin boli tak, że chodzę po ścianach. Dzwonię na pogotowie stomatologiczne, z powodu kwarantanny nieczynne do odwołania. Dzwonię do NFZ, nie ma wyznaczonej żadnej placówki, która mogłaby mnie przyjąć, i nie wiadomo, kiedy wyznaczą.

W wiejskiej sytuacji są również rodzice dzieci niepełnosprawnych, którym kończą się orzeczenia o niepełnosprawności – nie będzie miał ich kto przedłużyć.

Dzwonię do NFZ. Pan z biura prasowego standardowo prosi, by pytania przestać mejlem. Wysłałam i pytam, co mają zrobić pacjenci, którzy – tak jak Ola – potrzebują e-recepty, ich lekarze zniknęli z horyzontu, inni zaś nie chcą wystawić recepty bez wglądu w historię choroby. Pytam też, czy ludzie czekający od miesięcy na wizytę albo turnus rehabilitacyjny – jak Ania – zostaną na początku kolejki, gdy przychodnie znów ruszą. Ostatnią kwestią, którą poruszam, jest sprzęt ochronny osobistej. Czy jest szansa, że z czasem wystarczy go także dla przychodni specjalistycznych i POZ? Na razie możemy poczekać lub „spotkać się” z lekarzem przez telefon – o ile gdzieś się dodzwonimy,

ale co jeśli kryzys się przedłuży i coraz więcej osób będzie potrzebowało standardowego badania?

Po kilku dniach odpowiedzi nadal nie ma.

Jak urodzić w kwarantannie?

Stres przeżywają ciężarne. Martwią się np., że w związku z zakazem odwiedzin w szpitalach nie będą mogły rodzić wspólnie z partnerami czy innymi bliskimi.

Inga: – Jestem w 36. tygodniu ciąży, nie dałam rady zrobić badań, bo laboratoria nie działają, a ginekolog nie przyjmuje. Nie wiadomo, czy upatrzona najbliższa porodówka będzie działać, bo w szpitalu mają czworo zakażonych koronawirusem. Ogólnie to nie wiadomo, gdzie jechać rodzić, jakby co. Spisałam numery na okoliczne oddziały położnicze i izby przyjęć. Jak coś zacznie się dziać, będę dzwonić. W razie czego zostaje wezwanie karetki. Skoro mój drugi poród trwał tylko 45 minut, raczej nie odmówią. Teraz nie ma sensu dzwonić i się umawiać, bo w szpitalach sami nie wiedzą, co mają robić. Czytałam też, że jeśli kobieta rodzi w trakcie kwarantanny, robi się jej cesarkę i zabiera dziecko. I można je zobaczyć dopiero po dwóch tygodniach. Pewna dziewczyna usłyszała te „budujące” wieści w sanepidzie, do którego zadzwoniła, bo jej mąż wracał z zagranicy. Na stronie Fundacji Rodzić po Ludzku są natomiast zalecenia, by rozważyć cesarskie cięcie przy zakażeniu – nie podejrzeniu zakażenia. A jeśli chodzi o izolację dziecka, to do czasu uzyskania dwóch negatywnych wyników testów. Widocznie ktoś inaczej zinterpretował te zalecenia i puścił złowieszcze informacje w świat. Mam nadzieję, że ta kwestia szybko się wyjaśni. Boję się z kimkolwiek rozmawiać na ten temat.

– Ja jestem w 19. tygodniu ciąży – opowiada Natalia. – Odwołano mi badania prenatalne oraz echo serca płodu. Nie wiem więc, kiedy będę mogła zrobić specjalistyczne badania, mimo ciąży o niezbyt książkowym przebiegu. Na skierowanie mogę je wykonać tylko w jednym miejscu, a że ciąża nie jest bezproblemowa, nie ma sensu iść do lekarza z przypadku, bo to musi być naprawdę dobry specjalista. Na razie liczę na to, że nie dzieje się nic złego.

▶ Jest trudniej, a czasem odwrotnie

W doniesieniach znajomych i czytelników nie brakuje jednak informacji, że wiele ośrodków radzi sobie bardzo dobrze, sprawnie umawia e-wizyty i wystawia e-recepty.

Dzwonię do kilku dużych warszawskich przychodni, wybierając je na chybił traf. Zaczynam od próby umówienia się do endokrynologa. Prywatnie udaje się bez trudu – pani pyta mnie tylko, czy jestem zdrowa i czy nie wróciłam z zagranicy. Przyznaje, że pacjentom stałym proponuje się e-wizyty, nowych warunkowo umawia się w realu. Wizyta kosztuje 200 zł.

Próbuję z laryngologiem na NFZ. Przychodnia specjalistyczna przy Szczęśliwickiej, na warszawskiej Ochocie. Ze zdumieniem dowiaduję się, że mogłabym się umówić jeszcze tego samego dnia na darmową wizytę. Potrzebuję tylko skierowania od lekarza POZ.

To właśnie przykład pozytywnego – w pewnym sensie oczywiście – skutku pandemii. Wielu pacjentów odwołało wizyty, bo są odpowiedzialni i siedzą w domu, jeśli mogą odłożyć leczenie na później. Zwalniają się więc terminy dla tych, którzy nie mogą zwlekać ani polegać na e-wizycie.

Pogotowie stomatologiczne z powodu kwarantanny nieczynne do odwołania. Nie ma wyznaczonej żadnej placówki, która mogłaby mnie przyjąć.

Dzwonię też do popularnego CePe-Leku. Tu bez szans, ciągle zajęte. Wrocławskie Centrum Zdrowia – zamknięte. Wystarczy, nie chcę blokować linii ludziom, którzy naprawdę potrzebują pomocy.

Co dalej z nami będzie?

Koronawirus spadł na nas jak grom z jasnego nieba i próżno szukać w tej chwili odpowiedzi na pytanie, jak szybko wystąpią problemy ze zdrowiem Polaków, jeśli dostęp do specjalistycznego leczenia nadal będzie ograniczony.

Dr Monika Ścibor z Instytutu Zdrowia Publicznego w Collegium Medicum UJ: – W zaistniałej sytuacji zamknięcie przychodni specjalistycznych wydaje się słuszne i przynosi



Po przeprofilowaniu szpitala wojewódzkiego w Łomży na szpital jednoimienny zakaźny placówka nie jest dostępna dla mieszkańców.

więcej korzyści, ponieważ pacjenci oczekujący na wizytę do różnych specjalistów przebywają zazwyczaj w jednym korytarzu. Gdyby przychodnie zostały w pełni otwarte, mielibyśmy dużą grupę osób kontaktujących się ze sobą, często pacjentów z licznymi chorobami współistniejącymi, szczególnie narażonych na ciężki przebieg w razie zakażenia koronawirusem.

Kiedy będzie szansa na przywrócenie wizyt? – Wydaje się, że po dwóch tygodniach powinniśmy dążyć do

mają szpitale zakaźne, a z doniesień personelu tych placówek wiadomo, że i u nich nie jest różowo.

O równy dostęp wszystkich placówek medycznych do możliwości zakupu środków ochrony personelu medycznego apeluje Naczelna Rada Lekarska. W liście do ministra zdrowia wskazuje, że w tej chwili nie mogą ich kupować placówki rejestrowane jako praktyki lekarskie – zwykle są to mniejsze, jedno- lub kilkuosobowe gabinety. To zaś odcina od pomocy ich pacjentów, którzy nie mogą czekać z wizytą, np. osób potrzebujących pilnej wizyty u stomatologa.

Trzy apele lekarza

Podobne pytanie – kiedy mamy zacząć się martwić – zadaje dr. hab. n. med. Romanowi Sosnowskiemu, urologowi (m.in. Gabinet Urologiczny UROS), członkowi Polskiego i Europejskiego Towarzystwa Urologicznego. – Sytuację każdego pacjenta należy rozpatrywać indywidualnie. Są chorzy, w przypadku których dwa czy trzy miesiące nie będą miały żadnego znaczenia, są jednak tacy, dla których znaczenie mają dni. Zacznę jednak od apelu do pacjentów, bo muszą zrozumieć, że jesteśmy w stanie kryzysu. Ponieważ mam głównie kontakt z pacjentami uroonkologicznymi, szczególnie osobami z rakiem prostaty, powiedziałbym im tak: znacie swoją chorobę i objawy związane z jej progresją oraz leczeniem, wiecie, z jakimi działaniami niepożądanymi może ono się wiązać. Powinniście obserwować

swoje ciało i reagować adekwatnie do tej sytuacji, sprawdzać, czy dane objawy nie odbiegają od standardu. Jeśli tak – kontaktować się ze swoim lekarzem za pomocą narzędzi teleinformatycznych. Powinniście też pozwolić na to, by ten kontakt był nieco bardziej rozciągnięty w czasie, i unikać wizyt, gdy te nie są niezbędne. Żeby było jasne: mówię nie o sytuacjach nagłych, wymagających pilnej interwencji, tylko o przypadkach pacjentów, którzy są w trakcie obserwacji lub przewlekłego leczenia.

Specjalista apeluje również o zdrowy tryb życia i zachowanie ciągłości terapii: – Koronawirus spowodował, że jesteśmy zamknięci w domu. Trzy-cztery dni nie mają znaczenia dla naszego zdrowia, ale prawdopodobnie ten czas się wydłuży o wiele tygodni. To zwykle powoduje, że pacjenci ograniczają aktywność fizyczną, przesiadują przed telewizorem, mogą przestać dbać o właściwą dietę. Jasno trzeba więc im zakomunikować: to, że jesteście w domu, nie znaczy, że nie należy dbać o swoje ciało, o jego sprawność – ćwiczyć można przecież i w domu. Poza tym – zaburzona regularność wizyt lekarskich nie powinna przeszkadzać w przyjmowaniu leków zgodnie z wyznaczonymi wcześniej zaleceniami.

Dr Sosnowski zwraca się także do lekarzy, by nie zostawiali pacjentów samych sobie: – Pamiętajmy o tele-

konsultacjach i wskazanej przez Ministerstwo Zdrowia możliwości wystawiania e-recept. Podczas spotkań z pacjentem online jesteśmy w stanie dowiedzieć się od niego o symptomach związanych z chorobą, najważniejszych działaniach niepożądanych i w odpowiedni sposób zareagować czy uspokoić go, w pewnych zaś sytuacjach podjąć decyzję o wizycie w realu. Jeżeli telekonsultacja nie jest możliwa, warto ustalić kolejne spotkanie w innym terminie. Ważne, by termin kolejnej wizyty był wpisany do kalendarza, gdyż pacjent, mając taką informację, otrzyma poczucie bezpieczeństwa i ciągłości kontaktu ze swoim lekarzem.

Dodzwonić się nie dało – najpierw jest informacja, że jestem siódma w kolejce, potem w końcu pierwsza – a potem mnie rozłąca.

Specjalista przyznaje, że korzystanie z zalecanych przez ministerstwo narzędzi teleinformatycznych do kontaktu z pacjentem może być wyzwaniem również dla lekarzy, jeśli nie korzystają z takich rozwiązań na co dzień: – Oczywiście potrzebujemy do tego sprzętu, oprogramowania czy doświadczenia. Ważna jest też wiedza, jak prowadzić taką wirtualną rozmowę z pacjentem, na czym się skupić, jeżeli nie możemy fizycznie go zbadać. Możliwe, że będziemy musieli pokazać mu coś na rysunku czy będziemy potrzebowali jakiejś wirtualnej pomocy, by

nasza telekonferencja była sprawna i wystarczyła do właściwej oceny stanu zdrowia. To istotny obszar usprawnienia naszych umiejętności. Ważne jest także zadbanie o informacje online dla pacjentów, dotyczące choroby, leków, działań niepożądanych. Poszukajmy więc dla nich wiarygodnych źródeł wiedzy w internecie.

Co jednak ze starszymi osobami, które nie używają komputera? – Pacjenci bez dostępu do sieci z reguły mają w rodzinie lub wśród sąsiadów kogoś, kto ten internet obsługuje i pomoże chorej osobie w kontakcie z lekarzem lub w odnalezieniu informacji w sieci – mówi ekspert. – W dodatku wiele aktywnych zawodowo osób pracuje teraz

zdaleń i nie są one aż tak zabiegane jak wcześniej. Nie widzę tu więc bardzo istotnego zagrożenia. Problemem dla systemu ochrony zdrowia może być natomiast dotarcie do osób, które nie mają umiejętności korzystania z e-narzędzi. W takich przypadkach zostają jeszcze telefony. Ważne jest szczególnie, by kontaktować się z pacjentem w wyznaczonym terminie spotkania, jeśli wizyta została odwołana lub pacjent się na nią nie stawił. Dobrze jest sprawdzić, czy nie pojawił się, bo nie potrafił się z nami skontaktować, czy może czuł się bardzo źle, czy w końcu ▶

Przychodzi nam podzielić się z Państwem prawdziwie smutną i okrutną wiadomością:

zmarł

Eugeniusz Kabatc

Prezes Polskiego Oddziału Stowarzyszenia Kultury Europejskiej.

Człowiek wielkiego charakteru i zasług dla kultury polskiej,
członek władz centralnych SEC.

Wybitny pisarz i tłumacz,

autor cenionych i wielokrotnie nagradzanych powieści i opowiadań.

Niestrudzony organizator życia literackiego;

od blisko półwiecza działacz Polskiego SEC, od 2005 jego prezes.

Wspaniały człowiek.

Zarząd Polskiego SEC

18 marca br., późnym wieczorem odszedł

EUGENIUSZ KABATC

pisarz, tłumacz, społecznik.

Mądry człowiek, dobry przyjaciel.

Nieustannie zaangażowany w sprawy publiczne. Bo lubił ludzi.

Nasz Autor.

Napisał dla naszego Wydawnictwa parę ważnych książek,
nade wszystko zaś znakomitą „Czarnoruską kronikę trędowatych”.

Małżonce, Pani Krystynie, najbliższym

przekazujemy wyrazy współczucia.

Jesteśmy z Wami pogrążeni w smutku.

Klára Molnár, Jacek Marciniak

z zespołem Studia EMKA

▶ dlatego, że jego stan jest dobry i uznał, że wizyta w tym momencie nie jest konieczna. Dlatego indywidualne kontakty z pacjentami powinny być utrzymane i to lekarz powinien zdecydować o tym, czy wizyta jest konieczna. Specjalista może też, na podstawie historii choroby, kontaktować się z pacjentem poprzez personel medyczny ośrodka i tą drogą przekazać mu niezbędne informacje.

Dr Sosnowski przyznaje jednak, że obecna sytuacja jest wyzwaniem dla polskiej służby zdrowia, przed którą stoi wiele zadań, m.in. sprawnego i skutecznego wykorzystania telemedycyny, właściwej i terminowej opieki nad pacjentami przebywającymi w domach, dbania o ich dobrostan. – Czas pokaże, jak sobie z tym poradzimy – na pewno dołożymy wszelkich starań, aby nasi pacjenci byli właściwie zaopiekowani – dodaje.

Nie zostawiamy seniorów bez pomocy

O brakach systemowych świadczy niepokojąca wypowiedź ordynatora

oddziału ratunkowego jednego z wrocławskich szpitali: – Ruch na SOR utrzymuje się na stałym poziomie, ale obserwujemy już pacjentów, którym przypadły wizyty w placówkach ambulatoryjnej opieki specjalistycznej. Ponadto zauważamy, że większość pacjentów kierowanych do SOR przez zespoły ratownictwa medycznego to osoby starsze, w znacznym stopniu schorowane. Widać, że nie przyjmują one leków. Są wśród nich osoby z niewydolnością krążenia, a nawet takie, które mają już kilkudniowe udary mózgu. To często osoby, których w ostatnich dniach nie odwiedzały rodziny.

Lekarz SOR z Wrocławia zaznacza, że personel jego oddziału stara się „uszczelnić” triaż: – Identyfikujemy pacjentów z gorączką, podejrzanych o infekcje wirusowe, izolujemy ich. Pracy jest na pewno więcej, na pewno większe jest też zużycie środków ochrony osobistej. Na szczęście na razie je mamy. Podejrzewamy jednak, że przedłużające się ograniczenie działalności POZ odbije się na nas.

Pozytywną informacją od ordynatora wrocławskiego SOR jest zaś to, że duża część społeczeństwa stosuje się do zaleceń i nie przychodzi na oddział ratunkowy nieodpowiedzialnie. – Jesteśmy także pozytywnie zaskoczeni akcjami w mediach internetowych: darmowe taxi dla lekarzy, darmowe posiłki z restauracji. To takie miłe momenty – dodaje lekarz.

Dr Monika Ścibor: – W tym miejscu widzimy, jak ważnym aspektem jest wdrażanie zasad, które opracowują dla nas specjaliści zdrowia publicznego. To dobra okazja, by zwrócić uwagę, że we współczesnym świecie, w każdym systemie opieki zdrowotnej, prócz zawodów medycznych muszą istnieć zawody pozamedyczne, związane z ochroną zdrowia. Dzięki specjalistom zdrowia publicznego praca całej ochrony zdrowia może być lepiej zorganizowana, a społeczeństwo na bieżąco edukowane o zagrożeniach i możliwościach ich minimalizowania – nie tylko w okresie pandemii.

Anna Brzeska



Zarząd Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej prosi o wsparcie działalności naszej organizacji i przekazanie 1% podatku dochodowego na rzecz Organizacji Pożytku Publicznego, jaką jest:

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Zarząd Główny
NR KRS: 0000043110

Wpłaty to pomoc dla naszych seniorów, których z roku na rok przybywa. Liczy się każda złotówka. Dziękujemy.

Zadyszka z respiratorami

Teraz wszyscy kupują respiratory i jest jak na wojnie

Barbara Jagas

Eksperti twierdzą, że u 10% osób zakażonych koronawirusem niezbędne stanie się użycie respiratora, czyli urządzenia, które oddycha za pacjenta. Do organizmu chorego przez rurę wtłaczany jest pod ciśnieniem tlen, który odpowiada za wszystkie procesy życiowe. Niektórzy potrzebują tylko wspomagania oddychania, inni zastąpienia go całkowicie pracą maszyny. – W ten sposób ratujemy życie człowiekowi, który jest niewydolny oddechowo na skutek wirusowego zapalenia płuc. Występuje wtedy obrzęk w obrębie układu oddechowego i nadmiar wydzieliny. Natomiast jeśli zastosujemy sztuczne oddychanie za pomocą respiratora, to spowodujemy odpowiednie nasycenie organizmu tlenem i człowiek przeżyje – tłumaczy dr Piotr Dąbrowiecki z Kliniki Chorób Infekcyjnych i Alergologii Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie.

Zgodnie z wytycznymi Ministerstwa Zdrowia w 21 szpitalach jednoimiennych, w których leczeni będą pacjenci z COVID-19, ma być 10% łóżek respiratorowych, gdzie można będzie pomóc osobom w najcięższym stanie. Większość dyrektorów nie zdradza, ile dokładnie ma już przygotowanych takich łóżek. 120 respiratorami pochwalili się Szpital Uniwersytecki w Krakowie przy ul. Jakubowskiego. Inny szpital jednoimienny, Samodzielny Publiczny Wojewódzki Szpital Zespolony w Szczecinie, zdradził, że jest w posiadaniu 60 respiratorów, a kolejne 14 sztuk zostało zamówionych.

W Poznaniu, gdzie na przyjęcie chorych szykuje się Wielospecjalistyczny Szpital Miejski im. Józefa Strusia, mają mieć 40 łóżek z dostępem do respiratora. Z Częstochowy, gdzie na placówkę zajmującą się zakażonymi COVID-19 wyznaczono Wojewódzki Szpital Specjalistyczny im. NMP, przychodzi odpowiedź, że szpital dysponuje wystarczającą liczbą

respiratorów. Jaką konkretnie – nie chcą zdradzić.

W oficjalnej odpowiedzi z Mazowieckiego Urzędu Wojewódzkiego czytamy, że „na terenie województwa mazowieckiego znajduje się ponad 600 łóżek na oddziałach zakaźnych”, przygotowanych do walki z koronawirusem, a w przekształconym w jednoimienny Centralnym Szpitalu Klinicznym MSWiA łóżka respiratorowe mają stanowić 10%. Ile to dokładnie, nie wiadomo.



Respirator zwiększa szanse niewydolnego oddechowo pacjenta na przeżycie.

Jak wiele respiratorów będzie naprawdę potrzebnych, trudno ocenić. Minister zdrowia Łukasz Szumowski zapewnienia, że Polska dysponuje 10 tys. tych urządzeń, ale wiadomo, że wiele z nich jest wykorzystywanych w leczeniu pacjentów niezarażonych koronawirusem. Dlatego konieczne jest zwiększenie ich liczby. Mają w tym pomóc przetargi na poziomie Unii Europejskiej. Polska bowiem takich urządzeń nie produkuje, nie możemy też liczyć na USA, gdyż prezydent Trump nie tylko zamknął granice, ale także, jak informuje Karol Madejski z firmy Walmed, zajmującej się sprowadzaniem respiratorów na polski rynek, zablokował ich sprzedaż poza USA. A to właśnie ze Stanów sprowadzaliśmy najwięcej tego typu urządzeń. Można jeszcze liczyć na Szwajcarię oraz Izrael, ale takich zakupów nie da

się zrealizować z dnia na dzień. – Teraz wszyscy kupują przecież respiratory i jest tu jak na wojnie – twierdzi Madejski. Dlatego starają się rozłożyć zamówienia na mniejsze partie, by chociaż trochę urządzeń zaproponować polskim szpitalom wcześniej niż za pół roku.

Bezradny jest szef firmy Respirea z Bydgoszczy, Tomasz Żądło, do którego ciągle dzwonią ze szpitali, czy nie ma jakiegoś respiratora na stanie. W ostatnich dniach cały zapas został wyczerpany i żadna ze znanych mu firm dystrybucyjnych na pewno ich nie magazynuje, bo przecież cena takiego urządzenia kształtuje się na poziomie 80-150 tys. zł za sztukę. Jego zdaniem czas oczekiwania na kolejne maszyny to minimum 16 tygodni ze względu na duże zapotrzebowanie na rynkach światowych.

Podobnego zdania jest pracownik niemieckiego Drägera, jednego z czołowych producentów respiratorów, mającego oddziały w Polsce. Chcący zachować anonimowość handlowiec mówi, że szpitale pytają o dostawy sprzętu do oddychania, ale on nie może podać konkretnego terminu. – Owszem, można dokonać u nas zakupu, ale dostawa aparatury jest w bliżej nieokreślonej przyszłości – tłumaczy. Fabryka w Niemczech została przeorganizowana i w tej chwili pełną parą produkuje prawie same respiratory. – Jakies partie na pewno do Polski trafiają, ale nie stanie się to w ciągu tygodnia czy dwóch – dodaje.

Firma Medtronic podaje oficjalnie do wiadomości, że już zwiększyła produkcję respiratorów o ponad 40% i robi wszystko, żeby podwoić moce przerobowe. Jak informuje Izabela Szumielewicz, specjalista od komunikacji, Medtronic produkuje respiratory w irlandzkim Galway. – W tej chwili przy produkcji respiratorów w Galway pracuje ponad 250 osób, ale Medtronic planuje podwoić tę liczbę. Już wprowadzono dodatkowe zmiany, a docelowo produkcja respiratorów ma się odbywać w trybie ciągłym – mówi Szumielewicz. Może część z nich trafi do Polski, ale informacji w tym zakresie brak.

Beata Igielska

On – wzięty lektor języków obcych i w nieco ograniczonym zakresie wykładowca akademicki. Ona – dziennikarka pisząca do ogólnopolskich tytułów. Obydwoje na śmieciówkach i tzw. samozatrudnieniu. Ośmioletni syn, kredyt na mieszkanie, kredyt na samochód. Początek epidemii koronawirusa w Polsce, on idzie do firmy, gdzie uczy języka angielskiego, nie zostaje wpuszczony. Nie każdy menedżer, którego uczy, jest w stanie przejść na edukację online. Zostaje garstka uczniów i jedne zajęcia tygodniowo na uczelni. Oczywiście też online. Ona na razie ma zamówienia, wszyscy chcą tekstów o koronawirusie, w różnych mutacjach: edukacja, rynek pracy, gospodarka. Jeszcze trochę zarobi i ma nadzieję, że otrzyma przelew w terminie, bo bank jakoś nie wziął pod uwagę kryzysu i nęka nieprzyjemnymi SMS-ami i mejlami na temat nieudanej próby ściągnięcia kredytu mieszkaniowego, mimo zapewnień prezesów i rządzących, że tak nie będzie. Z działem rozwiązań polubownych nie sposób się skontaktować. Spłacają raty od 16 lat, zostały im cztery. Nie chcą myśleć, się co stanie, gdy kryzys przedłuży się do np. pół roku.

Mają kontakty z tzw. branżą kreatywną: tłumaczami, organizatorami imprez, oświetleniowcami, ludźmi

Śmieciówki w czasach zarazy

Najbardziej poobijani po epidemii koronawirusa będą ludzie zatrudnieni na śmieciówkach. W gastronomii, transporcie, turystyce, rozrywce, kulturze



Pod koniec 2018 r. na umowach cywilnoprawnych było zatrudnionych 1,3 mln osób. Drugie tyle na samozatrudnieniu.

od nagłośnienia, cateringu – wszyscy na śmieciówkach, obecnie bez dochodów. Ich przyjaciółka z Ukrainy wynajmuje pokój w Warszawie, pracuje w kawiarni. Połowa jej skromnych zarobków idzie na opłaty. Pieniądze ma odłożone na jeden czynsz, błaga właścicielkę o obniżkę kwoty wynajmu.

Ich przyjaciel z kolei pracuje dla TVP jako operator kamery. Większość ludzi w tej instytucji jest na śmieciówkach. Albo zatrudnieni u kogoś; niby pracują w TVP, a nie pracują. Około połowy programów na żywo spadło, sportu nie ma w ogóle. Zostały tylko programy informacyjne i tzw. poranki przez Skype'a. Pracownicy mają codzien-

nie mierzoną temperaturę. Gdy jest 37 kresiek, ci na śmieciówkach maszerują na dwutygodniową kwarantannę, ci na umowach o pracę mają home office. Spadek zarobków o 1000 zł i więcej, z tyłu głowy duże kredyty mieszkaniowe.

„Uelastycznienie” bez bufora

Ich znajoma stojąca na czele wspólnoty mieszkaniowej odbiera rozpaczliwy telefon od właściciela restauracji na parterze. Człowiek błaga o obniżenie czynszu, od dwóch tygodni ani jednego klienta, w lokalu sam personel. Rada wspólnoty postanawia pomóc. Wynajmują jeszcze jeden lokal, następnego dnia kolejny

telefon. Tak, obniżą, tak, rozumieją. Sama wspólnota żyje jednak głównie z wynajmu. Takich historii są tysiące.

Aktorka z teatru w niewielkim mieście błagająca na Fejsie: przyjmę jakąkolwiek pracę. Ale też żebrzący o pomoc celebryci, którzy za jeden odcinek serialu zarabiają 5 tys. zł. Żebrze nawet znana piosenkarka, która za koncert dla banku kasuje 100 tys. zł. Przyjaciółka z Ukrainy nie żebrze, choć nie zarabia nawet 2 tys. zł.

Z danych GUS wynika, że pod koniec 2018 r. na umowach cywilnoprawnych było zatrudnionych 1,3 mln osób. Drugie tyle na samozatrudnieniu. W sumie armia ludzi, 2,6 mln osób. Ta grupa obecnie nie ma zleceń. Trzeba też wziąć pod uwagę inną niemałą grupę – bez ubezpieczenia zdrowotnego. 4,7 mln Polaków jest poza systemem, z czego połowa to emigranci ubezpieczeni

w krajach, w których przebywają. Czyli mamy ok. 2-2,5 mln nieubezpieczonych plus 500 tys. obcokrajowców, najwięcej Ukraińców. Dobrze chociaż, że 3 marca rząd zapewnił, że pacjenci z koronawirusem będą leczeni ze środków publicznych.

Wysyp samozatrudnienia i zatrudnienia na śmieciówkach przypadł na lata 2013-2014. „Uelastycznialiśmy” rynek pracy. Jest fajnie, pracownik bez urlopu, łatwo go zwolnić, bez odprawy. Idzie w świat bez zabezpieczenia od bezrobocia, bez bufora w wersji duńskiej – tam również

grodzenia. Oznacza to jednorazowy zastrzyk do 2080 zł.

Rozwiązania

Jan Rutkowski z Instytutu Badań Strukturalnych, w latach 1994-2016 pracownik Banku Światowego, podkreśla, że nie sama forma umów cywilnoprawnych jest problemem, ale ich nadużywanie. – W obecnej sytuacji potrzebna jest specjalna regulacja prawna. Trzeba zadziałać szybko i elastycznie, bo osobom na umowach cywilnoprawnych rzeczywiście

stwier. Teraz rząd firmom w kłopotach zaproponował obcięcie pensji pracowników o 20% i dopłaty na poziomie 40% wynagrodzenia, a także pożyczkę w wysokości 5 tys. – bezzwrotną, jeśli nie zwolnią pracowników. Należy więc przekonywać pracodawców, żeby nie zwalniali, a pracowników, żeby nie stawali się wyciągnąć z firmy wszystkich pieniędzy, bo ta upadnie.

Obietnice już były

Czy obecna sytuacja coś zmieni na stałe? Wątpliwe, jako społeczeństwo szybko zapomnimy, przez co ludzie na śmieciówkach musieli przejść. Były już niezrealizowane obietnice, że wszystkie umowy zostaną oskładkowane. Pracodawcy, którzy wcześniej chcieli jedynie uwalniać rynek od ręki państwa, teraz sami do państwa wyciągają rękę. Lobbowali ostro i głośno, otrzymali największe wsparcie, choć w czasach zarazy i tak wydaje się ono niewystarczające. Ludzie na śmieciówkach, zarabiający 2 tys. zł miesięcznie, dostali za dużo, by umrzeć, ale za mało, by żyć.

– Umowy cywilnoprawne nie są problemem głównie dla tych, którzy nie są na nich zatrudnieni – mówi dr Łukasz Polowczyk, etyk, filozof. – Co wspaniałego jest w tym, że nie można mieć nigdy urlopu, bo kiedy się nie pracuje, to się nie zarabia? Co, kiedy kończą się zamówienia i odbiera się mejle od windykatorów, a z powodu braku ubezpieczenia zdrowotnego

Pracodawcy, którzy wcześniej chcieli jedynie uwalniać rynek od ręki państwa, teraz sami wyciągają do państwa rękę.

„uelastyczniono”, ale z głową. Duński system flexicurity (połączenie słów flexibility – elastyczność i security – bezpieczeństwo) cechuje właśnie elastyczność. Pracodawcy mogą szybko zatrudniać i zwalniać pracowników, gdyż pozwala na to prawo, ochrona etatów jest słaba. Ale pracownicy są bezpieczni, zasiłki krótko- i długoterminowe należą do najwyższych wśród państw OECD. To przykład pogodzenia podejścia liberalnego i socjalnego. Firmom łatwiej utrzymać się na rynku, bo mogą się pozbyć pracowników w danym momencie niepotrzebnych lub nieefektywnych. Jednocześnie to państwo pokrywa koszty ich bezpieczeństwa socjalnego, wykształcenia, szkoleń itp. Z kolei sami pracownicy

łatwiej przechodzą z branż, gdzie są zbędni, do branż, gdzie są potrzebni. W Polsce brzmi to jak science fiction. Na byle jakich, nieoskładkowanych umowach o dzieło funkcjonują prace sezonowe, ale także całe branże, np. pracownicy ochrony. Jak pokazuje model duński, elastyczność może służyć i zleceniodawcy, i zleceniobiorcy, ale w razie kryzysu muszą być narzędzia wspomagające tę armię ludzi. Tymczasem w dobie koronawirusa polscy śmieciówkowiec zostali sami. Bo wcześniej nikt nie pomyślał, co się z nimi stanie w razie kryzysu. To, co zaoferowało państwo w pakiecie „Tarcza antykryzysowa”, nie napawa optymizmem: osoby na umowach cywilnoprawnych i te na samozatrudnieniu mogą liczyć na wypłatę do 80% minimalnego wy-

trzeba pomóc. Sądzę, że najprościej byłoby rozciągnąć te same zasady i zastosować te same kryteria, które obowiązują w przypadku umowy o pracę odnośnie do zasiłku dla bezrobotnych. Nie mógłby skorzystać z takiego zasiłku ktoś, kto pracował krótko, np. trzy miesiące przy projekcie europejskim albo roznosząc przez trzy tygodnie ulotki.

Marcin Budzewski z Instytutu Analiz Rynku Pracy zastanawia się jednak, co by było, gdyby nagle wszyscy zatrudnieni na umowach cywilnoprawnych stali się krótkotrwale bezrobotni. Jak ich zarejestrować? W urzędzie pracy można to co prawda zrobić za pośrednictwem serwisu praca.gov.pl, ale z takiej opcji mogą skorzystać

Jeśli pracodawca zwolni pracownika w nieetyczny sposób, za miesiąc czy dwa może się okazać, że nie ma kto dla niego pracować.

tylko osoby posiadające bezpieczny podpis elektroniczny albo profil zaufany ePUAP. – To trudna sytuacja, na którą trzeba patrzeć z perspektywy pracodawcy i pracownika. Pracownicy biur podróży, barów, restauracji, transportu, ochrony – wszyscy są na śmieciówkach. Pracodawca przestaje świadczyć usługi, oni przestają zarabiać. Jeśli zwolni ich w nieetyczny sposób, za miesiąc czy dwa może się okazać, że nie ma kto dla niego pracować. A jeśli pracownik nadal będzie chciał otrzymywać świadczenia na dotychczasowym poziomie, doprowadzi do likwidacji bądź zawieszenia działalności. Dobrym wyjściem byłoby płacenie postojowego, pół na pół z pań-

drzy się na myśl o byle chorobie? Koronawirus nie jest wielkim wyrównywaczem – ten nowy celebryta różne klasy społeczne traktuje odmiennie. Ludzie z etatami dostaną swoje pensje, mogą też wziąć urlop zdrowotny. Najbogatsi, jeśli tylko chcą, mogą zgromadzić ogromne zapasy, wykupić najnowsze leki, także eksperymentalne, i pochować się w swoich „zamkach”, natomiast żyjący w niepewności jutra prekariusze na śmieciówkach nie mają żadnego z tych luksusów. Zredukowani do obywateli drugiej kategorii, nawet z dyplomem najlepszej uczelni, z dnia na dzień mogą być zrujnowani lub zasilić rosnącą rzeszę bezdomnych. ■

 Rozmawia Jakub Dymek

Nie minęła doba od ogłoszenia w Polsce stanu zagrożenia epidemicznego, a już mogliśmy się dowiedzieć, m.in. z „Wiadomości” TVP, że Bruksela wobec pandemii „siedzi z założonymi rękoma”. **Najważniejszy serwis informacyjny w Polsce donosił: „Koronawirus obnażył słabość UE. Bruksela nie przygotowała się do zderzenia z epidemią, a ciężar walki spoczywa na barkach krajów członkowskich”. Pan przeciw takiemu ujęciu sprawy zaprotestował. Dlaczego?**

– Dla mnie zdumiewające było to, że taka fala krytyki wylała się w sposób nagły, skoordynowany, jakby za naciśnięciem guzika postanowiono rzucić się sobie do gardeł w sprawie mitycznej „Brukseli” i tak zacząć ją krytykować za to, co robi i czego nie robi w sprawie koronawirusa. Albo robi niewystarczająco, źle, niedostatecznie i nie tak, jak krytykujący by sobie tego życzyli. Przy czym głosy te były nieskażone analizą czegokolwiek, co od stycznia do dziś faktycznie w tej sprawie się wydarzyło i wciąż się dzieje. Krytycy UE nie zareagowali na to, że dosłownie kilka dni wcześniej odbyła się konferencja szefów rządów w sprawie koordynacji działań wobec pandemii koronawirusa.

Gdy krytyka wynika z przesądów i uprzedzeń, należy protestować. Każdego można krytykować za to, co w ciągu ostatnich ponad dwóch miesięcy zrobił i czego nie zrobił: Donalda Trumpa, Borisa Johnsona, Mateusza Morawieckiego, Ursulę von der Leyen.

Po takim zdaniu najczęściej następuje ale.

– Właśnie! Do Brukseli, instytucji europejskich, również można mieć uwagi – szczególnie post factum – na temat tego, co można było zrobić wcześniej lub lepiej. Jednak patrząc na realia tego, co instytucje europejskie mogą robić w tej sytuacji, to wykonują one swoje zadania przyzwoicie.

Jan Truszczyński – pierwszy w historii dyrektor generalny w Komisji Europejskiej z naszego regionu. W 2005 r. za wybitne osiągnięcia w negocjacjach akcesyjnych Polski z Unią Europejską i zasługi dla polskiej polityki zagranicznej został odznaczony przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Integracją europejską zajął się niemal 50 lat temu.

Granice państw nie są granicami dla epidemii

Z aktualną pandemią radzą sobie Tajwan, Hongkong, Wietnam, Korea. Mamy czego od nich się uczyć



JAN TRUSZCZYŃSKI

– dyplomata, główny negocjator członkostwa Polski w Unii Europejskiej

Jakie zatem są to możliwości i kompetencje?

– W dziedzinie ochrony zdrowia i bezpieczeństwa publicznego instytucje UE mają wobec państw członkowskich kompetencje doradcze. Jeśli chodzi nie o regulacje – w sprawach leków czy standardów sanitarnych – ale o sytuacje nagłe i straszne, jedynie kraje członkowskie mogą decydować.

Może zatem politycy PiS, którzy przekonują, że „tylko państwa narodowe mogą podejmować realne decyzje”, mają rację?

– Ale we współpracy z Unią! Wszyscy wiemy, że granice między państwami nie są granicami dla epidemii. Przekonaliśmy się o tym aż nadto dobrze w ostatnich miesiącach. Czy zakaz ruchu granicznego pomógł tu i teraz, w Ślubicach i w Zgorzelcu, pogranicznikom i mieszkańcom tych miejscowości, po polskiej, czeskiej i niemieckiej stronie – opinie na ten temat są różne.

Dla dalszego funkcjonowania wspólnego rynku choćby branża transportowa musi działać, kierowcy i maszyniści mogą być testowani w przyspieszonym trybie na granicach, a ich pracę obejmą wspólne regulacje. Zrozumiałe jest to, że Polska może chcieć poddawać obywateli kwarantannie i zamykać granice, ale z drugiej strony nikt już nie funkcjonuje w oderwaniu od całego organizmu europejskiego – nie wzięło się z powietrza to, że dziś protestują w Polsce zatrzymani litewscy kierowcy, którzy chcą wykonywać w miarę normalnie swoją pracę.

Każdy kraj może podejmować decyzje ograniczające swobodę obrotu

towarowego, transportu czy ruchu granicznego, motywując to zagrożeniem dla zdrowia publicznego – niewątpliwie mamy do czynienia z tego rodzaju potrzebą. Jednak restrykcje muszą być proporcjonalne do zagrożenia i opierać się na ekspertyzie i szacunku stopnia ryzyka, na podstawie ocen wydanych przez epidemiologów i dobrych praktyk, a nie widzimisię urzędnika.

A tak pańskim zdaniem jest?

– Są kraje, gdzie naukowcy wysunęli się zdecydowanie na plan pierwszy – np. Korea. W Korei decydują ci, którzy są administratorami w służbie zdrowia, i epidemiolodzy, a politycy siedzą na tylnym siedzeniu i ich nie widać aż tak jak w niektórych krajach europejskich. Można argumentować, że i u nas, w Europie, powinno tak być. Mamy czego się uczyć od krajów azjatyckich, dotkniętych w swoim czasie śmiertelnościami epidemiami, choćby wirusem SARS – z tamtej katastrofy wyciągnięto w porę wnioski i nauczono się reagować. Wszyscy to piszą i ja z tym mogę wyłącznie się zgodzić: z aktualną pandemią radzą sobie Tajwan, Hongkong, Wietnam, Korea. Mamy czego od nich się uczyć.

Słowa i oceny, do których się odnosimy – o faktycznej czy zmyślonej nieudolności instytucji europejskich – są jednak elementem szerszej dyskusji: sporu o to, czy dzisiejszy model globalizacji jest najlepszy z możliwych, czy jednak doszedł do ścian i wymaga korekty w stronę większej roli państw narodowych.

– Dla mnie ramą narracyjną dla tego (i nie tylko tego) kryzysu pozostają wyzwania dla Europy na przyszłe dziesięciolecie i jej miejsce w świecie. Można wrócić tu do kryzysu zadłużeniowego z lat 2009-2011 – od tamtego czasu mamy do czynienia z tąpnięciem wiary rządzonych w rządzących. **Kryzys legitymacji?**

– W pewnym sensie tak. Rządzeni nie są już tak przekonani co do tego, że rządzący, wybierani w wyborach, są zdolni odpowiedzieć na sytuacje kryzysowe. Brakuje wiary, że – mówiąc potocznie – rządzący wiedzą, o co chodzi. A jeśli już wiedzą, że będą w stanie ustalić, co należy zrobić, następnie te ustalenia wdrożyć i wykonać. To poważne ograniczenie.

Z jednej strony, mamy wyzwania globalne, więc aż się prosi, aby

odpowiedź na nie była ogólnoeuropejska, by kompetencje i zdolność działania zostały uwspólnione w jeszcze większym niż obecnie stopniu. Z drugiej, nie ma gotowości polityków do podejmowania tego ryzyka i inwestowania swojego osobistego kapitału politycznego w działania, które z czysto politycznego i wyborczego sensu nie będą się opłacać albo nawet nie mają prawa się opłacać. Jest to dodatkowo wzmocnione przez niegotowość rządzonych – mimo ich wiedzy, że wiele rzeczy szwankuje – do powierzenia wspólnym instytucjom większej odpowiedzialności, dania im więcej kompetencji i prerogatyw niż do tej pory.

Nikt już nie funkcjonuje w oderwaniu od całego organizmu europejskiego.

Co na to opinia publiczna?

– Oczywiście są badania opinii publicznej, również w naszym kraju, które pokazują, że większość obywateli nie ma nic przeciwko temu, aby zaistniała wspólna polityka zagraniczna i bezpieczeństwa UE – i była prawdziwie wspólna, także w warstwie realnych i praktycznych działań. Mimo to głębokiej gotowości społeczeństw do zintegrowania polityk i przenoszenia kompetencji ze szczebla krajowego na unijny nie ma. I to od lat.

Pandemia taka jak obecna mogłaby stanowić impuls do myślenia, że zamiast chowania się pod skorupami i za granicami narodowymi, które, jak widzimy, i tak przed niczym nie chronią, odpowiedzią powinno być zacieśnienie koordynacji i współpracy między państwami i dzięki wspólnym instytucjom. Są głosy za tym, żebyśmy, rozważywszy, co już zrobiliśmy nie tak, przedstawili konkretne propozycje, jak uwspólnić część odpowiedzialności za ochronę zdrowia.

Mówi pan, że może powstać impuls, aby w obliczu kryzysu podzielić się odpowiedzialnością i ściślej zintegrować kompetencje państw w ramach UE. Zastanawiam się, czy równie prawdopodobny nie jest odwruch przeciwny i impuls do wzmocnienia państw kosztem wspólnoty, suwerenności kosztem integracji, a rządów narodowych względem ponadnarodowych instytucji.

– Zdecydowanie za wcześnie na prognozę tego rodzaju.

Myśli pan, że takiego ryzyka nie ma?

– Ryzyko jest zawsze. Natomiast powstaje pytanie o jego materializację: ile państw w Europie zostanie ogarniętych takim trendem? Od lat mamy do czynienia ze zróżnicowanymi poziomami integracji i sytuacją, w której część krajów europejskich pozostaje poza tzw. ścisłym jądrem integracji. To nawet da się arytmetycznie zmierzyć, patrząc na liczbę tzw. derogacji czy wyłączeń od wspólnych polityk europejskich, które ma część krajów członkowskich. Pomijając już Wielką Brytanię, do krajów z największą liczbą odstępstw należy Polska, więcej mają ich Dania i Chorwacja, która jednak dołączyła do Unii w 2013 r.

i wciąż jest w sytuacji przejściowej. Większość ma tych wyłączeń zero i choćby stąd bierze się moje przekonanie, że tendencja, o której pan mówi, nie będzie się materializować we wszystkich krajach w tym samym stopniu.

Czy doświadczenie kryzysu uchodźczego, brak solidarności europejskiej i chęci współpracy między krajami, nawet w obliczu katastrofy humanitarnej na naszych granicach i wewnątrz nich, nie jest tu smutną zapowiedzią tego, co może się stać?

– Niewątpliwie jest. Kraje, które odmówiły okazania solidarności, postąpiły wbrew prawu i ustaleniom europejskim. Realizm nakazał jednak instytucjom europejskim nie powtarzać głosowań i nie stawiać państw sprzeciwiających się mechanizmom europejskiej solidarności w roli



▶ przegranych. Realizm polityczny polegał na tym, że uznano, że nie ma drogi do zmuszenia takich krajów jak Węgry i Polska, aby powróciły do głównego nurtu – a obawiano się, że zagrożona zostanie idea wspólnego prawa europejskiego, szacunku dla niego i konieczności jego przestrzegania.

Jest to smutna konstatacja, bo przez to od 2016 r. nie możemy się doczekać zmian w europejskim systemie azylowym, brakuje konsensusu i woli – bo nawet zmiany przegłosowane przy poparciu większości państw będzie można podważyć i sabotować. Część krajów powie: nie będziemy się stosować. Natomiast nie odważyłbym się prorokować, jak będzie w nadchodzących latach.

W tym momencie Europa zawieszona funkcjonowanie strefy Schengen, zbroi nie tylko zewnętrzne, ale i wewnętrzne granice, a swoboda podróżowania zostaje ograniczona.

– Ale w zgodzie w legislacją dotyczącą Schengen. Umowy między krajami pozwalają na wprowadzanie tych środków, które właśnie są

wprowadzane. Od 2016 r. część krajów stosuje kontrole na granicach i co pół roku przedłuża funkcjonowanie tych kontroli, za każdym razem podając inne argumenty, żeby, pozostając nominalnie w zgodzie z rozporządzeniem dotyczącym obszaru Schengen, utrzymywać kontrole. Takimi krajami są Niemcy i Austria. Słowem, od lat mamy do czynienia z psuciem – co prawda mało widocznym i dość mało dokuczliwym – istniejących warunków prawnych.

Dzisiaj więc stykamy się z more of the same, czyli większą dawką tego, co już znamy. Gdyby jednak doszło do jakiegoś odbicia, nawrotu pandemii jesienią i innymi podobnymi hibernacyjnymi scenariuszami, mogłoby to stanowić powód czy pretekst do kontynuacji lub zaostrzenia tego kursu. **Zastanawia się pan, w jakim kształcie wyjdą z tego kryzysu liberalna demokracja, zjednoczona Europa i globalizacja?**

– Wszystko zależy od percepcji gospodarczej odpowiedzi na bieżący kryzys – zarówno na poziomie

poszczególnych krajów, jak i wspólnie, na poziomie europejskim. Jak będzie wyglądać recepta na recesję, na spadki po stronie popytowej i podaźowej. Przekładając to na możliwie proste słowa: chodzi o to, by utrzymać minimalny poziom zaufania konsumentów, pracowników, biznesu, że przejdziemy przez pewną, oby nie-dużą, „dolinę łez”, ale nie zostaniemy w tym sami i choć będzie ciężko, obejdzie się bez wielkiego krachu, fali bankructw i upadłości.

Czy instrumenty, które powstają – w UE, USA i wszystkich gospodarkach dotkniętych kryzysem – okażą się wystarczające? To pewnie najważniejsze pytanie na teraz. Na razie, choć różni sceptycy i ci, którzy większą wiarę dają przesądom niż analizie, twierdzą inaczej, międzynarodowa i wewnątrz europejska koordynacja wygląda obiecująco. Mamy z każdym dniem więcej dowodów, że jest wola polityczna, by zmierzyć się z tym kryzysem i jego konsekwencjami. A krachu i zapaści uniknąć chcą wszyscy.

Jakub Dymek

KAROL MARKS
Wybór i opracowanie
OLGA POLITT
Przemysław Wielgosz
O KWESTII POLSKIEJ
Książka i Prasa

Le Monde diplomatique poleca

Karol Marks
O kwestii polskiej
Wybór i opracowanie
Holger Politt
Przemysław Wielgosz

Do nabycia w księgarniach
i w empikach w działach prasowych
Książkę można zamówić
w wydawnictwie „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa,
telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@iwkip.org
www.monde-diplomatique.pl



Z Galicji

Jan Widacki

Gdy minie zaraza

Czy dziś można pisać o czymś innym niż epidemia koronawirusa, jej bezpośrednie i pośrednie skutki? Przecież epidemia kiedyś się skończy i trzeba będzie żyć w zdeorganizowanym przez nią świecie. A dezorganizacja będzie ogromna. Jak ogromna, tego jeszcze nikt nie wie. Świat po koronawirusie będzie na pewno inny. I w tym innym świecie, w innych, nowych warunkach, trzeba będzie, obok wielu nowych problemów, rozwiązywać też stare. Te, których nie rozwiązano w lepszych okolicznościach przed epidemią.

Takim nierozwiązanym problemem jest reforma wymiaru sprawiedliwości. Jedno z najtrudniejszych zadań. Nie dość, że trzeba będzie kiedyś naprawiać to, co PiS zdemolowało, ale równocześnie trzeba będzie wprowadzić prawdziwą reformę. Sądy są teraz zamknięte, zajęcia na uczelniach odwołane, kawiarnie nieczynne – skoro musimy siedzieć w domu, to sobie o tej koniecznej reformie wymiaru sprawiedliwości podyskutujmy.

Zanim PiS zaczęło demolować sądy, nie w celu ich usprawnienia, podniesienia jakości wymierzanej sprawiedliwości, ale by je sobie podporządkować, powszechnie narzekano na przewlekłość postępowań. Prawdą jest, że postępowania sądowe, a także śledztwa, wlokły się okropnie. Nawiasem mówiąc, teraz wloką się jeszcze bardziej.

Przyspieszenie postępowań sądowych wymaga, najogólniej mówiąc, dwóch rzeczy. Po pierwsze, trzeba sądy, zwłaszcza rozpoznające sprawy cywilne i gospodarcze, odciążać, zmniejszyć liczbę spraw, które muszą one rozpoznawać. Po drugie, trzeba usprawnić działania sądu.

Poważnym odciążeniem sądów rozpoznających sprawy cywilne i gospodarcze mogą być sądy polubowne. Na świecie bardzo popularne, u nas, jakkolwiek dopuszczalne, nie przyjęły się. Prawdopodobnie w wyniku małego zaufania społecznego. Ludzie boją się, że mogą nie być bezstronne, że nie są niezawisłe. Nie mając zaufania do siebie wzajemnie, Polacy nie ufają również takim instytucjom jak sądy polubowne. Może za mało tłumaczono ludziom, co to takiego sąd polubowny, za mało je popularyzowano? Nie wyjaśniano, że są tańsze i szybsze niż sądy powszechne?

Może to nieintuicyjne, trudne do pojęcia, ale sąd to też firma. Bardzo specyficzna, ale firma. A firma, aby dobrze działać, musi być dobrze zorganizowana i zarządzana. Nasze sądy nie są dobrze zorganizowane – i na dobrą sprawę nie są zarządzane. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że władza prezesów sądów musi być realna (a nie jest). Niezwykle trudno wzmocnić władzę prezesów i zagwarantować niezawisłość podległych im sędziów. Wymaga to precyzyjnych

przepisów i dużej kultury prawnej. Nie ma jednak wątpliwości, że prezesów nie może powoływać tak jak dziś minister sprawiedliwości, który w dodatku jest prokuratorem generalnym.

Znaczną część czasu pracy sędziów pochłaniają czynności, które mogliby wykonywać niżej kwalifikowani asystenci, sekretarze. Trzeba również pamiętać, że sądy nie działają w próżni. Są fragmentem szerszego systemu i zależą także od pracy innych jego elementów. Aby sąd mógł sprawnie działać, sprawnie działać musi policja, która konwojuje oskarżonych, sprawnie działać muszą instytucje eksperckie wykonujące ekspertyzy. Co z tego, że sąd będzie dobrze zorganizowany, jeśli konwój nie dostarczy oskarżonych na czas, a na opinie biegłego czekać trzeba będzie pół roku?

Ale to dopiero wycinek problemu. Największą bolączką naszego wymiaru sprawiedliwości jest jakość wymierzanej sprawiedliwości. Tę jest znacznie trudniej zapewnić niż sprawność działania sądu. Co więcej, tego się nie da zrobić szybko. Naszym sędziom brakuje na ogół doświadczenia życiowego. Życie znają tylko z perspektywy sądu. A to niejedyna perspektywa. I chyba nie najlepsza. Brakuje im też na ogół wiedzy pozwalającej na właściwą ocenę dowodów, zwłaszcza dostarczanych przez biegłych. Sędzią nie powinno się zostawać bezpośrednio po studiach i aplikacji.

Nie dość, że trzeba będzie kiedyś naprawiać to, co PiS zdemolowało, ale równocześnie wprowadzić prawdziwą reformę.

Stanowiska sędziowskie powinny być obsadzone w drodze konkursu, do którego przystąpić mogą osoby mające co najmniej kilkunastoletni staż w innym zawodzie prawniczym. Obowiązkowe powinny być ciągłe, ujęte w system, szkolenia sędziów, nie tylko z ciągle nowelizowanych przepisów, ale także, w przypadku sędziów karnych, z medycyny i psychiatrii sądowej, kryminalistyki, psychologii, metodologii nauk przyrodniczych. W przypadku sędziów cywilnych czy gospodarczych z zakresu ekonomii i zarządzania. Bez elementarnej wiedzy z tych dyscyplin sędziowie nie są w stanie dokonać krytycznej oceny opinii biegłego, do czego są zobowiązani przez prawo i co jest konieczne do wydania sprawiedliwego wyroku.

Oczywiście obecnie nie ma warunków, aby reformę wymiaru sprawiedliwości przeprowadzić. Ale jak uczył Platon, zanim powstanie rzecz, musi najpierw być jej idea. Mówiąc prościej, zanim stolarz zrobi stół, musi go sobie narysować albo co najmniej wyobrazić.

Na razie zatem spróbujmy sobie wyobrazić, jak ma wyglądać wymiar sprawiedliwości. Kiedyś, gdy będą warunki, ta idea może się zmaterializuje.

Zamaskowana ulica

Z powodu koronawirusa Wietnamczycy zamknęli nawet hurtownie, choć nie musieli



Targowisko na Bakalarskiej w Warszawie, 20 marca.

Ewa Smolińska-Borecka

Ulica Bakalarska, zazwyczaj obstawiona samochodami, wypełniona ludźmi i gwarna, dziś jest pusta. W zatokach parkingowych ledwie kilka samochodów. Brama prowadząca do wnętrza targowiska zamknięta. Pawilony okalające targowisko niczym mury obronne – też prawie martwe. Na bramie i w oknach wystawowych zawieszono informacje w dwóch językach: na górze w wietnamskim, na dole w polskim. Wynika z nich, że w związku z rozprzestrzenieniem się koronawirusa i zaleceniem służb sanitarnych targowisko będzie zamknięte do odwołania.

Następca Jarmarku Europa

Targowisko Bakalarska na warszawskiej Ochocie od dziewięciu lat tętni życiem. To tu przeprowadziła się znaczna część wietnamskich kupców

z Jarmarku Europa, czyli dawnego Stadionu Dziesięciolecia. Bazar stał się centrum wietnamskiego handlu, zanim powstały centrum handlowe w Wólce Kosowskiej pod Warszawą i Marywiłska 44 na Białołęce. Działo

Już 28 stycznia specjalnie powołany wietnamski komitet wydał zalecenie, aby osoby, które wracają z Chin i Wietnamu, pozostawały w domu przez 14 dni.

siedem dni w tygodniu i było licznie odwiedzane przez polskich klientów. Nad pozostałymi ma tę przewagę, że od centrum miasta dzieli je kilka kilometrów, więc bez trudu można tu dojechać.

Z ponad 20 punktów handlowych i usługowych w pawilonach czynny jest sklep spożywczy, bar, salon urody. Klientów niewielu. Wszyscy Wietnamczycy, zarówno kupujący, jak i sprzedawcy, w maseczkach na twarzy. Kilku zamaskowanych młodych

Wietnamczyków chodzi tam i z powrotem. Może z nudów? A może czekają na propozycję jakiejś pracy, bo przecież miejsce, z którego żyli, jest teraz martwe. W końcu wsiadają do mercedesa i odjeżdżają.

Bus z owocami parkuje w zatoczce. W środku limonki, pomarańcze, truskawki. Kierowca, także w maseczce, siedzi znużony za kierownicą, czeka na klientów. Od czasu do czasu podejście jakaś Wietnamka, która wybrała się na zakupy, i po chwili targa do samochodu całą skrzynkę pomarańczy albo skrzyneczkę dorodnych truskawek. Sprzedawczyni rozłożyła skrzynki z warzywami wprost na chodniku i też czeka. W jedynym czynnym wietnamskim sklepie spożywczym sami Wietnamczycy. Ekspedientka niechętnie rozmawia, udaje, że nie rozumie pytań, a może faktycznie nie rozumie. Podobnie w barze. Zdarza się, to prawda, że sprzedający znają po polsku tylko nazwy podawanych potraw, ale jakoś udaje im się funkcjonować w Polsce, tak jak Polakom na Greenpoincie. Teraz bar oferuje tylko dania na wynos. Co jakiś czas podejżdża samochód z polskimi klientami. Wysiada mężczyzna albo para. Czekając na swoje zamówienie, spacerują po opustoszałej ulicy. I pewnie zastanawiają się, kiedy Bakalarska odżyje.

Zdolność przewidywania

Nie ma również po co jechać na Marywiłską ani do Wólki Kosowskiej. Oba centra, w których handlują przede wszystkim kupcy wietnamscy, są zamknięte. – Właściwie centrum

w Wólce Kosowskiej mogło funkcjonować, bo rozporządzenie ministra zdrowia dotyczy zakazu handlu detalicznego w dużych obiektach, powyżej 2 tys. m kw., a tam jest głównie handel hurtowy – tłumaczy Karol Hoang, sekretarz i rzecznik prasowy Stowarzyszenia Przedsiębiorców Wietnamskich w Polsce. – Ale mając na uwadze ogólną sytuację, centra handlu hurtowego w Wólce Kosowskiej podjęły decyzję o zamknięciu swoich obiektów dla klientów.

To znaczy, że sami Wietnamczycy nałożyli na siebie większe rygory, niż wymagało rozporządzenie. Zrobili to na wszelki wypadek, żeby nikt im nie zarzucił, że przyczyniają się do rozprzestrzeniania koronawirusa w Polsce. Hoang nie chce mówić o stosunku Polaków do nich. Ale w końcu przyznaje, że od początku pojawienia się informacji o koronawirusie w Chinach można było usłyszeć skargi Wietnamczyków, że są traktowani przez Polaków z niechęcią.

Kiedy Wietnamczycy zjawiali się w miejscach publicznych albo stawali w kolejce, nagle w promieniu metra czy dwóch wokół nich robiło się pusto.

Nie, nie było aktów agresji, ale dawano im odczuć, że są potencjalnym źródłem zarażenia. Kiedy zjawiali się w miejscach publicznych albo stawali w jakiejś kolejce, nagle w promieniu metra czy dwóch wokół nich robiło się pusto. Hoang to rozumie, bo ludzie się bali. Teraz już nikogo nie dziwi, że każdy od każdego zachowuje dystans, ale od tamtego czasu minęły dwa miesiące.

– Ludzie wiedzą, że jesteśmy Azjatami, ale nie są w stanie odróżnić Chińczyka od Wietnamczyka – mówi. – W obawie przed wirusem z Chin woleli izolować się także od nas. Mieliśmy świadomość, że jesteśmy szczególnie bacznie obserwowani przez społeczeństwo. Dlatego bardzo nam zależało na tym, żeby rygory sanitarne w naszej społeczności były wyższe niż obowiązujące w kraju.

Kiedy więc prezydent Duda i premier Morawiecki jeździli po Polsce i pokazywali się na tle kobiet w ludowych strojach, Wietnamczycy zastanawiali się, jak mogą przeciwdziałać epidemii. Wiadomo, że możliwości prewencyjne społeczności, która ma zaledwie 25-30 tys. członków, nie są duże, ale zawsze warto coś robić. 28 stycznia trzy organizacje wietnamskie: Stowarzyszenie Wietnamczyków w Polsce, Stowarzyszenie Wspierania Przedsiębiorczości w Wólce Kosowskiej Wólka Center i Stowarzyszenie Przedsiębiorców Wietnamskich w Polsce, wspólnie powołały komitet ds. zagrożenia koronawirusem. – W skład tego komitetu weszło 10 osób, które są znane i poważane w naszym środowisku – wyjaśnia Hoang.

Skąd taka zdolność przewidywania? Wietnamczycy to naród doświadczony przez epidemię, którą na początku XXI w. wywołał SARS. Wtedy pierwsze zachorowania również pojawiły się w Chinach. Wiedza i doświadczenie nabyte w walce z tamtym wirusem sprawiły, że Wietnamczycy mieli świadomość, jakie działania prewencyjne powinny być podjęte. – Prewencja na poziomie jednostkowym jest bardzo ważna – uważa Hoang. – Wszelkie działania,

jakie zalecał komitet, były akceptowane przez społeczność wietnamską, bo ludzie z tego komitetu mają autorytet.

Ponieważ wielu przedsiębiorców wietnamskich podróżuje do Azji, już 28 stycznia komitet wydał zalecenie, aby osoby, które wracają z Chin i Wietnamu, pozostawały w domu przez 14 dni. Miesiąc później, 25 lutego, wydał kolejne zalecenie, aby w domu przez 14 dni pozostawały także osoby powracające z Włoch i Korei Południowej oraz by przedsiębiorcy nie wyjeżdżali do Włoch, a towary zamawiali wyłącznie przez internet. Cztery dni później zalecenie pozostania w domu przez 14 dni dotyczyło dodatkowo osób wracających

Zanim polski rząd pomyślał o wsparciu pracujących, społeczność wietnamska zdecydowała, że stworzy z dobrowolnych składek fundusz pomocowy.

z Hongkongu, Singapuru, Tajlandii i Iranu. 5 marca, dzień po potwierdzeniu pierwszego przypadku zakażenia koronawirusem w Polsce, komitet zalecił, by Wietnamczycy nie wyjeżdżali do Włoch, Niemiec, Francji, Hiszpanii, Chin, Korei Południowej, Japonii i Iranu. A także, by odwołać wszystkie imprezy zbiorowe.

– Nie twierdzę, że wszyscy bez żadnych oporów poddawali się tym zaleceniom – mówi Hoang. – W każdej społeczności są osoby, które próbują się wyłamać. Ale znajomi wiedzą, gdzie ktoś wyjeżdżał. I jeśli nie został w domu, a powinien, była na niego wywierana presja społeczna.

Najpierw odbywano z taką osobą rozmowę, bo właściciele sąsiednich boksów handlowych się niepokoiili. A jeżeli to nie skutkowało, nakazywano zamknięcie boksu.

Podjejrzone maseczki

W państwach azjatyckich noszenie maseczek na twarzy jest bardzo popularne i akceptowane. Za brak maseczki można nawet zapłacić grzywnę. Dlatego już na początku akcji prewencyjnej komitet zalecił, by zdrowi Wietnamczycy nosili maski. Ponieważ jednak WHO przekonywała, że noszenie maski przez osobę zdrową jest niepotrzebne, polscy klienci sklepów wietnamskich bardzo źle odnosili się do sprzedających w maseczkach. Dlatego z zalecenia stosowania masek zrezygnowano. Jednak w marcu ponownie zdecydowano, że Wietnamczycy powinni być w maseczkach. Kiedy teraz idzie się ulicą Bakalarską, od razu z daleka widać, kto jest Wietnamczykiem.

– Mieliśmy świadomość, że gdyby pierwszy pacjent zakażony koronawirusem był Wietnamczykiem, cały strach, jaki społeczeństwo polskie odczuwa przed epidemią, skanalizowałby się na naszej społeczności – uważa Hoang. – Do dziś żaden z Wietnamczyków w Polsce nie jest zarażony.

Kiedy pytam, czy rząd wietnamski planuje akcję powrotów do domu,

Karol Hoang się dziwi. Wietnamczycy nie chcą wyjeżdżać z Polski. Od kilkunastu, a nawet kilkadziesiąt lat właśnie tu jest ich dom. Niektórzy, jak Hoang, mają żony Polki, bywa, że Wietnamki wychodzą za Polaków. Ich dzieci chodzą do polskich szkół, a jedynie dodatkowo biorą lekcje języka wietnamskiego. Tak samo jak całe społeczeństwo Wietnamczycy martwią się o przyszłość, bo wielu nie jest ludźmi majątymi. Dlatego zanim polski rząd pomyślał o tarczy antykryzysowej i wsparciu pracujących, społeczność wietnamska zdecydowała, że stworzy z dobrowolnych składek fundusz pomocowy. ■

Cieszyn i Czeski Cieszyn znów podzieliła granica

Każdy obywatel zdaje sobie sprawę z potrzeby ograniczenia swojej wolności, jednak na pograniczu dotknęło nas to bardzo



Łukasz Grzesiczak

– Mogliśmy wybrać Czechy lub przenieść się do Polski i zostać bezdomni. Jestem w siódmym miesiącu ciąży. Ginekologa mam po polskiej stronie, ale gdybym do niego poszła, z miejsca trafiłabym na 14-dniową kwarantannę i przynajmniej przez najbliższy miesiąc nie mogłabym wrócić do syna i męża w Czechach – opowiada Małgorzata Bryl-Sikorska, pisarka od trzech lat mieszkająca w Czeskim Cieszynie.

Najpierw przez epidemię koronawirusa zawieszono kursy pociągów międzynarodowych. Rykoszetem ta decyzja trafiła w Cieszyn i Czeski Cieszyn, miasta nad Olzą, które osobno żyją dopiero od 1920 r. Ich czasy świetności jeszcze sprzed podziału chwalił czeski bard Jaromír Nohavica w piosence „Těšínská”.

W chwili odwołania międzynarodowych pociągów niewiele przeczuwało prawdziwe trudności. Co

prawda, od kilku lat Cieszyn i Czeski Cieszyn łączył pociąg, ale mieszkańcy obu miast mają sąsiadów na wyciągnięcie ręki. Wystarczy przecież skorzystać z mostu Przyjaźni czy mostu Wolności, po których odbywa się także ruch samochodów, czy prze spacerować się kładką (tzw. Różowym Mostem), skąd już kilka kroków na piwo, kofolę czy smażony ser do popularnej gospody w parku Sikory w Czeskim Cieszynie. Wspólnej komunikacji miejskiej nie ma, taksówkarze jeżdżą do sąsiadów nielegalnie, udając, że zamiast pasażerów wiozą rodzinę. Burmistrzynie obu miast mówią, że to wina braku stosownych przepisów. Gabriela Staszkiwicz i Gabriela Hřebočková opowiadają o tym dziennikarzom, komplementują się i wymieniają ulubione miejsca za granicą. Na granicy odbywają się popularne polsko-czeskie imprezy kulturalne, takie jak Międzynarodowy Festiwal Teatralny Bez Granic (do 2005 r. Na Granicy) czy Kino na Granicy. Podczas tego drugiego co roku

mają miejsce specjalne pokazy przez Olzę. Widzowie siedzący po czeskiej stronie oglądają filmy na ogromnym ekranie na drugim brzegu, w Polsce. To specjalne wydarzenie na pamiętkę czasów, kiedy mieszkańcy dwóch krajów rozmawiali, krzycząc po obu stronach rzeki.

Najpierw decyzję o zamknięciu czeskiej granicy podjął premier Andrej Babiš. Dzień później zamknięcie granicy ogłosili Polacy. Mateusz Morawiecki dał jednak mniej czasu na wprowadzenie nowych regulacji. Do Polski mogą wejść tylko Czesi tu pracujący. Czesi zamknęli granicę w poniedziałek, 16 marca. Polacy, którzy wracają z Czech do kraju, trafiają na 14-dniową kwarantannę. – To przyszło nagle i niespodziewanie. Człowiek budzi się rano, wkłada kapcie i idzie do łazienki. Po drodze czuje, że coś jest nie tak, bo telefon wariuje od wiadomości. Otwierasz link, a tam, że wróci granica. To było jak grom z jasnego nieba, na późniejszą informację o zakazie wjazdu do

Czech i do Polski byliśmy już przygotowani – mówi Małgorzata Bryl-Sikorska. Autorka książki „Przełom” pochodzi z Górnego Śląska, a od trzech lat mieszka w Czeskim Cieszynie. Jej mąż, Polak, jest programistą, pracuje z domu, a jego firma jest zarejestrowana w Polsce. Mają dwuletniego syna.

– Jestem kulturoznawczynią, zawsze interesował mnie problem życia na pograniczu. Na Śląsk Cieszyński przeprowadziłam się osiem lat temu. Jako dziennikarka pisałam o wydarzeniach po obu stronach Olzy. Przed trzema laty szukaliśmy z mężem mieszkania. Nie byłam zafiksowana na pomysłe przeprowadzki do Czeskiego Cieszyna, Cieszyn i Czeski Cieszyn zaczęliśmy traktować jako jedno miasto – opowiada Małgorzata. O wyborze mieszkania w Czeskim Cieszynie zdecydowały kwestie finansowe. – Byłam w pierwszej ciąży i szukaliśmy czegoś większego. Udało się nam znaleźć duże, 75-metrowe mieszkanie w centrum, tuż przy moście Przyjaźni. W parku, z dostępem do placów zabaw, w spokojnej okolicy. Idealne miejsce do wychowania dziecka. W podobnej cenie na obrzeżach Cieszyna znaleźliśmy tylko mieszkanie wymagające całkowitego remontu.

Dotychczas życie Małgorzaty toczyło się po obu stronach Olzy. W Czechach poznała fantastycznych ludzi, a jej syn bawi się z czeskojęzycznymi czy dwujęzycznymi dziećmi. – Nadal utrzymuję relacje ze znajomymi po polskiej stronie. W Polsce są moja mama i rodzice męża – dodaje.

Kiedy Andrej Babiš ogłosił zamknięcie czeskich granic, musieli szybko podjąć decyzję. Gdyby przeszli do Polski, nie mogliby wrócić do mieszkania w Czeskim Cieszynie przynajmniej przez najbliższy miesiąc. Po tym jak granice zamknęła Polska, powrót tu wiąże się z dodatkową 14-dniową kwarantanną. Wszystko dlatego, że – choć wynajmują mieszkanie w Czeskim Cieszynie – oboje mają w Czechach tylko pobyt czasowy.

– Najgorsza była konieczność decydowania pod presją czasu. 48 godzin to bardzo mało. Gdybyśmy przenieśli się do Polski, byłibyśmy bezdomni, na szybko nie dało się

załatwić czegoś sensownego. Znajomi i rodzina składali nam różne propozycje – ludzie chcieli udostępnić nam pokój w swoim mieszkaniu. To było wzruszające, ale nie mogliśmy z tej oferty skorzystać. Ja w ciąży, mamy dwa koty, dwuletnie dziecko. Jak mieścilibyśmy się we wspólnym mieszkaniu z inną rodziną? Poza tym co mielibyśmy ze sobą zabrać? Na ile się spakować? – zastanawia się Małgorzata. – Sytuacja byłaby inna, gdybym miała w Czechach umowę o pracę. Wtedy bez problemu mogłabym przekraczać granicę ze względu na meldunek w Polsce. W Czechach pracowałam do grudnia i ze względu na ciążę postanowiłam zostać na urlopie wychowawczym. Gdybym wiedziała, że wybuchnie pandemia, podjęłabym inną decyzję. Nikt nie wzięął pod uwagę, że po czeskiej stronie pozostaje spora grupa Polaków, którzy są bezrobotni lub wychowują dzieci, a ich życie jest podzielone na dwa kraje.

Nie wszyscy w rodzinach mają możliwość funkcjonować niezależnie po obu stronach granicy.

Ciąża stanowi źródło dodatkowych problemów. – Zaplanowałam, że będę rodzić w Mysłowicach. To mój wymarzony szpital. Wynajęłam położną. Moja mama przygotowuje dla nas mieszkanie blisko szpitala. Miało być gotowe w maju, spokojnie mieliśmy w nim czekać na poród. W obliczu zamknięcia granic wszystko stanęło pod znakiem zapytania. Jestem otwarta na Czechów, uczę się języka, potrafię się komunikować, przeraża mnie jednak kwestia porodu w Czechach, boję się, że nie wszystko zrozumiem – przyznaje Małgorzata.

Decyzja polityków wpłynęła na życie wielu ludzi. – Znajomi mają stały pobyt w Czechach, więc nie mogą wyjechać. Ich bliscy z Polski nie mogą wjechać, by ich odwiedzić. Znam przykre sytuacje, gdy pary czy matka i córka zostały rozdzielone. Znam przypadek córki, która studiuje w Krakowie, gdzie została ze swoim partnerem za cenę tego, że zostawiła w Czechach samotną mamę. Do tego dochodzi mnóstwo relacji rodzinnych, wiele rodzin rozdzielono granicą. A przecież od 2007 r., kiedy Polska i Czechy weszły do strefy

Schengen, przyzwyczailiśmy się do ciągłego kontaktu. Babcie z zagranicy pomagają w wychowywaniu wnuków. I w ciągu kilkunastu godzin przestaje to być możliwe – przypomina.

Małgorzata Bryl-Sikorska wspomina, że w sobotę, dzień przed zamknięciem polskiej granicy, przyjechali do niej rodzice męża i jej mama. – Chcieliśmy się sobą nacieszyć. Były łzy, pożegnania, kręcenie filmów. W powietrzu wisiła obawa, że zegnamy się nie wiadomo na jak długo. Słyszę wiele takich historii. Bardzo nam ciężko, ale to nie jest wina strasznego Babiša czy Morawieckiego, tylko koronawirusa. Tego nie dało się zrobić inaczej.

– Informacja o wprowadzeniu kontroli granicznych, najpierw ze strony Republiki Czeskiej, a następnie Polski, wywołała u mnie ogromny stres. Do zagrożenia epidemiologicznego, bo przecież pierwsze przypadki w Polsce zostały stwierdzone

w Cieszynie, i kryzysu związanego z koniecznością zamknięcia szkół w mieście doszedł problem, jak dostanę się na polską stronę, bo przecież rodzina, praca... – mówi Aleksandra Trybuś-Cieślak, dyrektorka Liceum Ogólnokształcącego i Gimnazjum Towarzystwa Ewangelickiego w Cieszynie, a kiedyś postanka Platformy Obywatelskiej. – Mimo mojej ustabilizowanej sytuacji i dokumentów stwierdzających czasowy pobyt w Republice Czeskiej, zaświadczenia od pracodawcy o zatrudnieniu w Polsce, w odległości nie większej niż 100 km... cały weekend zastanawiałam się, jak przejadę na drugą stronę.

Aleksandra Trybuś-Cieślak przyznaje, że największym problemem było przekroczenie granicy. – Ogromny korek na przejściu granicznym w Cieszynie-Boguszowicach, nerwowo przemykające samochody czeskiej policji, maleńkie samochody osobowe pomiędzy tirami i bezruch, i dylematy, czy jednak nie zostać. Na szczęście dla mnie trwało to jakieś dwie i pół godziny, a wszyscy funkcjonariusze byli bardzo mili, choć ich widok w maskach i kombinezonach raczej przerażający – tak wspomina ▶

▶ poniedziałkowy ranek w drodze do pracy.

Postanowiła, że samochód zostawi w Polsce, granicę będzie pokonywała pieszo, a po Czechach będzie się poruszać samochodem męża. – Nie wszyscy jednak w rodzinach mają taką możliwość, aby niezależnie funkcjonować po obu stronach granicy – zauważa. – Myślę, że każdy świadomy obywatel zdaje sobie sprawę z potrzeby ograniczenia swojej wolności, jednak na pograniczu dotknęło nas to bardzo. Zburzyło spokój, normalność życia, sielankowe życie we wspólnej Europie, jedynym miście, w którym słupki graniczne były tylko atrakcją turystyczną i tłem do zdjęć.

Kierowcy, którzy się zagapili, musieli pojechać na rondo po czeskiej stronie, żeby zawrócić. Taki manewr skutkuje 14-dniową kwarantanną.

– W Cieszynie jest pięć punktów, gdzie zwykle można przekroczyć granicę. Obecnie ruch samochodowy odbywa się tylko w Boguszowicach, a pieszo na moście Przyjaźni. Zamknięte są most towarowy, most Wolności oraz kładka nad Olzą. Te pilnowane są całodobowo – wylicza Katarzyna Koczwarą, rzeczniczka prasowa Urzędu Miejskiego w Cieszynie.

Polacy wracający do kraju lądują teraz na 14-dniowej kwarantannie. Niektórzy na własne życzenie. – Dochodzą informacje o pojedynczych przypadkach kierowców, którzy zagapili się przy Castoramie i aby wrócić do kraju, musieli pojechać na pierwsze rondo po czeskiej stronie, żeby zawrócić. Taki manewr skutkuje 14-dniową domową kwarantanną – przestrzega Katarzyna Koczwarą. Czeska Telewizja poinformowała o przypadku kobiety, która w niedzielę, kiedy granica czeska była jeszcze otwarta, z Polski poszła do Czech na krótki spacer z psem. Kiedy wróciła, trafiła na kwarantannę.

Jak wylicza Sylwia Pieczonka, rzeczniczka prasowa starosty cieszyńskiego, we wtorek 18 marca w samym powiecie cieszyńskim było pięć osób zakażonych koronawirusem. Niemal 400 osób przebywało w dozorze epidemiologicznym, a prawie 350 w kwarantannie domowej.

Zamknięte przejścia graniczne pilnowane są przez policjantów. Jak

mówi asp. Krzysztof Pawlik z Komendy Powiatowej Policji w Cieszynie, w powiecie cieszyńskim policjanci uczestniczą w ochronie 17 przejść granicznych. – Liczba policjantów zaangażowanych w pomoc przy kontroli przejść granicznych codziennie się zmienia. W środę było ich 42 – dodaje. Policjantów z powiatu cieszyńskiego wspierają koledzy z jednostek z Bielska-Białej i Katowic. – Działania związane z kontrolą wyznaczonych punktów i przejść granicznych w żaden sposób nie utrudniają codziennych obowiązków wykonywanych przez funkcjonariuszy cieszyńskiego garnizonu – twierdzi Krzysztof Pawlik. Policja informuje także, że w miejscach pełnienia służ-

by wszyscy funkcjonariusze mają możliwość skorzystania z toalet przenośnych ustawionych w pobliżu punktów kontrolnych.

Jednak w pierwszy dzień wprowadzenia kontroli na polskich granicach nie wszyscy policjanci ochraniający zamknięte przejścia mieli szansę na miejscu skorzystać z owych przenośnych toalet. – Te działania mają charakter prowizoryczny, nie da się w 48 godzin przywrócić skutecznej ochrony granicy – mówi anonimowo osoba związana ze Strażą Graniczną. I wylicza, że nikt dokładnie nie wie, ilu Czechów pracuje w Polsce, a ilu Polaków w Czechach. Do przejścia na czeską stronę uprawniają zaświadczenia, które na ogólnodostępnym w internecie wzorze wystawiają czescy pracodawcy. Zdaje się, że nikt nie ma nad tym realnej kontroli. Kilkunastogodzinna kolejka na przejściu granicznym w Cieszynie-Bogucicach sprawiła, że władze Cieszyna zaapelowały do wojewody śląskiego i ministra spraw wewnętrznych i administracji o otwarcie przejścia granicznego na moście Wolności dla samochodów do 3,5 tony. Do momentu ukończenia tego tekstu przejście nie zostało otwarte.

Samorządowcy zwracają też uwagę, że rząd w walce z koronawirusem zrzuca na nich kolejne obowiązki, na które nie idą dodatkowe środki finansowe. – Obecnie nie jesteśmy w stanie nawet oszacować kosztów

realizacji nowych zadań. Wykładamy pieniądze ze swojego budżetu, które wcześniej mieliśmy zaplanowane na zarządzanie kryzysowe. Oczywiście będziemy zwracać się do wojewody z prośbą o rekompensatę finansową – zapewnia Sylwia Pieczonka. – Największym problemem powiatu jest po prostu brak możliwości realizacji poleceń, które otrzymujemy z góry. Przykładem mogą być zakupy środków dezynfekujących, których dostępność na rynku jest praktycznie zerowa. Na tę chwilę nie jesteśmy w stanie ich zakupić, choć powinniśmy to zrobić. Jeśli chodzi o środki ochrony, to jeżeli już są, pojawia się problem ich utylizacji.

Na podobny problem zwraca uwagę Katarzyna Koczwarą z Urzędu Miejskiego w Cieszynie. Według jej wycenienia miasto na podstawie zalecenia sanepidu wydało

co najmniej 50 tys. zł na dezynfekcję siedmiu szkół i przedszkola. Cieszyn będzie się starał o refundację. – Większość podejmowanych działań, takich jak ustawienie toalet na granicy, nie wynika z narzuconego zadania, a jedynie z sugestii służb, w celu usprawnienia ich funkcjonowania. Większość decyzji i zaleceń napływających od wojewody dotyczy organizacji działań w mieście, współpracy przy organizacji kwarantanny dla poszczególnych osób, np. bezdomnych. Musimy być na takie sytuacje przygotowani – tłumaczy. Wskazuje, że największe koszty będą dotyczyć zakupu środków dezynfekujących, maseczek, rękawiczek. Miasto ciągle nie dostało na ten cel dodatkowych środków.

Urzędnicy Cieszyna i Czeskiego Cieszyna informują, że osobno, ale razem walczą z pandemią koronawirusa. – Jestem przekonana, że kontakty między Polakami i Czechami nadal są żywe, w tej chwili za pomocą telefonów czy komputerów. Nie uważam, by obecne wydarzenia wpłynęły negatywnie na współpracę obu miast. W tej skomplikowanej dla wszystkich sytuacji burmistrzynie Cieszyna i Czeskiego Cieszyna są w codziennym kontakcie. Wymieniają się doświadczeniami i pomagają przy rozwiązywaniu aktualnych problemów – wyjaśnia Marcela Hładką, rzeczniczka prasowa urzędu miasta w Czeskim Cieszynie.

Lukasz Grzesiczak

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Wszystkie mundury Andrzeja Dudy

Każda władza lubi się przebierać, a władza oparta na mediach przebiera się absolutnie. Im kto realnie mniej może, im mniej jasna jest jego rola i wpływ na rządzenie, tym bardziej stroi się w cudze piórka, mundurki, kaski, kaszkiety, skarpety. To przypadek polskiego marionetkowego prezydenta Dudy. Andrzej Duda w ostatnich dniach przebiera się metodycznie za nie wiadomo kogo, co można by właściwie uznać za adekwatne, bo w rzeczy samej nie bardzo wiadomo, kim jest, po co i jak.

Andrzej Duda w ostatnich dniach przebiera się za nie wiadomo kogo, bo w rzeczy samej nie bardzo wiadomo, kim jest, po co i jak.

Ocena tej postaci prezydenckiej (bo określenie prezydentura należy jednak zachować na bardziej odpowiednie sytuacje) jest zasadniczo dość prosta. Wyraża ją najlepiej język satyry, humoru i złośliwości. Mamy więc towarzyszący Andrzejowi Dudzie niemal od początku przydomek „długopis”, co oddaje ponadwieropoddańczą rolę, jaką odgrywa w procesie stanowienia prawa. To pierwszy taki prezydent, który we wszechogarniającej formie reprezentuje wyłącznie i bezwyjątkowo (wyjątki są tak wyjątkowe i nieznaczące, że nie mają żadnego wpływu na obraz całości) interes własnej formacji partyjnej. PiS (czytasz PiS, myślisz Jarosław), wymyśliwszy go do roli najmniej boleśnie przegrywającego kandydata w wyborach 2015, ku swojemu niebotycznemu zdumieniu (przewyższało je jedynie zdumienie obozu przeciwnego) otrzymało na tacy nie tyle urzędującego prezydenta,

ile urzędujący stempel z niezbędnym podpisem do podpisania wszystkiego, co pojawi się na biurku, pora dnia nie ma tu znaczenia. Notariusz całodobowo – takie memy też powszechnie opisywały tę usługę.

Mogłoby się wydawać, że takie przypadkowe, nieprzewidziane złożenie zaszczytnej funkcji na barki „losowo” wybranej postaci powinno skutkować jakimś rodzajem zmieszania, skromności, ostrożności w słowach i niby-działaniach. Ale nie. Tu Andrzej Duda wzniósł się na wyżyny

swojej wiary i naprawdę, głęboko, z oddaniem i bez wątpliwości uwierzył w swoją prezydenckość, w swoją misję, ba, w samodzielność i sprawczość. Władza spadająca z nieba, niczym nieuzasadniona, potrafi zapewne zaszumieć w głowie. Ale normalnym procesem jest otrzeźwienie i próba spokojnej oceny sytuacji. U Dudy, nawet gdy obserwowaliśmy miesiące zawieszenia i sztucznie podtrzymywanej aktywności, potem widać było z całą naprzód powrót do nałogu konsumowania swojej niby-władzy. PiS, które ma wpisany w genotyp taki rodzaj instrumentalnego wykorzystywania swoich polityków i niebagatelne w tej dziedzinie osiągnięcia (premierostwo Marcinkiewicza czy Szydło – postaci znikąd donikąd), po prostu eksploatuje swój patent na nieponoszenie żadnej odpowiedzialności przez demiurga – Jarosława Kaczyńskiego.

Problem w tym, że te modele latające, rozbijające się (również dosłownie) prezydenckimi limuzynami, wciąż pozostają ludźmi, wierzą, że są tam, gdzie są, bo mają kompetencje, umiejętności i przygotowanie. I po prostu lubią spektakl władzy rozgrywający się wokół nich, którego zadaniem jest jedynie podtrzymanie tej iluzji. A potem smutek, przykreść, depresja, kiedy z powodów równie nieistniejących jak te, z których ich powołano – odwołuje się ich. I temu służą kolejne pozaformacyjne mundurki Dudy. Przebiera się w nie ku naszemu zdumieniu (a kim dzisiaj jest Bąbelek, co ma 47 lat i powinien siedzieć w domku i uczyć się jak wszystkie dzieci?) w czasach powszechnej kwarantanny. Mundurki, ni to harcerskie, ni to obrony terytorialnej przebranej za komandosów, ni to kreatora mody strojącego się na Mao – mają sprawić, że puste stanie się pełne. Co gorsza, w momencie monopolu informacyjnego, jaki dziś mamy, dla wielu ten druh jest na swoim miejscu. Spoczniej.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

ROMAN KURKIEWICZ

MONDAY / 07:00 - 10:00
THURSDAY / 21:00 - 23:00

SLUCHAJ NA WWW.HALO.RADIO
LUB PRZEZ APLIKACJĘ MOBILNĄ
HALO.RADIO NA IOS I ANDROID

Rozmawia
Ewa Smolińska-Borecka

Z powodu koronawirusa polski rząd 14 marca nieoczekiwanie zamknął część przejść granicznych, także z Ukrainą. To samo zrobił dwa dni później rząd ukraiński, który jednak zapowiadał ten krok kilka dni wcześniej. To problem dla obywateli obu państw.

– Faktycznie, z sześciu przejść granicznych między Polską a Ukrainą funkcjonują teraz tylko trzy: Hrebenne-Rawa Ruska, Dorohusk-Jagodzin i Korczowa-Krakowiec. Na pewno jest to utrudnienie, ale głównie dla ruchu towarowego, bo czas oczekiwania przy wyjeździe z Polski waha się od 12 godzin do aż 29 godzin na przejściu w Korczowej. Ale ruch samochodów osobowych i autokarów odbywa się płynnie.

Czy to znaczy, że Ukraińcy nie kwapią się do opuszczenia Polski?

– Wyjeżdżają jedynie te osoby, które muszą wyjechać, bo właśnie kończy im się trzymiesięczny pobyt turystyczny albo sześciomiesięczna wiza na wyjazd do pracy. I tu rodzi się problem, bo nie wiadomo, kiedy zostanie przywrócony normalny ruch między oboma krajami. Ukraina zamknęła granice dla obcokrajowców do 3 kwietnia, ale mówi się, że może to być przedłużone do końca kwietnia. Nie wiadomo, jak długo będzie zamknięta granica dla wjazdu Ukraińców do Polski. Polscy pracodawcy są zaniepokojeni, dzwonią do mnie, pytają, co będzie.

Mówi pan, że pracodawcy są zaniepokojeni. A przecież wielu z tych ukraińskich pracowników faktycznie teraz nie potrzebują. Przy znacznym ograniczeniu funkcjonowania gastronomii mogą być niepotrzebni kucharze czy kelnerzy, zbędni mogą być pracownicy hoteli i sprzedawcy w sklepach w galeriach handlowych, skoro te sklepy zostały zamknięte.

– Ograniczenia, o których pani mówi, dotknęły wielu Ukraińców. Staram się im pomagać w tej trudnej sytuacji. Ale jest też tak, że jeden lokal gastronomiczny ogranicza lub zamyka działalność, a drugi ją rozszerza, bo więcej osób zamawia jedzenie na wynos lub z dowozem. Ukraińcy przechodzą więc z tych miejsc, które

Robota jest robotą, a któż by bez niej żył

Ukraińcy nie zamierzają porzucić Polski z powodu koronawirusa



JURIJ KARIAGIN

– profesor nauk ekonomicznych,
prezes Międzyzakładowego Związku
Zawodowego Pracowników
Ukraińskich w Polsce

ograniczają działalność, do tych, które ją rozszerzają. Jeśli tracą pracę jako sprzedawcy w galerii handlowej, to idą do małego sklepu spożywczego. W związku z koronawirusem jest bardzo duże zapotrzebowanie na ludzi do dezynfekowania pojazdów komunikacji miejskiej czy pomieszczeń. I tam Ukraińcy, którzy stracili pracę, są przyjmowani. Również tam, gdzie potrzeba ludzi dowożących potrawy do domu. Do mnie ciągle telefonują pracodawcy, którzy potrzebują nowych ludzi do pracy. Dlatego nie ma takiej sytuacji, by Ukraińcy wyjeżdżali do domu, bo nie mają zatrudnienia. Nie wyjeżdżają także studenci. Wiem to, bo jestem wykładowcą na jednej z polskich uczelni i teraz prowadzę zajęcia ze studentami przez internet. Studenci ukraińscy albo przebywają w akademikach, albo w rodzinach

polskich przyjaciół. W każdym razie w Polsce zostają ludzie, którzy legalnie pracują lub studiują. Z jednej strony, obecna sytuacja powoduje problemy i wywołuje panikę, a z drugiej, może być dla Polski okazją, by wreszcie wyprostować wszystkie problemy związane z migracją. Z korzyścią dla obu stron, i Polski, i Ukrainy.

Beata Szydło, kiedy jeszcze była premierem, powiedziała, że Polska przyjęła 2 mln uchodźców z Ukrainy. Co pan wtedy pomyślał?

– Że to nieprawda. Ukraińcy przyjeżdżają do Polski, by pracować i zarabiać pieniądze. Nie są uchodźcami, ale migrantami zarobkowymi. Owszem, byli też uchodźcy z Ukrainy, ale ich było zaledwie 300-400. To były osoby polskiego pochodzenia, m.in. z rejonu donieckiego. To bardzo dobrze, kiedy w trudnych czasach Polska przyjmuje migrantów z Ukrainy, i to bardzo licznych. To dobrze, kiedy kraj pomaga krajowi, ludzie ludziom. To wzmacnia pokój na świecie i współpracę.

Migranci z Ukrainy są w Polsce od lat. Początkowo pracowali głównie na czarno. Na przykład na podwar-

szawskim Piasecznie było takie miejsce w pobliżu byłej mleczarni, gdzie gromadzili się Ukraińcy poszukujący pracy.

– Tak. To miejsce nazywano bazarem. Nadal funkcjonuje, ale w mniejszym zakresie. Podobny bazar jest na dworcu Warszawa Zachodnia. Ale na Ukrainie również są takie bazyry, np. na dworcu w Kijowie. Rano przychodzi tam ludzie, którzy szukają pracowników, głównie dla budownictwa w stolicy. Wielu Ukraińców wyjechało do pracy na Zachód i sytuacja jest bardzo ciężka, bo na Ukrainie nie wystarcza pracowników. Teraz u nas jest taki problem jak u was.

Na tych polskich bazarach rekrutuje się ludzi do szarej strefy?

– Nie zawsze. Tam przyjeżdżają ludzie, którzy proponują Ukraińcom pracę w różnych miejscach Polski i zabierają ich ze sobą. Ci Ukraińcy faktycznie pracują, i to zupełnie legalnie. Ale na te bazyry przyjeżdżają też osoby, które podają się za biznesmenów, zbierają od Ukraińców pieniądze, obiecują ich przewieźć do pracy. Jednak potem wyjeżdżają za miasto, wysadzają ich w jakimś małym miasteczku i mówią: „Stójcie tu, ktoś do was przyjedzie i zabierze was”. Ale nikt po tych ludzi się nie zgłasza. Okazuje się, że po prostu zostali oszukani. Informowałem o tym odpowiednie organizacje, ale mamy to, co mamy.

Czy obecnie większość z tych 2 mln Ukraińców w Polsce pracuje legalnie?

– Taka liczba migrantów ukraińskich jest w Polsce jedynie w okresie letnim, w sezonie dla rolnictwa, ogrodnictwa czy budownictwa. W innych okresach jest ich ok. 1 mln. W 2016 r. w Polsce płacono składki na ZUS 100 tys. Ukraińców, teraz ok. 500 tys. Większość Ukraińców nadal pracuje w szarej strefie. Ten wzrost osób legalnie pracujących wynika w pewnym stopniu również z tego, że od 2016 r. funkcjonuje Międzyzakładowy Związek Zawodowy Pracowników Ukraińskich w Polsce, którego jestem prezesem. Jako związek zawodowy prowadzimy bardzo intensywną działalność informacyjną zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie. Staramy się wyjaśnić pracownikom i pracodawcom, że zarówno dla jednych, jak i dla drugich, a także dla państwa, wygodniej jest, kiedy migranci pracują legalnie. Ukraina ma podpisaną

umowę z Polską o uznawaniu stażu pracy w Polsce. To bardzo ważne, bo pracownicy mogą okres pracy w Polsce zaliczyć do stażu pracy do emerytury. Informuję o tym pracowników, którzy przyjeżdżają do Polski.

Nie wszyscy weidzą, że ukraińscy pracownicy mają wpływ na wzrost PKB w Polsce.

– Tak, w poszczególnych latach wzrost PKB w wysokości średnio 0,5 pkt proc. wynikał z pracy Ukraińców, największy, bo wynoszący aż 0,9 pkt proc., był w 2017 r. Takie dane podają różne polskie organizacje, które robiły badania. Sytuacja ekono-

epidemią koronawirusa wynikało, że jedynie co trzeci zamierza wyjechać do Niemiec, które od 1 marca br. zmieniły na korzyść przepisy dotyczące migrantów z Ukrainy.

– W Niemczech już w tej chwili jest ok. 100 tys. Ukraińców. Po 100 tys. jest w Hiszpanii, w Portugalii i w Czechach. We Włoszech było ok. 500 tys. W sumie poza krajem jest od 3,5 mln do 4 mln Ukraińców. W Polsce w okresie letnim liczba pracujących Ukraińców wzrasta do 2 mln, ale znaczna część przyjeżdża na trzy miesiące w ramach podróży turystycznej, potem wraca na Ukra-

Ukraińcy, którzy stracili pracę, są zatrudniani do dezynfekowania pojazdów komunikacji miejskiej czy pomieszczeń.

miczna w Polsce jest dobra, a wzrost PKB o 4-5% rocznie to bardzo dobry wynik. Teraz, w związku z koronawirusem, na całym świecie można się spodziewać spadku. Międzynarodowe korporacje bardzo dużo tracą. Procesy globalizacji już hamują.

Ta sytuacja odbije się na migracji?

– Już się odbija. Wielu Ukraińców, którzy pracowali we Włoszech, już wróciło do kraju. Oni przywieźli koronawirusa na Ukrainę. A Polska jest w trudniejszej sytuacji, bo jest krajem tranzytu migrantów.

Z badań przeprowadzonych wśród Ukraińców w Polsce, jeszcze przed

inę. Pracodawcy, którzy przyjmują takich ludzi, mają obecnie możliwość zarejestrowania ich w urzędzie pracy i podpisania z nimi umowy o pracę lub umowy-zlecenia. Wtedy oni już legalnie pracują w Polsce. Umowa-zlecenie jest zapewne mniej korzystna dla polskich pracowników, ale dla wielu Ukraińców jest wygodniejsza, bo przy tej formie nie ma ograniczenia liczby pracowanych godzin. Jeżeli człowiek przyjeżdża na kilka miesięcy, to chce jak najwięcej pieniędzy przywieźć do kraju, gdzie czeka jego rodzina. Ukraińcy nie znoszą, kiedy im się nie płaci.

www.wydawnictwomg.pl

► Wszyscy pracownicy tego nie znoszą.

– Ale pracownik z Ukrainy czuje się bardziej bezbronny niż Polak. A w Polsce wielu pracodawców oszukuje pracowników. Wtedy Ukraińiec przychodzi do mnie, a ja dzwonię do Państwowej Inspekcji Pracy albo go tam wysyłam. W niewielkich miasteczkach widzi się takie zjawisko: w jakimś przedsiębiorstwie, np. budowlanym, pracuje trzech Ukraińców i dziesięciu Polaków. Pracodawca im nie płaci, ale Polacy boją się z nim skonfliktować, bo w tym miasteczku liczba miejsc pracy jest ograniczona. A Ukraińiec nie ma nic do stracenia, jemu jest wszystko jedno, gdzie pracuje. On musi zaważać o pieniądze, które zarobił. Ja dzwonię w jego imieniu do pracodawcy i do PIP. W rezultacie pracodawca wypłaca wynagrodzenie i Ukraińcom, i Polakom. Musi to zrobić, bo zostanie na niego nałożona kara. W identycznej sytuacji była Ukrainka, która pracowała jako kucharka w barze i nie otrzymywała pieniędzy. Ale Polki też nie dostawały. Zadzwoniłem do właścicielki, porozmawiałem z nią i ona zapłaciła tej Ukraince i czterem

W sumie poza krajem jest od 3,5 mln do 4 mln Ukraińców.

polskim pracownikom. Tak więc ja pracuję nie wyłącznie dla Ukraińców, ale przy okazji i dla Polaków. A takich okazji jest dużo.

Wróćmy do wyjazdów ukraińskich pracowników z Polski do Niemiec.

– Od 1 marca nowe regulacje w Niemczech pozwalają na to, żeby Ukraińcy przyjeżdżali do pracy na rok. Obiecują im 1-1,5 tys. euro zarobku. Dlatego wielu Ukraińców, którzy są w Polsce, chodzi na kursy języka niemieckiego. Dwa lata temu niemieckie firmy zaczęły współpracować ze szkołami zawodowymi i technikami na Ukrainie. Podpisały z nimi umowy i tam przygotowuje się wysoko kwalifikowanych specjalistów, na których jest zapotrzebowanie w Niemczech, m.in. budowlanców, mechaników, tokarzy. W tych szkołach uczniowie uczą się języka niemieckiego. Jest to swoisty drenaż mózgow, niekorzystny dla Ukrainy. U nas, na Ukrainie, tacy specjaliści też dobrze zarabiają. W budownictwie w takich miastach jak Kijów czy Odessa specjaliści dostają



Ukraińcy przyjeżdżają do Polski, by pracować i zarabiać pieniądze. Nie są uchodźcami, ale migrantami zarobkowymi.

dobre wynagrodzenie, takie samo jak w Polsce. Dlatego nie opłaca im się jechać do Polski, bo, po pierwsze, są blisko rodziny, a po drugie, w dzień pracują na budowie u dewelopera, a po godzinach prywatnie wykańczają mieszkania. Mogą zarobić ok. 2 tys. dol. miesięcznie. Dlatego teraz migracja do Polski maleje. Wielu Ukraińców

kieruje się nie tylko na Zachód, ale i do Rosji, na Łotwę, Litwę, do Estonii, na Węgry.

Do Niemiec Ukraińiec może wyjechać do pracy na rok, wiza do Polski pozwala na pracę jedynie przez pół roku. To sprawia, że Polska stała się mniej atrakcyjna?

– Myślę, że tak. Półroczna ważność wizy nie jest wygodna ani dla pracowników, ani dla pracodawców. Teraz pracodawcy starają się, żeby Ukraińcy przyjeżdżali na dłużej. Jeżeli pracodawca zobaczył, że ma dobrego fachowca, stara się go zatrzymać. Polska podjęła decyzję, że jeżeli Ukraińiec pracuje dwa i pół roku u jednego pracodawcy i ma mieszkanie, to może zaprosić rodzinę: żonę, dzieci. Albo kiedy przebywa w Polsce przez pół roku, może załatwić sobie pozwolenie na stały pobyt. Ale to niestety tylko teoria, bo załatwienie formalności trwa dłużej niż sześć miesięcy, nawet półtora roku, dwa lata. Są ludzie, zarówno Ukraińcy mieszkający od dawna w Polsce i mający polskie

obywatelstwo albo kartę stałego pobytu, jak i Polacy, którzy oferują pomoc w szybszym załatwieniu tych formalności za 300-400 euro. Jednak ta mafia często oszukuje Ukraińców. Znam takie przypadki, że ci ludzie wzięli pieniądze, ale niczego nie załatwili. Chciałbym, żeby w Urzędzie ds. Cudzoziemców było więcej pracowników, żeby nie karmić mafii, która żeruje na tym, że są opóźnienia i że trzeba robić tłumaczenia, wypełniać ankiety itp. Ten system musi być lepiej zorganizowany, uproszczony, żeby można było samemu przyjść i załatwić sprawę dotyczące swojego pobytu. I żeby w urzędzie przez dwa-trzy miesiące przeanalizowali te dokumenty, wydali zgodę na pobyt stały, by po pół roku Ukraińiec nie musiał wyjeżdżać do kraju i ponownie załatwiać wizy. Wtedy będzie wygodniej i dla pracodawcy, i dla pracownika, który chce długo być w Polsce.

Czy polityka rządu w kwestii migracji z Ukrainy jest skuteczna?

– Tu nie można mówić o polityce, bo my tego nie widzimy. Jest oczywiście ustawa dotycząca cudzoziemców, ale dobrze byłoby, żeby za tą ustawą szły bardzo konkretne rozwiązania, które będą wygodne dla państwa i dla ludzi, konkretny plan działania. Polska będzie potrzebować dużo ludzi do pracy. Jeżeli ktoś myśli, że można ściągać ludzi z Azji, z Afryki, to trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie: czy Polska ma leki przeciw chorobom, które występują w tych krajach? Druga sprawa – wyznaczenie.

Na Ukrainie są katolicy, grekokatolicy, prawosławni. Ale oni wszyscy są chrześcijanami, więc ich mentalność jest bliska. A w Azji czy Afryce są odmienne religie, mentalność ludzi jest odmienna od mentalności Polaków. Migracja rodzi wiele pytań i problemów, które trzeba szybko i konkretnie rozwiązywać. Politycy to wykorzystują. Są partie i organizacje, które propagują faszyzm, rasizm, występują przeciw migrantom. Na przykład pewna pani z Sosnowca zebrała dużo lajków pod apelem, żeby wyrzucić Ukraińców z Polski. My jako związek zawodowy nie wchodzimy w politykę, staramy się pomagać konkretnym ludziom w konkretnych sytuacjach. Niestety, politykom zależy na tym, żeby dzielić ludzi i rządzić nimi.

Stanisław Szwed, wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej, powiedział, że Polsce nie zależy na migrantach, bo wkrótce zaczną wracać Polacy z innych krajów.

– Jako związek zawodowy utrzymujemy kontakty ze związkami zawodowymi z innych krajów. Niedawno spotkałem się ze związkowcami

z Wielkiej Brytanii. Powiedzieli mi, że polscy specjaliści są tam bardzo potrzebni i bez nich byłoby ciężko. Tam są lekarze, inżynierowie, technicy. Nie przypuszczam, by bardzo dużo Polaków wróciło do kraju.

Reasumując, czy Polska poradziła sobie z migracją z Ukrainy?

– Ja bym powiedział, że na 70-80% sobie poradziła. Ale chciałbym, żeby to było 90%. Żeby chociaż 90% Ukraińców, którzy tu przyjeżdżają, ale także Rosjan, Białorusinów, Mołdawian,

nie będzie wypłacał wynagrodzenia. A jeżeli sam Ukrainiec nie będzie chciał pracować legalnie, to go po prostu deportują. Bo jeżeli jest szara strefa, to ona finansuje korupcję. Poza tym są ludzie, którzy pilnują dochodów uzyskiwanych w tej strefie. Zjawia się mafia, która od ludzi pracujących w szarej strefie domaga się pieniędzy. W ubiegłym roku ukraińscy migranci zarobkowi przestali do kraju 12 mld dol., z Polski może 1-2 mld dol. To wielkie pieniądze.

Chciałbym, żeby w Urzędzie ds. Cudzoziemców było więcej pracowników, żeby nie karmić mafii.

Gruzinów, pracowało w Polsce legalnie. To lepiej dla polskiego państwa i dla tych ludzi. Niestety, w szarej strefie pracuje jeszcze wiele osób. Jeszcze raz podkreślę – dlatego trzeba taką mądrą politykę prowadzić, żeby człowiek, który przyjechał do Polski i pracuje tu legalnie, miał poczucie bezpieczeństwa, był pewien, że nikt go nie będzie oszukiwał, a inspekcja pracy przyjdzie do pracodawcy, jeśli

Część została zarobiona na czarno. Dlatego państwo musi mieć bacznie na te potężne dochody, bo tego wymaga polityka bezpieczeństwa państwa. Podobnie jest w przypadku Polski, bo polscy migranci też przesyłają potężne kwoty do kraju, choć wielokrotnie niższe niż ukraińscy. Na przykład w trzecim kwartale 2019 r. było to 4,2 mld zł.

Ewa Smolińska-Borecka

BOISZ SIĘ KIOSKARZA?

E-WYDANIE NIE ZARAŻA

E-wydanie to PRZEGLĄD w wersji elektronicznej bez wychodzenia z domu. Masz dostęp do internetu na telefonie, tablecie lub komputerze? Zamawiaj! Lektura obowiązkowa w czasie kwarantanny.



Dla naszych Czytelników i ich bliskich w specjalnej cenie **2,99 zł!**



P
Przeгляд

Do kupienia na WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

Agnieszka Zakrzewicz

Korespondencja z Rzymu

Kościoty, w których głosił kazania, były przepełnione. Otwierano drzwi, aby mogły ich słuchać tłumy wiernych na zewnątrz. Wieczorem, w poniedziałek 24 marca 1980 r., abp Oscar Romero odprawił nabożeństwo w kaplicy Boskiej Opatrzności w San Salvadorze. Według świadków pod koniec mszy przed budynek podjechał samochód i zaparkował przed wejściem. Z auta wysiadł mężczyzna, wyciągnął karabin i oparł go na otwartych drzwiach samochodu. Wejście do oratorium nie było zamknięte, więc wycelował i strzelił. Romero, trafiony w głowę, natychmiast upadł. Był to symboliczny moment, kiedy podczas Eucharystii wznosił kielich w górę.

Dla wiernych z Ameryki Łacińskiej stał się od razu świętym męczennikiem. Długo jednak musiał czekać na kanonizację, której przeciwstawiano się latami w tonie Kościoła. Od jego zabójstwa mija 40 lat.

Z przygranicznej wioski

Od 1977 r. pełnił funkcję arcybiskupa San Salvadoru. Urodził się 15 sierpnia 1917 r. w biednej rodzinie, mieszkającej w wiosce przy granicy z Hondurasem. Jako 12-letni chłopiec terminował u stolarza, później wstąpił do seminarium, a następnie kontynuował studia teologiczne w stolicy u jezuitów. Studiował również w Rzymie, na prestiżowym Uniwersytecie Gregoriańskim. W 1942 r. przyjął święcenia kapłańskie. Jeszcze

Po Soborze Watykańskim II w Kościele katolickim narodziła się teologia wyzwolenia, bliska najbiedniejszym i prześladowanym.

w czasie II wojny wrócił do Salvadoru, gdzie przez lata był księdzem w wiejskiej parafii. Później wspiął się po szczeblach duszpasterskiej kariery, aż w 1966 r. został sekretarzem Konferencji Biskupów Salvadoru. Miał opinię dobrego administratora i kaznodziei oraz przeciwnika angażowania się Kościoła w politykę, zwłaszcza po niewłaściwej stronie. Twierdził, że należy wspierać bogatych, aby mogli dawać biednym. Gdy cztery lata póź-



Wśród mieszkańców Salvadoru abp Romero cieszył się popularnością i szacunkiem.

Oscar Romero – święty Ameryki Łacińskiej

Zabójstwo arcybiskupa San Salvadoru zakwalifikowano jako zbrodnię przeciwko ludzkości

niej otrzymał sakrę biskupią, uważano go za bezpiecznego, konserwatywnego duchownego, który nie będzie sprawiał kłopotów. Był najlepszym kandydatem na arcybiskupa stolicy – toteż został nim.

W Salvadorze, po wypędzeniu z kraju José Napoleóna Duarte i po sfałszowaniu wyborów w 1977 r., lewicowa opozycja straciła nadzieję na przejęcie władzy w sposób demokratyczny i niektóre jej grupy podjęły walkę zbrojną. Przeciw nim

skierowano szwadrony śmierci, które terroryzowały ludność cywilną, żyjącą w skrajnej nędzy. W ciągu miesiąca zginęło 3 tys. osób. Antykomunistyczne działania salvadorskiej junty, na której czele stanął gen. Carlos Humberto Romero Mena, Stany Zjednoczone wspierały milionami dolarów.

Zaczęli znikać pierwsi księża, sympatyzujący z rewolucjonistami. Po Soborze Watykańskim II w Kościele katolickim narodziła się teologia

wyzwolenia, bliska najbiedniejszym i prześladowanym. Szczególnie rozpowszechniony był ten nurt wśród jezuitów i w Ameryce Łacińskiej, np. w Argentynie, ojczyźnie aktualnego papieża Franciszka. W skrajnej wersji teologia wyzwolenia zbliżyła się bardzo do marksizmu – niektórzy kapłani odmawiali komunii bogatym, inni nawet chwycili za broń.

Bądź patriotą, zabij księdza

Oscar Romero początkowo nie opowiedział się po żadnej stronie. Był jednak daleki od antykomunizmu biskupów argentyńskich, popierających juntę Jorge Rafaela Videli. Nie sympatyzował też ze zwolennikami chilijskiego dyktatora Augusta Pinocheta. Już za to nie lubiano go na najwyższych szczeblach Kościoła.

Momentem przełomowym w życiu Romera było zabójstwo jego przyjaciela, jezuitskiego księdza Rutilia Grande, zwolennika teologii wyzwolenia i obrońcy praw człowieka. Grande stanął w obronie jednego z kolumbijskich księży, porwanego, a następnie wydalonego z Salvadoru. Jego słyn-

nego kazania wysłuchało przez radio całe społeczeństwo: „Drodzy bracia, siostry i przyjaciele, rozumiem, że już wkrótce Biblia nie będzie mogła przekraczać granic. Będą przysyłać nam tylko samą okładkę, ponieważ wszystkie strony Pisma Świętego są wywrotowe. Jeżeli Jezus przekroczyłby granicę w pobliżu Chalatenango, nie wpuszcziliby go. Oskarżyliby Boga-Człowieka... o bycie agitatorom, żydowskim emigrantem, który swoimi egzotycznymi i wywrotowymi ideami przeciwstawia się demokracji – czyli mniejszości. Przeciwstawiliby się Bogu, gdyż są z klanu Kainów. Bracia, nie ma wątpliwości, ukrzyżowaliby go ponownie. I ogłosiliby to”.

12 marca 1977 r. Grande pojechał na mszę poza miasto wraz ze starym zakrystianem i nieletnim ministrantem. Zostali zatrzymani i brutalnie zamordowani przez szwadrony śmierci. Kiedy Oscar Romero przyjechał sprawdzić, co się stało, i zobaczył zmasakrowane zwłoki przyjaciela, powiedział: „Jeżeli zabili go tylko za to, co mówił, muszę podążyć jego ścieżką”.

Arcybiskup San Salvadoru oznajmił, że nie będzie brał udziału w uroczystościach państwowych ani celebrował mszy z udziałem przedstawicieli rządu, dopóki sprawa zabójstwa księdza nie zostanie wyjaśniona, a sprawcy nie poniosą kary. W kolejną niedzielę odwołał wszystkie msze w kraju i odprawił tylko jedno nabożeństwo za Rutilia Grande, w katedrze, koncelebrowane przez 150 księży i z udziałem ponad 100 tys. wiernych. Został za to skrytykowany przez salvadorską hierarchię i oskarżony, że naraża Kościół na niebezpieczeństwo. Do Watykanu zaczęto słać donosy.

Sprawa zabójstwa o. Grande nie została nigdy wyjaśniona. Abp Romero bojkotował oficjalne ceremonie przez ponad trzy lata, aż do własnej śmierci. Wygłaszał również kazania radiowe, w których piętnował niesprawiedliwość społeczną i władzę. Księża na jego zlecenie zaczęli dokumentować zbrodnie reżimu, zbierając zeznania rodzin *desaparecidos* (zaginionych ofiar prześladowań politycz-

nych junty – przyp. aut.). Najbardziej radykalni zwolennicy prawicowej junty głosili hasło: „Bądź patriotą – zabij księdza”.

Zamknięte drzwi w Watykanie

W 1979 r. abp Oscar Romero postanowił udać się do Rzymu, by spotkać się z nowym, polskim papieżem, Janem Pawłem II, i przedstawić mu sytuację w Salwadorze. Prawicowi paramilitaryści ze szwadronów śmierci zabili pięciu duchownych pod zarzutem wspierania komunistycznej partyzantki z FMLN (Front



Oscar Romero 6 maja 1979 r. stał jak zwykły parafianin na placu św. Piotra.

Wyzwolenia Narodowego im. Farabunda Martíego – przyp. aut.).

Są różne wersje tego, jak wyglądały spotkania Romera z Wojtyłą. Odbyły się dwa. Pierwsze – 7 maja 1979 r., drugie 30 stycznia 1980 r.

Kiedy abp Romero przybył do Rzymu, mimo że prosił o audiencję korespondencyjnie, nie został przyjęty. Wymówką było to, że „włoska poczta to katastrofa”. W Watykanie zamknięto mu drzwi przed nosem, ale arcybiskup zachował się jak zwykły parafianin. W niedzielny poranek wstał o świcie i udał się na audiencję generalną, stając w pierwszym rzędzie na placu św. Piotra.

Sekretarz osobisty Romera, ks. Jesus Delgado, zrelacjonował to w wywiadzie dla włoskiego tygodnika katolickiego „Famiglia Cristiana” w październiku 2015 r.: „Gdy przyszła kolej, by ucisnąć rękę Ojca Świętego, Romero powiedział: »Jestem arcybiskupem San Salvadoru i muszę porozmawiać z Jego Świątobliwością«. Jan Paweł II odpowiedział mu: »Uważaj na komunistów«. Romero zdenerwował się i odparł: »Ojcze Święty, rozumiem Wasze zmartwienie, ale komunizm w Salwadorze jest inny niż w Polsce«. Wojtyła zmarszczył brwi wyraźnie niezadowolony i poszedł dalej. Arcybiskup skomentował: »Czuję, że z tym papieżem się nie rozumiemy«”.

Według niektórych źródeł Jan Paweł II przyjął abp. Romera następnego dnia (w poniedziałek, 7 maja 1979 r. – przyp. aut.). Arcybiskup San Salvadoru położył przed nim gruby plik dokumentów ujawniających zbrodnie reżimu na duchownych oraz oszczerczą kampanię znieśławienia prowadzoną przeciwko Kościołowi salvadorskiemu. Zniecierpliwiony papież miał powiedzieć: „Mówiłem, abyście nie przynosili tak wielu dokumentów! Tutaj nie mamy czasu na czytanie”. Zaskoczony Romero ze łzami w oczach wyciągnął zdjęcia zmasakrowanej twarzy ks. Octavia Ortiza i opowiedział historię kapłana, który został porwany tylko dlatego, że uczył Ewangelii chłopców w biednej dzielnicy San Salvadoru. „Zabili go z okrucieństwem i oskarżyli, że jest partyzantem...” – miał powiedzieć. Na co papież Polak miał zapytać: „A przez przypadek to nieprawda?”. Pod koniec audiencji Jan Paweł II zasugerował, że lepiej byłoby, gdyby arcybiskup budował mosty z dyktaturą.

O tym epizodzie opowiedział zmarły już Giovanni Franzoni, były duchowny, który wystąpił jako adwokat diabła podczas procesu kanonizacyjnego Jana Pawła II, oskarżając Wojtyłę, że tym zachowaniem przyczynił się do zabójstwa Romera. Informacje te przekazała Franzonemu siostra Virgil,

▶ która spotkała Romera, gdy wracał z Rzymu przez Madryt.

O takim przebiegu audiencji pisał również włoski watykanista Orazio La Rocca w artykule „Dlaczego papież Franciszek ogłasza świętymi Pawła VI i prałata Romera” dla włoskiego tygodnika „Panorama” (12 października 2018).

Podczas drugiego spotkania, 30 stycznia 1980 r., Jan Paweł II okazał się bardziej wyrozumiały w stosunku do abp. Romera i nawiązał

ludzi”. Nie dostał odpowiedzi. Wokół duchownego zrobiła się pustka. Był izolowany i szkalowany. Lokalna hierarchia kościelna odwróciła się, pozostawiając go bez ochrony. Z Rzymu także nie przyszła pomoc. Narastały groźby i ostrzegawcze incydenty. Dwa tygodnie przed zabójstwem w katedrze znaleziono dynamit. Wtedy zdecydowano się ograniczyć udział arcybiskupa w mszach publicznych. Celebrował je tylko w oratorium szpitala dla chorych na raka.

W marcu 1983 r. Jan Paweł II podczas wizyty w Salwadorze udał się na grób Oscara Romera, choć nie było to wcześniej zaplanowane. Modląc się, wypowiedział trzy razy słowa: „On jest nasz”. Papież Polak wyniósł na ołtarze 482 świętych, ale nie Oscara Romera.

Długie oczekiwanie

W 10. rocznicę zabójstwa następcą Romera – abp Arturo Rivera Damas SDB wystąpił z wnioskiem o otwarcie procesu kanonizacyjnego. W 1997 r. przekazano dokumentację do Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych

i tam utknęła ona na wiele lat. Dopiero w 2013 r. nowo wybrany papież Franciszek zajął się sprawą. W lutym 2015 r. promulgował dekret o uznaniu męczeństwa arcybiskupa, a uroczysta beatyfikacja Oscara Romera odbyła się 23 maja tego samego roku w San Salvadorze. Trzy lata później, 14 października 2018 r., abp Romero został wyniesiony na ołtarze wraz z Pawłem VI i pięcioma innymi świętymi.

Dlaczego Kościół tak długo odwlekał beatyfikację Romera? Jak twierdzi ks. Jesus Delgado, kluczową rolę w tym opóźnieniu odegrał kolumbijski kardynał Alfonso López Trujillo (zmarły w 2008 r.), który żywił osobistą urazę do Romera i krytykował jego styl duszpasterski. Domagał się, aby przeanalizować wszystkie przemówienia Romera, tropiąc w nich nieprawidłowości teologiczne. Dokumentacja nigdy nie dotarła do Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, która musiała ją zbadać. Gdy kard. Josef Ratzinger, jako ówczesny prefekt Kongregacji Nauki Wiary, po trwającym siedem lat badaniu wszystkich homilii i przemówień abp. Romera powiedział, że z teologicznego punktu widzenia są one ortodoksyjne i zgodne z nauczaniem Kościoła, López Trujillo ponownie sprzeciwił się i zażądał, by dokumenty zostały przebadane z punktu widzenia doktryny społecznej, ponieważ według niego Romero dokonał wielu nadużyć. Benedykt XVI nie miał ani siły sprawczej, ani powodów, by wynieść na ołtarze męczennika z Salwadoru. Dopiero papież z Ameryki Łacińskiej dał jej świętego.

Agnieszka Zakrzewicz

Momentem przełomowym w życiu Romera było zabójstwo jego przyjaciela, jezuickiego księdza Rutilia Grande, zwolennika teologii wyzwolenia.

z nim osobistą więź. Potwierdził to historyk Roberto Morozzo w książce „Primer Dios. Vita di Oscar Romero” (Najpierw Bóg. Życie Oscara Romera) wydanej w 2005 r.

Kto zabił Romera

Po powrocie abp Romero nie przestał być w opozycji, jak mu radzono w Rzymie. Kazania wygłaszał jeszcze odważniejsze, jego popularność rosła. Stał się symbolem walki o prawa człowieka, nominowano go do Pokojowej Nagrody Nobla. Napisał też list do prezydenta USA Jimmy’ego Cartera: „Mówi Pan, że jest chrześcijaninem. Jeśli tak jest, proszę zaprzestać udzielania pomocy finansowej tutajszemu rządowi, gdyż zabija on moich

Dzień przed śmiercią Romero wygłosił ostre kazanie przeciwko reżimowi: „Bracia, pochodzicie z naszego ludu. Zabijacie własnych braci. Każdy ludzki rozkaz dotyczący zabicia musi podlegać prawu Bożemu, które mówi »Nie zabijaj«. Żaden żołnierz nie jest zobowiązany wypełniać jakiegokolwiek rozkazu sprzecznego z prawem Boskim. (...) Najwyższy czas, byście słuchali własnego sumienia, a nie grzesznych rozkazów. Kościół nie może milczeć wobec takiej niesprawiedliwości. (...) W imieniu Boga, w imieniu cierpiących ludzi, których płacz codziennie coraz wyżej wznosi się ku niebu, proszę was, błagam, rozkazuję wam: zaprzestańcie represji”.

Nigdy nie wyjaśniono, kto zabił Romera. Przypuszcza się, że było to zlecenie wykonane przez płatnego mordercę i że za wszystkim stał mjr Roberto D’Aubuisson, organizator szwadronów śmierci w Salwadorze i późniejszy założyciel Narodowego Sojuszu Republikańskiego ARENA, który objął władzę w 1989 r. O zorganizowanie akcji oskarżono kpt. Álvara Saravię, którego formalnie uznano za winnego morderstwa i jako jedyne osadzono w amerykańskim więzieniu w 2004 r. Na tym trop się urwał. Zabójstwo Oscara Romera zakwalifikowano jako zbrodnię przeciwko ludzkości.

Pogrzeb został przerwany przez wojsko, które strzelało do tłumu. Po śmierci duchownego, którego w Ameryce Łacińskiej od razu uznano za świętego, w Salwadorze wybuchła regularna wojna domowa trwająca do 1992 r., której skutkiem było ok. 75 tys. zabitych i 9 tys. *desaparecidos*.

Jaruzelski stan wojenny a Morawiecki stan wyjątkowy – podobieństwa i różnice w najnowszym numerze tygodnika „NIE”.



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Trwoga

Myślę o pacjencie 0 w Chinach, który zadał się z nietoperzem lub z innym zwierzakiem i zainicjował pandemię. Jaki to „zaszczyt” tak wpłynąć na historię świata. Rola przypadku w historii. I widać wady globalizacji. Ma też rację mój przyjaciel z Kanady, kiedy mi pisze: „Najgorsze jest to, że z powodu tego wirusa uległa zakryciu większość łajdactw tego świata”. To jak najbardziej dotyczy Polski. Epidemia ujawnia ludzką twarz PiS. Na razie nie kłamią, mało manipulują, podejmują racjonalne decyzje. Część ludzi uwierzy, że nie są tacy źli, jak się zdawało. Bo jak trwoga, to do Boga lub do władzy. Tylko Morawieckiemu wyrzywa się czasami jakieś narodowe chwalięctwo. I od razu nos mu się wydłuża. Okropna sprawa z tym nosem. Co jednak będzie, jak wyjdą braki polskiej służby zdrowia? Znajoma, rzeczniczka prasowa szpitala, pisze mi: „Jestem zdruzgotana po spotkaniu roboczym ordynatorów. Nasz szpital nie jest zakaźny, ale... Na 38 respiratorów mamy 3, które mogą być dostępne dla zarażonych koronawirusem. Jeden z ordynatorów powiedział na spotkaniu: »Będą dla pielęgniarki, lekarza i dla dyrekcji«. Rozumiem, że będą po znajomości. Mam aż trzy specjalne kombinezony (w szpitalu rangi wojewódzkiej). Osobna jednostka, czyli pogotowie ratunkowe, ma 30 kombinezonów, ale żaden – powtarzam żaden – nie jest szczelny. Zalepiają je taśmą klejącą”.

Była chwila pustych półek w sklepach, kolejek, napięcia, jakie tworzy walka o jedzenie, a to nagle przeniosło mnie w czas PRL i było mi z tym nawet miło, nostalgicznie. Wzruszały także chwilowe braki papieru toaletowego. Wrócił widok z lat 80., ludzie z naręczami papieru toaletowego, z minami zdobywców. Ciekawe, dlaczego papier teraz też znikał. Wydawało się, że to pogłos leków z epoki Polski Ludowej, socjalistyczna gospodarka miała swoje kłęski na toaletowym froncie, ale na Zachodzie również walczone o papier. Trzeba tu powiedzieć, chociaż trochę wstyd, że ten europejski sposób używania papieru jest higienicznym barbarzyństwem. Wiedzą o tym Hindusi i inne ludy Azji, nie używają papieru, nie mieści im się to w głowach, to dla nich zupełne zdziwienie, myją się.

Jako człowiek głęboko niewierzący obserwowałem ironicznym okiem, jak episkopat bronił się nogami i krzyżem przed zamknięciem świątyń. Prawica religijna ma nowy slogan: kościoły to szpitale duszy. Stanisław

Karczewski, pisowski wicemarszałek Senatu, wykazał się religijnym heroizmem, mówił: „Pójdę do kościoła rano o godz. 7, kiedy jest bardzo mało”. Uważał, że koronawirus jest „groźny” i „tak naprawdę nie wiadomo, czy Tomasz Grodzki nie jest zarażony”. Nie mógł darować koledze lekarzowi, że go strącił ze stołka. Odezwały się głosy głęboko wierzących, że co znaczy taka choroba przy życiu wiecznym. A ja oczyma wyobraźni ujrzałem, jak Bóg umywa ręce płynem dezynfekcyjnym. Po Oświeceniściu przychodzi mu to łatwo. Na szczęście bardziej rozumni biskupi uznali, że nie ma co liczyć na Pana Boga, i przepędzili tłumy wiernych ze świątyni.

Ludzie się dzielą na tych, których ogarnęła wielka trwoga – epidemia ujawnia głębinowe lęki społeczne – i na grupę, która olewa wirusa, z głupoty, z braku wiedzy, ale też z chłodnej kalkulacji. To mój przypadek. Nie boję się,

Andrzej Duda i PiS są katastrofą i katastrofy im służą.

że zachoruję, roku mi brakuje, by wiekowo być w grupie ryzyka, celebрую ten rok. Choroba, która mi towarzyszy, olewa wirusa. O swoje dzieci się nie boję, dzieci zwykle nie chorują, a jeśli, to lekko. Znam jednak blisko kilka osób, które wirus by uśmiercił. I o nie serdecznie się boję. No i pachnie krachem ekonomicznym. Wielu ludzi, z którymi mam kontakt, bankrutuje, wielu popada w trwogę, że nie będzie miało z czego żyć.

Słowa Antoniego Macierewicza, który od dawna pragnie, by Polska zjednoczyła się z Białorusią. „Okazało się, że Unia Europejska, która jeszcze niedawno uważała, że powinna rządzić wszystkim, decydować o wszystkim, rozstrzygać, czy ludzie mają się żenić tak, czy inaczej, czy śpiewać takie pieśni, czy inne pieśni, czy tak interpretować prawo, czy jeszcze inaczej interpretować prawo, teraz jakby zniknęła. W obliczu tej naprawdę poważnej sytuacji Unii Europejskiej po prostu nie ma”. A ta okropna Unia daje nam właśnie 7,4 mld euro na walkę z epidemią. Jak ja tęsknię do chwili, gdy Macierewicz ogłosi swój raport smoleński, będzie coś wesołego w smutnych czasach. Katastrofa smoleńska dała władzę PiS, teraz epidemia może dać wygraną Dudzie. Oni są katastrofą i katastrofy im służą.

Katarzyna Niedurny

Wiadomo już, że Międzynarodowy Dzień Teatru 27 marca nie będzie w tym roku radosnym świętem. Koronawirus ujawnił tkwiące w systemie teatralnym problemy, podsumowując dyskusje o działaniu instytucji i społeczeństwa, pod znakiem których upłynął czas od ostatniego święta. Zarówno w kuluarach, jak i na scenie.

Żaden spektakl nie jest wart choroby. Słyszane w środowisku teatralnym narzekania nie mają na celu podważenia słuszności decyzji o przeciwdziałaniu epidemii, raczej wskazanie jej konsekwencji. A sytuacja wygląda źle na kilku poziomach. Instytucje publiczne, szczególnie te mniejsze, mniej prestiżowe, mimo dotacji uzależnione są również od osiągniętych dochodów. Nie mówiąc o teatrach prywatnych, które zarobią znacznie mniej, niż przewidywały. Trudno jednak w tej sytuacji martwić się o same instytucje, najsilniejszych graczy na rynku kultury. Ostatecznie zawsze cierpią ci najślabi. Pracownicy etatowi, którzy nie dostaną premii, rzemieślnicy przyzwyczajeni już do tego, że zamykanie pracowni teatralnych jest jednym z najprostszych sposobów na oszczędności. Poważny problem mają także ci, o których nikt się nie upomina – freelancerzy, a nimi w dużej mierze są artyści. Jest to mniejszy problem dla wielkich nazwisk, większy dla tych nierozpoznawalnych. Jeszcze trudniej mają żyjący z koordynowania wydarzeń, fotografowie, producenci, niezwiązani etatem z żadną redakcją dziennikarze zajmujący się kulturą, których warunki pracy od dawna się pogarszają. Chociaż tak naprawdę to, co się teraz dzieje, nikogo nie powinno dziwić. System teatralny źle działa od dawna.

Słoweński filozof Slavoj Žižek w książce „Rok niebezpiecznych marzeń” w nawiązaniu do 2011 r. pisze o serii protestów grup, które pragną radykalnej zmiany świata według własnych wymarzonych propozycji. Czas, który minął od ostatniego święta, był w polskim teatrze podobnym momentem dyskusji o wizji przyszłości artystycznej i organizacyjnej tej instytucji oraz pytań o to, jak ten teatr przyszłości mógłby wyglądać.

Rozwój krytycznego namysłu nad jego funkcjonowaniem był dotąd



Teatralny rok niebezpiecznych marzeń

Międzynarodowy Dzień Teatru nie będzie w tym roku radosnym świętem

hamowany przez przeświadczenie, że jeśli środowisko teatralne będzie głośno narzekać i formułować wobec siebie zarzuty, to władza chętnie wykorzysta okazję, przejmując kolejne instytucje, w myśl zasady: skoro wam nie wychodzi, my się tym zajmujemy. Przy wzmożonym od objęcia rządów przez PiS, lecz trwającym już za kadencji PO, krzysie środowisk artystycznych nikt nie chciał sobie na to pozwolić. Ta zapora jednak zaczyna pękać. Ostatnie lata udowodniły, że instytucje demolowane są niezależnie od wszystkiego, a poczucie, że twórcy mają na to jakkolwiek wpływ, było złudzeniem.

Inną przyczyną akceptowania obecnego stanu rzeczy było to, że najbardziej pokrzywdzeni mają zawsze

najmniej okazji do zabrania głosu. Dodatkowo za każdą skargą stoi pytanie, czy ta osoba odniosła sukces. Bo jeśli nie, to może jej krytyka jest tylko głosem tego, kto nie umie się przyznać do własnej porażki, czymś, czego nie należy traktować poważnie? Najsilniejszy głos należy do beneficjentów systemu, którym na zmianie w większości nie zależy. Z czasem jednak, w coraz trudniejszych warunkach twórczych, dyktowanych m.in. kontrwersyjnymi decyzjami o podziale pieniędzy przeznaczonych na kulturę, granica między tym, kto jest pokrzywdzony, a tym, kto wygrywa, przesuwa się, obie zaś role często przypadają naprzemiennie tym samym ludziom, którzy teraz głośno mogą podnieść temat swojej krzywdy. Szczególnie że

coraz lepiej widać, że *status quo* już nie wystarczy.

Co więc się wydarzyło w ostatnim czasie? Po pierwsze, wreszcie na poważnie rozpoczęła się dyskusja o wykorzystaniu publicznych pieniędzy i o widocznych w teatrach nierównościach. Część instytucji, w tym tak znaczące jak Teatr Powszechny czy – pod naciskiem mediów – TR Warszawa, zdecydowała się na publikację list płac. 200 tys. zł dla Krystiana Lupy za scenariusz, scenografię, reżyserię i światła spektaklu „Capri – wyspa uciekinierów” albo 100 tys. zł dla Grzegorza Jarzyny za reżyserię

obecnie już byłego dyrektora teatru. W styczniu prokuratura postawiła mu zarzuty dotyczące mobbingu i molestowania. To największa afera tego typu w polskim teatrze, która zyskała rozgłos medialny.

Również w tym kontekście niezwykle ważna stała się dyskusja o relacjach władzy, a także o molestowaniu i mobbingu w szkołach teatralnych. W warszawskiej Akademii Teatralnej odbyła się na ten temat konferencja „Zmiana – teraz! O czym milczeliśmy w szkołach teatralnych”, na uczelni utworzono poza tym stanowisko rzeczniczki praw studenckich, na

książki, a z drugiej zmierzyć się z zawartymi w niej argumentami. Aktorzy prowadzą widzów od fascynacji związanej z prześledzeniem argumentacji, a także częściowym zrozumieniem tkwiących w niej postulatów, do przerażenia tym, do czego one prowadzą. A wszystko to w kontekście radykalizującej się polityki, wszechobecnej mowy nienawiści i spadku tolerancji. Temat powracającego zagrożenia faszyzmem, kryzysu uchodźczego oraz pozycji artysty we współczesnym świecie poruszany był również w monumentalnym, trwającym prawie sześć godzin „Capri...”, chyba najbardziej wyczekiwanej premierze sezonu.

Na scenie pojawiały się również pytania o alternatywne wizje rzeczywistości i przyszłości. W „Kinie moralnego niepokoju” w Nowym Teatrze w Warszawie Michał Borczuch konfrontuje fabuły filmów Krzysztofa Kieślowskiego z relacją Henry’ego Davida Thoreau, który decyduje się na porzucenie dotychczasowego życia i zamieszkanie przez rok w lesie, poza społeczeństwem, za to w nieustającym kontakcie z dziką naturą. W mającym premierę na początku marca „Wracać wciąż do domu” (TR Warszawa) Magda Szpecht sięga zaś po powieść Ursuli K. Le Guin, by pokazać, jak po latach katastrof – zarówno klimatycznych, politycznych, jak i tych związanych z nowymi chorobami – ludzkość wraca do normalnego życia w ścisłym kontakcie z naturą, w strukturach plemiennych. W odtworzonym na scenie alternatywnym świecie znikają hierarchie,

To, co teraz się dzieje, nikogo nie powinno dziwić. System teatralny źle działa od dawna.

„G.E.N” (dodatkowo z reżyserem podpisano osobne umowy na scenografię, scenariusz, przeniesienie praw, wynagrodzenia za prowadzenie prób wznawieniowych) zmuszają do postawienia pytań o zasadność tak wysokich gratyfikacji, w momencie gdy to instytucje narzekają na niskie dotacje, a wielu pracowników tych samych teatrów pracuje za stawki o wiele niższe.

W tym okresie na polskich scenach na poważnie zagościł temat #MeToo. Dla środowiska teatralnego ważnym momentem było pojawienie się w sieci nagrania anonimowej grupy Anchois Courage, na którym dwie przebrane za kosmitki kobiety dzielą się plotkami dotyczącymi molestowania w teatrze. W spektaklu „Casting” w reżyserii Katarzyny Szyn-giery pokazanym na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej ponownie pojawiła się historia reżyserki, zaprezentowana już wcześniej w czasie czytania dramatu „Pięść”. Szyn-giera mówi o tym, jak znany reżyser, pedagog, były dyrektor Narodowego Starego Teatru, Mikołaj Grabowski, w czasie zajęć w krakowskiej AST włożył jej rękę pod spódnicę.

Podczas gdy oba te wydarzenia, podobnie jak dyskusje czy artykuły publikowane w prasie branżowej, miały obieg jedynie środowiskowy, o problemach związanych z molestowaniem w teatrze naprawdę głośno zrobiło się dopiero za sprawą aktorek Teatru Bagatela, które w liście do prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego informowały o nadużyciach

którą powołano dr Agatę Adamiecką-Sitek. Zmiany dotknęły też Akademię Sztuk Teatralnych w Krakowie. Ich siłą napędową stało się stworzenie przez jednego ze studentów, Michała Telegę, dramatu „Aktorki, czyli przepraszam, że dotykam” przygotowanego na podstawie jego rozmów ze studentami aktorstwa. Tytułowe „przepraszam, że dotykam” miało być powiedzeniem jednego z wykładowców szkoły, sam zaś tekst poświęcony został problematycznej pozycji kobiet w teatrze i nadużywaniu wobec nich władzy przez wykładowców bądź współpracujących ze szkołą reżyserów. Skutkiem rozpoczętego przez Telegę procesu było powołanie komisji roboczej mającej na celu stworzenie rozwiązań likwidujących podobne praktyki.

Wreszcie na poważnie rozpoczęła się dyskusja o wykorzystaniu publicznych pieniędzy i o widocznych w teatrach nierównościach.

Nie mniej interesujące były wydarzenia artystyczne. Część spektakli bezpośrednio odnosiła się do bieżących wydarzeń i nastrojów politycznych. Najgłośniejsze to „Mein Kampf” Jakuba Skrzywanka oraz „Capri – wyspa uciekinierów” Krystiana Lupy, oba w Teatrze Powszechnym w Warszawie. W pierwszym przypadku młody reżyser zdecydował się na oddanie głosu... Adolfowi Hitlerowi za pośrednictwem jedynej książki jego autorstwa. Inscenizacja tego kontrowersyjnego tekstu miała z jednej strony rozbić mit tabuizowanej

społeczeństwo staje się polem współpracy, a miarą bogactwa jest to, ile oddało się innym.

Wizja nowego świata pojawia się również w spektaklu „Gracjan Pan” Cezarego Tomaszewskiego, granym we wrocławskim Capitolu. W musicalowej formie na scenie zostaje zbudowany świat według Gracjana Roztockiego, popularnego, a zarazem kontrowersyjnego youtubera. Główne zasady panujące w Gracjanolandzie to unikanie ocen (których w internecie jest aż nadto) oraz różnorodność – ludzi łączy ich inność, ▶

▶ nie muszą szukać między sobą podobieństw, by być blisko.

Charakterystyczna blond fryzura na grzybek Gracjana i jego kolorowe stroje skupiają na nim wzrok przechodniów, z kolei temat spojrzenia czy konsekwentnego, udawanego niewidzenia jest bliski osobom z niepełnosprawnościami. W najciekawszym dla mnie spektaklu tego sezonu, performansie „PokaZ” w reżyserii Justyny Wielgus, granym przez Teatr 21 w warszawskiej Zachęcie, grupa performerów w konwencji emancypacyjnego freak show opowiada

o swoim doświadczeniu niepełnosprawności w społeczeństwie podglądaczy. Próbując na scenie wykreować na nowo relacje spojrzenia i zawartej w nim władzy, pokazując się widowni na własnych zasadach.

„PokaZ” to jeden z „małych spektakli”; nie tak nagłośnionych, nie tak drogich, wykonanych z mniejszym rozmachem – praca przy nich miała charakter kolektywny, mniej hierarchiczny niż w większości instytucjonalnych teatrów. W takich właśnie produkcjach wydarzyły się w tym roku najciekawsze rzeczy pod

względem artystycznym. Za patronkę tych działań uznałabym Weronikę Szczawińską – reżyserkę, laureatkę tegorocznego Paszportu „Polityki”, od lat tworzącą konsekwentnie teatr małych form, silnie zanurzony w konwencji, z dużym zapleczem intelektualnym. W 2019 r. odbyła się w Komunie Warszawa premiera jej kameralnego spektaklu „Po prostu”. Szczawińska wystawia napisany przez jej teścia Piotra Wawra dramat dotyczący śmierci po porodzie jego żony. Wzruszająca historia włożona przez Szczawińską w konwencję teatralną odegrana przez dwóch aktorów, w tym samego Wawra, zyskuje nowe znaczenia, zadając pytania o stosunek człowieka do własnej biografii.

Interesujące były też spektakle innych reżyserek. Agnieszka Jakimiak w „NOSEXNOSOŁO” opowiada historię seksualnego skandalu wokół holenderskiego choreografa Jana Fabra. Podobnie Katarzyna Szyngiera we wspomnianym już „Castingu” zajmuje się tematem nadużyć wobec młodych twórczyń. Dużo radości przyniósł widzom lekki i fascynujący spektakl „Lipa w cukrze” Magdy Szpecht i teatru Teraz Poliz opowiadający o kobiecych fantazjach erotycznych, stworzony na podstawie przeprowadzonych wśród Polek ankiet. Podobnie urzekająca jest przeniesiona w ostatnim czasie z Instytutu Teatralnego do Teatru Studio „Malina” Marty Malikowskiej, opowiadająca o jodze. Widzowie mają okazję położyć się na wygodnej gąbce i oddać medytacjom... służącym zniesieniu patriarchy.

Rok, który upłynął w polskim teatrze od ostatniego Międzynarodowego Dnia Teatru, przebiegł pod znakiem walki i oczekiwania na nowe. Krytyczne spojrzenie na układ relacji w instytucjach (a zarazem w społeczeństwie) doprowadziło zarówno do poszukiwania alternatywnych rozwiązań w funkcjonowaniu systemu i form współpracy, jak i do próby stworzenia na scenie alternatywnych światów. W obecnych czasach wydaje się to niezwykle istotne. I dla samej branży, i dla świata. W końcu poza tym, że marzenia są niebezpieczne, ponieważ każą wyjść poza to, co sprawdzone i znane, są też niezwykle istotne, by iść dalej. A przecież to miejsce, w którym stoimy, mogłoby być znacznie lepsze.

Katarzyna Niedurny





Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkato

Wenus w Lidlu

Dlaczego w czasach pandemii ludzie polecają sobie książki o zarazie? Chorym nie zostawia się w szpitalu zestawu nowel o dolegliwościach, a nastolatkom na granicy załamania nerwowego – dziesięciu najfajniejszych książek o samobójstwie. I tak wszyscy czujemy się jak w apokaliptycznym filmie, którego nie chcemy oglądać. Nie jest wcale „jak na wakacjach” i wcale nie pisze się dobrze. Przez większość czasu czuję się jak Gustaw Holoubek w filmie „Pętla” Wojciecha Jerzego Hasa. Kiedy grany przez niego alkoholik Kuba Kowalski postanawia przestać pić, rozdzwaniają się telefony w stylu: „Stary, podobno już nie pijesz, gratulacje”. Po którymś telefonie presję można już rozładować tylko w jeden sposób. Kochani przyjaciele, którzy od ósmej rano dzwonią z pytaniem, czy dobrze się czuję i jak reaguję na pandemię, sprawiają, że już w południe muszę wrzucić coś przeciwlękowego, bo mocno trzęsą mi się ręce, a serce wykonuje dodatkowe skurcze: pach-pach. A potem nieznośnie zaczyna boleć mnie głowa.

Mój wydawca zaleca higienę: „Agnieszko, sprawdzaj informacje tylko dwa razy dziennie, inaczej twoje problemy staną się naprawdę duże” (za późno!). W internecie krąży taki stary film o bakteriach. Jaskrawy kolor pokazuje, jak przenoszą się w przedszkolu: wędrują po klościach, książkach, miszkach, talerzach, lizakach przekazywanych sobie z ust do ust. Śledzę w ten sposób historię szarej renety, którą przyniosłam dziś z wazywniaka. Szara reneta, ty dziwko, na ile macanek musiałaś się zgodzić, zanim dotarłaś na mój talerz? Nie da się już niewinnie spojrzeć na owoc.

SMS-em przyszła dziś do mnie reprodukcja „Ostatniej Wieczerzy” Leonarda da Vinci przerobiona w sposób pandemiczny – przy słynnym stole jest pusto, na obrazie widać tylko okna i pozostawione nakrycie. „Narodziny Wenus” bez Wenus to też nie to samo. Na trawniku leży absurdalna tysa muszelka. Wenus ogląda pewnie Netflixa pod pierzyną albo nadaje na żywo z pustego Lidla: „Hey fellows, ale #miazga #dystopia, #koneckapitalizmu”. No nic, „ha, ha”, myślę i próbuję czymś zająć głowę. Zaraz jednak przychodzą do niej inne skarby kultury – np. wiersze o zarazie. Wiadomo! Jak trwoga, to do poetów!

Kiedy stajemy oko w oko ze strachem, zaraz sięgamy do Horacego i Owidiusza. Nieoczekiwanie w sukurs przychodzi jednak Brodski: „Nie wychodź dziś z pokoju, nie popełniaj pomyłki. / I tak na co ci słońce, skoro palisz bez filtra? / Za drzwiami wszystko bez sensu, a zwłaszcza okrzyk szczęścia. / Tylko do ubikacji – i zaraz wróć koniecznie. / O, nie opuszczaj pokoju, nie wołaj taksówkarza / dlatego, że przestrzeń zrobiona jest z korytarza / i kończy się licznikiem. A jeśli nawet kochana / podejdzie na kolanach, wygoń bez rozbierania. / Nie wychodź dziś z pokoju. Rozgłoś, że cię zawiało (...)”.

Pamiętam sprzed kilkunastu lat pewien wczesny obiad, który jadłyśmy z koleżankami pisarkami we wrocławskim Rynku. Wszystkie trzy miałyśmy zero na koncie, wyjątkowo zamówiłyśmy coś ekstra i rozprawiałyśmy o taniźnie. Ja polecałam do codziennej konsumpcji razowy makaron z razowym chlebem, a wszystko to wymaczane w maśle i przysmażone na patelni. Moja potrawa z miejsca wygrała jako najsmutniejszy i najobrzydliwszy zestaw węglowodanów ever. Miała jednak tę zaletę, że była szybka w przygotowaniu, supersycąca i tania. Rozstałyśmy się w poczuciu solidarności. Jedna z koleżanek wróciła do redakcji

„Odry”, druga – do Warszawy. Kiedy zadzwoniłam po kilku dniach, odezwała się słabym głosem człowieka kultury: „Taak?”. „A co ty biedna taka?”, zapytałam.

Ona na to, że właśnie czyta Houellebecq (nie uchodził jeszcze wtedy w Polsce za reakcjonistę), jednocześnie ogląda „Plac Zbawiciela”, słucha „Requiem” Mozarta i czuje, że robi się bardzo smutna.

Podobno wychowane na popkulturowych dystopiach pokolenie dzisiejszych 40-latków w warunkach pandemii naprawdę dobrze się bawi. A jeśli w drugiej połowie życia człowiek staje przed zadaniem „adaptacji do świata wewnętrznego”, ma ku temu wyjątkową okazję – izolacja sprzyja refleksji. Chociaż? *Wait*. W społecznościach ludzie zaczynają publikować reportaże ze sprzątanania szuflad. Lub są pierwszymi osobami na Ziemi, które zrozumiały „Rok 1984” Orwella albo znalazły wreszcie remedium na wszystko (trzeba się przytulać).

W społecznościach ludzie zaczynają publikować reportaże ze sprzątanania szuflad.

Rozmawia Rafał Pikuła

Jesteś kultowym twórcą realizmu anegdotycznego, czołowym śmieszkiem inteligentnego Facebooka. „Moja osoba”, czyli twój debiut literacki, pokazuje drugą stronę twojej twórczości. Dlaczego postanowiłeś wydać swoje eseje i „przygody”?

– Zaczęło się od tekstu o prokrastynacji. Do tego momentu pisałem – dla „Dwutygodnika”, „Tygodnika Powszechnego” czy innych tytułów – o książkach. Były to mniej lub bardziej rozbudowane recenzje. Czasami dawałem coś od siebie i o sobie, ale magazyny niechętnie patrzyły na takie wtręty, no, chyba że jesteś gwiazdą prozy. W tekście o prokrastynacji dużo napisałem, jak wygląda życie prokrastynatora, którym sam byłem i jestem. Tekst spotkał się z wielkim odzewem! Ponad tysiąc lajków, kaskada udostępnień, wiadomości od czytelników, którzy dziękowali, że w końcu ktoś tak osobiście o tym napisał. Potem napisałem tekst o pracy z domu i podobna sytuacja. Gdy już miałem trzy eseje zaczęliśmy kombinować na linii Wydawnictwo Czarne i „Dwutygodnik”, żeby to może jakoś kiedyś wydać.

Połowa tekstów była już publikowana. Drugie siedem napisałeś specjalnie do tego zbioru. Czy jako doświadczony redaktor, specjalista od cudzego pisania, wiedziałeś, jak te teksty mają wyglądać i jaka tematyka może się sprzedać?

– Absolutnie nie myślałem w kategoriach: o, to się sprzeda! Wybrałem raczej tematy, które były dla mnie ważne, które siedziały we mnie od dłuższego czasu lub takie, które objawiły mi się nagle. Tekst o ciszy („Silent disco”) dotyczył moich rozmyślań o prawie do ciszy i tej ciszy naruszeniach. „Najzimniejszy dzień roku” był próbą napisania tekstu o śmierci bliskiej osoby, tekst o Głównie inną opowieścią o PRL. „Ikea to szczęście” to już efekt intensywnej epifanii, nagłego olśnienia podczas wizyty w tym megamarkecie, gdy nagle spojrzałem na Ikeę zupełnie inaczej i zrozumiałem, że ten sklep to wielki epos kapitalizmu, katedra religii dizajnu i opowieść o Polsce i Polakach na dorobku.

Dla mnie najciekawszym, może najważniejszym i najtrudniejszym

Jak nie zostałem drugim Nabokovem

To nie tragedia, jeśli nasze plany się zmieniają, upadają miraż i nadzieje. Trzeba żyć i robić swoje



ŁUKASZ NAJDER

– recenzent, redaktor, autor debiutu literackiego „Moja osoba”

tekstem był ten o twoich stanach lękowych, nerwicy, rozczarowaniu i powolnym dochodzeniu do siebie. W eseju „Mysz” pokazujesz, kim jesteś, skąd się wzięłeś i dlaczego tutaj właśnie siedzimy i rozmawiamy.

– Tak jak napisałem w „Myszy”, w okolicach 2005 r. znalazłem się na dnie. Nigdy nie sądziłem, że to się stanie. Myślałem, że trafiają tam zniszczeni aferami politycy, nałogowcy, czarusie od piramid finansowych, którzy utracili dar. Pięć lat wcześniej skończyłem studia i nie było dla mnie większej nadziei ani szans na rynku pracy. Przedłużające się bezrobocie, łapanie od czasu do czasu gównoprace, zasuw w sieciówkach, unikanie znajomych, którym się wiodło, leżenie godzinami na kanapie, chodzenie do biblioteki, żeby przed światem i sobą udawać, że coś robię. W końcu ataki paniki.

Studia polonistyczne nie zapewniły ci pozycji, przyniosły tylko frustrację. Żałujesz, że wybrałeś taką ścieżkę, nazwijmy to, kariery?

– Nie żałuję, że poszedłem tą drogą. Gdyby nie studia polonistyczne, ostatecznie byśmy tutaj nie siedzieli i nie rozmawiali, prawda? Książki za-

wsze były moją pasją, ruszyłem więc za głosem serca. Inna rzecz, że nie było wtedy „pewnych” studiów, takich, po których stuprocentowo dostaniesz ekstrarobotę. Był szaf na psychologię, socjologię czy kulturoznawstwo, dosłownie zabijano się o miejsce na tych wydziałach, bo wyrastające wówczas jak grzyby po deszczu agencje reklamowe i kreatywne miały zatrudniać kreatywnych, wrażliwych psychologów i socjologów, znawców człowieka i tłumy. Ale moda i zapotrzebowanie minęły i absolwenci tych kierunków również zostali z niczym.

Poszedłeś na polonistykę, bo chciałeś być drugim Nabokovem, Kafką, bo zaczytywałeś się w „Ulissiesie”...

– Tak, wybrałem polonistykę, ponieważ chciałem pisać o literaturze i tworzyć literaturę. Ze szczyrych chęci, bez kalkulowania. Wiedziałem, że po tych studiach nie dorobię się majątku, ale przynajmniej zostanę pisarzem. Od dziecka słyszałem, że mam talent, moje wypracowania były chwalone, na maturze dostałem piątkę, walczyłem o aliterację w zdaniach, dopieszczałem każdy akapit, pompowałem swój balonik. Nie liczyłem się z kryzysem, z rosnącym bezrobociem, ponieważ niezależnie od rzeczywistości wokół miałem być pisarzem wybitnym i uwielbianym! Wtedy wszyscy w świecie literackim żyli nagłym sukcesem Doroty Maśłowskiej. Wierzyłem, że ja też nagle stanę się kimś uznanym i sławnym, kto sprzedaje dziesiątki tysięcy egzemplarzy swojego wstrząsającego zupełnie, oryginalnego debiutu.

Jednak pewnego wieczoru dokonaleś bolesnego odkrycia: nie będę drugim Nabokovem. Wszystko, w co wierzyłeś, okazało się złudzeniem, ale paradoksalnie wyzbycie się fałszywych przekonań pozwoliło ci stanąć na nogi.

– To było oczyszczające. Wpadłem w pustkę, w ten gęsty mrok rozczar-

rowania. Ale dopiero gdy osiągnąłem dno, mogłem spróbować pełznąć po ścianie w górę. Po dłuższym czasie pojawiła się oferta stażu w prywatnej szkole, ze dwa lata później zdobyłem pracę w niewielkiej bibliotece i zacząłem podyplomowe dziennikarstwo. Wreszcie – prowadziłem jednoosobowy dział promocji w łódzkim wydawnictwie dla dzieci i młodzieży. Oswoiłem się z myślą, że nie jestem literackim geniuszem. Nauczyłem się żyć na nowo, zobaczyłem w sobie kogoś zupełnie innego – zwyczajnego. **W „Myszy” wspominasz, że literatura, paradoksalnie, pozwoliła ci pokonać stany lękowe.**

– Może nie tyle pokonać, ile raz czy drugi postawić się panice. Na przykład jechałem kiedyś tramwajem i nagle sparaliżowały mnie strach i świadomość, że zaraz zemdleję albo umrę. Nie mogłem wysiąść, utknąłem w tłumie współpasażerów jak w pułapce, więc w głowie zacząłem sobie powtarzać wiersze Mickiewicza. I ta wewnętrzna recytacja pozwoliła mi się jakoś uspokoić. To było symboliczne; ważne, ale tylko symboliczne. Tak naprawdę jednak przed czymś znacznie gorszym niż nerwica lękowa ochroniło mnie to, że miałem dom, mamę, miałem dokąd wrócić, gdzie przeczekać kryzysy. Dziś dużo się mówi o chorobach psychicznych, zaburzeniach nerwowych, znane osoby opowiadają o swoich dołach i cierpieniach, wspieramy się w tym choćby i słowem czy zrozumieniem. 15 lat temu było z tą otwartością i pomocą o wiele gorzej, przez co bardzo się wstydziłem swojej „słabości” i wstyd nakręcał kolejne fale lęku, niewiary, przeświadczenia o totalnej porażce.

Pisałeś o tym epizodzie: „Tak, miłość wprawia w ruch słońce, gwiazdy i pociągi z Łodzi do Bydgoszczy, praca zagłusza rozpierdolił życia, mama nigdy się od ciebie nie odwróci, ale naprawdę lepiej zrobisz, jeśli nie będziesz czekał na te promocje i pójdziesz po prostu do lekarza, opowiesz mu o swoim

bólu”. Zmarnowałeś wiele czasu, uciekając od lekarza.

– Tak, nie skorzystałem wtedy z profesjonalnego wsparcia – potwornie się wstydziłem udać do psychiatry, psychologa czy neurologa. Do tego trawiła mnie jakaś dziwaczna, kompletnie debilna duma, że JA nie mogę być chory. Dziś postąpiłbym inaczej. Miałem szczęście, że przy okazji stażu w tej szkole poznałem ujmującą kobietę i ta znajomość pobudzała mnie do działania, do przewalczenia przeciwności. Sama praca również dobrze mi zrobiła. Pojawiły się okoliczności, które pozwoliły mi pomału odzyskać kontrolę nad swoim samopoczuciem i samooceną. Ale wiem, że wielu ludzi może nie mieć tyle szczęścia, nie pomoże im żaden przypadek. Nie warto więc na taki bonus czekać. Trzeba pójść do lekarza, leczyć się. Kropka.

Dopiero pozbycie się tej dumy pomogło.

– Zamiast pisać książki, zacząłem pisać o książkach. Po jakimś czasie zostałem recenzentem zewnętrznym Wydawnictwa Czarne, potem szefowa Monika Sznajderman zaproponowała mi etat. Tak trafiłem do Czarnego i jestem tu osiem lat, pracując zdalnie z domu jako redaktor. W międzyczasie pisałem o książkach dla niszowych tytułów, które, rzecz jasna, nie płaciły za teksty albo płaciły niewiele, potem odezwał się „Dwutygodnik” i jakoś to się rozwinęło. Od notek blogowych po recenzje, od recenzji po eseje i „przygody”. Teraz tak nieskromnie zastanawiam się nad zbiorem opowiadań. Czymś w stylu i duchu Wellsa Towera czy George’a Sandersa.

Czyli jednak pisarstwo, tyle że małe formy!

– Nie mam złudzeń. Żadnej powieści już nie napiszę, nie mam talentu. Kiedy próbowałem pisać coś większego, nie wychodziłem nigdy poza kilka, kilkanaście stron, które potem rozgoryczony kasowałem. Potrafię pisać krótkie formy, ludzie chcą czytać moje eseje i relacje z rzeczywistości; jak sam zauważyłeś, moje wpi-

sy na Facebooku cieszą się dużą popularnością. Może moim powołaniem jest komentowanie rzeczywistości, otaczającego świata, a nie tworzenie nowych światów? Będę próbował.

Najbardziej znany jesteś jako ten śmieszek inteligentnego Facebooka. Duża część twoich followerów nie przeczytała żadnego twojego eseju, ale docenia celne dygresje i anegdotki, taką literaturę na czasy mediów społecznościowych i powszechne zjawisko TL;DR (angielski skrót od *Too long; didn't read*, co oznacza „za długie, nie czytałem” – przyp. red.).

– Lubię podglądać rzeczywistość, śledzić absurd, zdarzenia i kolizje codzienności. Wszystko zaczęło się, gdy przeprowadziłem się do Zgierza, spacerowałem z psem po wielkim osiedlu, jeździłem do pracy w Łodzi kultowym tramwajem 46 i podglądałem przy okazji ludzi, słuchałem, co mówią. Szybko moje wpisy stały się popularne. Później jednak się wypaliłem, pracowałem coraz więcej w domu, pojawił się synek, przeszedłem w tryb bardzo stacjonarny. Zacząłem więc komentować to, co widziałem na ekranie: politykę, sprawy społeczne, komentowałem do komentarzy. **Zastanawiałem się, komu warto polecić twój debiut. I myślę, że to dobra opowieść „przegrywa”, humanisty nie tyle wyklętego, ile niepotrzebnego, napisana dla innych „przegrywów”. Erudycyjna przygoda, która pozwala także wyzbyć się złudnych nadziei, niszczących fantazji, chorych ambicji.**

– Myślę, że pokazuję w tej książce nie tylko pakiet lęków, trendów i emocji późnego kapitalizmu, ale i dość prostą prawdę, że zawsze może się coś zmienić. Dochodzi do przełomu – do przekroczenia samego siebie. Ale bez obaw, nie jestem księdzem ani nawet coachem. Pokazuję też, że warto iść za marzeniami, lecz nie trzeba kurczowo się ich trzymać. To nie tragedia, jeśli nasze plany się zmieniają, upadają miraż i nadzieje. Trzeba żyć i robić swoje. Jestem ojcem, mężem, pracownikiem kultury, mam swoje frustracje, problemy finansowe i metafizyczne, cierpię na prokrastynację, niezdolność do skupienia, Polskę, wizję apokaliptycznej przyszłości. Nie jestem drugim Nabokovem, ale może i tak niekiedy mam coś interesującego do powiedzenia. ■

Wstyd nakręcał kolejne fale lęku, niewiary, przeświadczenia o totalnej porażce.



Wiesław Kot

– Pół litra czystej co rano – odpowiedział Emil Karewicz na pytanie o przepis na długowieczność, które zadał aktorowi w 90. urodziny „Tele-*express*”. – Oczywiście pół litra czystej owsianki – dodał. Cały Brunner!

Jego pierwszą aktorską rolą był występ klauna, podpatrzony przez małego Emila w wileńskim cyrku, a następnie odtwarzany w domu, aby rozweselić rodziców. A w domu już wówczas działo się źle – od powszedniej nędzy matka uciekała w dewocję, a ojciec w wódkę. Rozwiedli się, gdy Emil miał zaledwie siedem lat. Został przy matce, która rupociła zaczynała rozumieć, że ten ruchliwy i ciekawy świata chłopak na księdza raczej nie wyrośnie. „Jeżeli już nie księdzem, to powinienes zostać przynajmniej zakrystianem”, powtarzała synkowi.

Klaun, małpizson, lowelas

A mały urwis przeciskał się wszędzie, gdzie tylko odbywało się jakieś przedstawienie. Jak nie buszował między straganami w trakcie słynnych wileńskich Kaziuków (4 marca), to wystawał 11 listopada pod trybuną honorową, z której defiladę przyjmował i przemówienie wygłaszała Dziadek. Jego serce spocznie zresztą niebawem na wileńskiej Rosie. Pierwszy raz Emil upił się, gdy kościelny wysłał go jako ministranta do kościelnej piwniczki po wino

Popularność zdobyta dzięki „Stawce...” bardzo się przydała. Brunnerowi nikt nie śmiał odmówić np. przydziału materiałów na budowę domu.

mszalne. Wypili z kolegą więcej, niż przynieśli. Na bilety do najtańszego kina, które pokazywało przygody Toma Mixa, pierwszego kowboja Hollywood, zarabiał, łowiąc w Wilejce uklejkę, drobne ryby, sprzedawane za grosze żydowskiemu handlarzom. Z tych seansów chłopak wyniósł bakcyła aktorstwa i już w sezonie 1941 w Teatrze Małym – w Wilnie, które przechodziło z rąk polskich na przemian w sowieckie i w litewskie – zadebiutował w roli małpy w inscenizacji bajki Kryłowa. Zgarnął owację, ponieważ potrafił podrapać się za uchem nogą. Przejęcie Wilna

Tylko z nim te numery!

EMIL KAREWICZ (1923-2020)

przez Armię Czerwoną zastało Emila w dwumetrowej ziemiance, którą wykopał w ogrodzie na przedmieściach. To było pierwsze mieszkanko dla niedawno zaślubionej pary: Ewy i Emila, którzy tak postanowili ukryć się przed wywózkami. A przeprowadzał je zarówno jeden, jak i drugi okupant. Udało się przed nimi uchronić, a nawet wstąpić do 2 Armii Wojska Polskiego. Co jednak z tego, skoro mocno konserwatywne przedwojenne środowisko teatralne dla zasady blokowało dostęp do sceny takim, którzy służyli w „sowieckich formacjach”. Z prac teatralnych pozostało Emilowi reżyserowanie sztuki świetlicowej pod tytułem „Cześć pracy!” dla gdyńskich dokerów. Tyle że Emil obstawał przy swoim i po licznych podchodach w 1950 r. zdał egzamin aktorski w Łodzi, a nawet dostał rodzinne mieszkanie przy ulicy Jaracza, rzut beretem od teatru i dwa kroki od Piotrkowskiej. Stamtąd przejął go film. W „Warszawskiej premierze”, ramocie o historii wystawiania „Halki”, zagrał z niedopuszczalną przesadą lowelasa, za to u boku samej Danuty Szaflarskiej. A w czasie przerw szkicował w garderobie całkiem udane karykatury kolegów – pfacili po 200 zł od sztuki.

Najważniejsze, że się pokazał, że wyszedł z cienia. Paradoksalnie – wprost do „Kanału” (1956). Andrzej Wajda przeznaczył mu tam rolę powstańca, który bałamuci dziewczynę, a ta popełnia przez niego samobójstwo. Kiedy zaś por. „Mądry” wypełza z czeluści umazany breją po czubki włosów, elegancki niemiecki oficer dłonią w rękawicze z widocznym obrzydzeniem odbiera mu pistolet maszynowy i kieruje ku ścianie, pod którą go za chwilę rozstrzelają. Scena była tak sugestywna, że Niemcy wycięli ją przed wprowadzeniem filmu na swoje ekrany.

W każdym razie Karewicz to był już ktoś. Kiedy zatem kompletowano ekipę do ekranizacji „Bazy ludzi umarłych” (1958) według scenariusza Marka Hłaski i zbierano najgorętsze młode nazwiska, ściągnięto na plan – obok Tadeusza Łomnickiego czy Leona Niemczyka – także Emila Karewicza. W dodatku na osobiste życzenie Hłaski. I kiedy ten w końcu wycofał nazwisko z czołówki, bo jego polskiemu filmowi noir dopisano końcówkę jak z produkcyjniaka, postanowił na koniec urządzić się z aktorami, którzy mimo wszystko starali się, jak mogli. „Po pierwszych toastach byłem według Hłaski najlepszym aktorem z całego filmu – wspominał pan Emil. Po drugim – najlepszym w Polsce. A po kolejnych – trzecim najlepszym na świecie”. Krytyka pisała w podobnym tonie, że „zachowując opanowanie, niemal wzgardliwą obojętność, drewnianą twarz, w której żywe i czujne są jedynie jego oczy, potrafił się wysunąć na czoło całego zespołu”.

Monument i gestapowiec

Ta wzgardliwa obojętność przydała się, gdy Aleksander Ford szukał aktora, który udźwignąłby rolę króla Jagiełły w superprodukcji „Krzyżacy” (1960).

Zresztą reżyser niczego więcej od Karewicza nie oczekiwał, przeciwnie, wymagał jednoznaczności, płaskości i monumentalizmu. Aktor wywiązał się, choć z żalem. Jagiełło w jego interpretacji nie przeżywa wahań, nie cierpi, nie kalkuluje, wydaje tylko rozkazy. Zresztą żeby ten jego monumentalizm wzmocnić, w scenie rozmowy z postaciami krzyżackimi (dwa nagie miecze) filmowano go od dołu. Tak się patrzy na pomniki. W dodatku, by podnieść majestat, posadzono króla (czego w filmie oczywiście nie widać) na koźle gimnastycznym sprowadzonym z pobliskiej szkoły. Na tym koźle Emila Karewicza w roku premiery i krótko po obejrzało 32 mln widzów – cała ludność Polski wynosiła wówczas ok.



Emil Karewicz wystąpił tylko w pięciu odcinkach „Stawki większej niż życie”, a publiczność zapamiętała go tak, jakby zagrał we wszystkich 18 – wspominał Stanisław Mikulski.

30 mln. I najważniejsze: „Jagiełło stał się moją prawdziwą bramą do masowej wyobraźni – wspominał Karewicz. – Już do końca widowiska zapamiętała mnie jako Jagiełłę. I przy okazji postać ta była pewnym alibi. Bo gdy później pojawił się ten zły, Hermann Brunner, król Jagiełło go równoważył”.

No właśnie, Brunner! Jest rok 1965 i dzwoni telefon. W słuchawce reżyser Andrzej Konic: „Emil, mam dla ciebie rolę. Robię w telewizji przedstawienie »Stawka większa niż życie«. Rozumiesz – wojna, mundury, strzelanina... Główną rolę będzie grał Mikulski. A ty tego gorszego. Ale nie martw się, też fajna rola”. Karewicz niedawno przeniósł się do Warszawy, tutejsze środowisko teatralne traktowało go jak przybłędę z prowincji, więc przyjmował role jak leci, byle się utrzymać na fali. Bez namysłu zgodził się na tego Brunnera, w sumie nic takiego, kilka epizodów w serialu telewizyjnym. Zresztą Brunner był tylko jednym z kilkunastu planowanych gestapowców. Tyle że jak już raz za-

grał, reżyserzy natychmiast zaczęli wycofywać tych innych, a napisane dla nich role przeznaczali Brunnerowi-Karewiczowi. A i tak, gdyby dokładniej policzyć, uzbierało się tego bardzo niewiele. „Emil wystąpił tylko w pięciu odcinkach serialu, a publiczność zapamiętała go tak, jakby zagrał we wszystkich 18 – wspominał po latach Stanisław Mikulski. – On zrobił

Aktor, póki pamięta, jak się nazywa, i trafia sam do domu, może grać – mówił Emil Karewicz.

z Brunnera majstersztyk! Nie każdy by potrafił znaleźć do tej postaci klucz. Jego postać jest straszna i groteskowa zarazem. Zagrał w »Stawce« bravurowo”. Widzowie na swój sposób go polubili, a co najmniej przywiązali się do niego. „Dlaczego tak się stało, nie wiem – przekonywał Karewicz. Grałem tak, jak mi wskazywał tekst. A że wyszło, tak jak wyszło? To chyba aktor do kitu, bo co innego gra, a co innego mu wychodzi”. Ale nie tylko to

– na planie powstała szczególna chemia między Klossem a Brunnerem. Czego nie da się powiedzieć o Klossie i kilku innych gestapowcach. Po prostu Kloss i Brunner zostali parą. Na zawsze.

Popularność zdobyta dzięki „Stawce...” bardzo się przydała. Brunnerowi nikt nie śmiał odmówić, np. przydziału materiałów na budowę domu. Kiedy pan Emil zaparkował samochód w niedozwolonym miejscu, milicjant wystawił najniższy możliwy mandat, w kwocie 5 zł. A kiedy okazało się, że aktor nie ma przy sobie drobnych, funkcjonariusz zadeklarował, że zapłaci za niego ze swoich. Nawet w roku 2002, kiedy na festiwalu w Opolu weszli z Mikulskim na scenę przy wtórze słynnej melodii ze „Stawki...”, publiczność wstąpiła z miejsc i urządziła im owację. „Zatkało mnie – wspominał Karewicz. Nie mogłem słowa wymówić. Jeszcze dziś czuję ciarki na plecach”.

Ten Brunner tak mocno do Karewicza się przykleił, że kiedy reżyserzy dzwoniли z kolejnymi propozycjami, zaznaczali od razu, że może grać, jak chce, byle nie odstawiał na ekranie kolejnego Brunnera. Czasem bywało to nieuniknione, jak wówczas, gdy w „Jak rozpętałem drugą wojnę światową” zagrał gestapowca, który próbuje wymówić nazwisko Brzęczyszczkiewicz. Paradoksalnie gruntowniej pan Emil odkleił się od serialowego wizerunku dopiero w roku 1995, grając w reklamie margaryny. W tamtym czasie pojawianie się aktorów w reklamach to był ewenement dość surowo piętnowany w środowisku. Zwłaszcza przez tych, którym występ w reklamach nie proponowano. Karewicza-Brunnera znów, jak

za najlepszych lat, oglądała cała Polska. Karewicz tego występu nie przeczytywał sobie za ujmę, zwłaszcza że formalnie był już na aktorskiej emeryturze. Choć cały czas spodziewał się propozycji. I tłumaczył: „Aktorzy występujący w reklamie nie tylko ze względów finansowych, ale także dla przypomnienia, że jeszcze żyją, ruszają się i można ich pokazać. A aktor, póki pamięta, jak się nazywa, i trafia sam do domu, może grać”. ■

SPISEK PRZECIWKO AMERYCE

Jest rok 1940. Franklin Roosevelt przegrywa wybory prezydenckie. Urząd obejmuje Charles Lindbergh, który romansuje z Hitlerem i popycha Amerykę na nowe tory – antysemityzmu i izolacjonizmu. Skutki polityki faszystowskiego przywódcy oglądamy w serialu Davida Simona z perspektywy żydowskiej rodziny z Newark, pieleszy Philipa Rotha, autora literackiego pierwowzoru. Książka pojawiła się na rynku w 2004 r., ale serialowa rzeczywistość wygląda jak odbicie współczesności: głowa państwa odrzuca naukę na rzecz fake newsów, a kapitał polityczny zbija na propagandzie piętnującej mniejszości etniczne. Choć David Simon („Prawo ulicy”, „Kroniki Times Square”) spuszcza na widza bombę, jego serial nie jest efekciarski. Wszystko dzieje się powoli, zło osacza bohaterów drobnymi kroczkami. Najpierw Elizabeth Levin (świetna Zoe Kazan) wyciąga



radio, z którego leją się upokarzające stereotypy na temat Żydów. Potem napotyka potępiające spojrzenia w autobusie. Następnie nie zostaje wpuszczona z dziećmi do sklepu. W końcu dostaje w twarz tylko za to, kim jest. Kamyczek ląduje przy kamyczku, by wreszcie wywołać lawinę. W tej alternatywnej historii Ameryki najbardziej przeraża to, że dziś zejście lawiny grozi nam równie mocno.

Artur Zaborski

HBO I HBO GO, NOWE ODCINKI WE WTORKI

ZŁOTO BAŁTYKU, SEZON 2

Tak jak „Wataha” wydobyła piękno Bieszczad, „Złoto Bałtyku” odkrywa polskie morze z zupełnie innej strony. Zamiast plażom zastawionym parawanami przyglądamy się wydobywaniu bursztynu i produkowaniu z niego najróżniejszych dóbr. W drugim sezonie to nie tylko błyskotki i pamiątki z wakacji, ale też największy na świecie bursztynowy model... „Titanica”, który ma szansę trafić do Księgi rekordów Guinnessa. Twórcy uważnie odtwarzają drogę cennego kruszcu – od wielogodzinnego wyflukowania go z ziemi, poprzez



obróbkę, aż do finału na salonach gwiazd czy polityków (jeden z odcinków poświęcono Dorocie, jubilerce, która ma przygotować biżuterię dla prezydentki Gdańska Aleksandry Dul-

kiewicz). Napięcie budują przeszkody, z którymi muszą się mierzyć bohaterowie. Nie tylko kwestia złóż spędza im sen z powiek; są też złodzieje, gotowi cichaczem opróżnić odkryte pokłady. Całość odznacza się walorami kulturoznawczymi, bo serial dokumentalny przybliży fascynujące zwyczaje i specjalistyczny język poławiaczy. Zdjęcia dzikich plaż i opowieści wyczekującego szermurza Tomka czy Benedykta, który przeskakuje sieci z rybami, sprawiają, że na Bałtyk nie da się już patrzeć tak samo.

Artur Zaborski

HISTORY, OD 24 MARCA

MIĘDZY OKŁADKAMI



Diane Setterfield
Była sobie rzeka
tłum. Izabela Matuszewska
Albatros, Warszawa 2020

W okolicy gospody Pod Łabędziem nad Tamizą ceni się opowieści. Jej bywalcy, chociaż ze słowem pisany są na bakier, mówione smakują jak wyborny trunek. I właśnie oni – jaka gratka – sami stali się częścią historii, która zaczęła się w najdłuższą noc roku. Może nawet byli świadkami cudu. Wyciągnięta z wody dziewczynka, wydawałoby się martwa, ożyła. Kim jest? Porwaną dwa lata wcześniej córeczką bogatych państwa Vaughan czy dzieckiem oszusta i samobójcy? Jej pojawienie się odmienia losy ludzi, staje się swego rodzaju testem moralności, czystości serca. Ona pozostaje zagadką, ale przyczynia się do wyjaśnienia tajemnic z życia bohaterów.

To barwny obraz XIX-wiecznej Anglii i gawęda o rzece pobłyскуюjąca baśnią, potoczysta i zmienna jak woda, raz płynąca wartko, a raz rozlewająca się leniwie. Odrobinę zamieszania wprowadza na koniec tłumaczenie – wisiorek zamienia się w złoty łańcuch z kotwicą, co już budzi zupełnie inne skojarzenia, choć nie z panami pokroju „Paola” od kamienicy Banasia.

Aleksandra Pańko

Jan Parandowski
Alchemia słowa
Dowody na Istnienie, Warszawa 2020

Co chwila na rynku pojawiają się książki w stylu „sekrety pisarzy” albo „jak oni pracują”. Do tego egzaltowane prasowe opowieści o biurkach, salonach i wychodkach literatów. Synteza warsztatu 500 twórczyń i twórców, jaką serwuje Parandowski, jest przeciwieństwem wspomnianej makulatury. Pisana prawie 25 lat „Alchemia słowa” to swoisty traktat o sztuce pisarskiej, afirmacja potęgi słowa i wyznanie miłości do literatury. Obcowanie z nią to nie tylko intelektualna przygoda, ale też doznanie estetyczne. Nie spodziewalibyście się, jakie znaczenie miała i (mam nadzieję) wciąż ma literatura w życiu ludzi i dziejach społeczeństw. Wznowienie kultowej książki, wzbogacone o dwa teksty krytyczne Jacka Dehnela i prof. Krzysztofa Zajasa, to biblia dla tych, którzy w swojej codzienności parają się słowem, a pożyteczna lektura dla całej reszty.

Rafał Piłkuła





Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Kto miał piłkę, ten miał władzę. Na naszym podwórku pod koniec dekady gierkowskiej grało się guminiokiem, a posiadanie na własność prawdziwej skórzaney piłki, z admiracji dla jej doskonałego kształtu zwanej kulą, było przywilejem nielicznych. Żeby zagrać kulą, trzeba było czekać, aż jej właściciel dostanie dyspensę od domowych obowiązków, samemu się od nich wymknąć, a potem liczyć na to, że uda się załapać do składu. Władza deprawuje: czasem łyż w oczach odrzuconego sprawiły większą satysfakcję niż komfort gry, więc bywało, że właściciel kuli dobierał nieparzystą liczbę zawodników, byle tylko móc kogoś spuścić po brzytwie.

Przez długi czas jedynym podwórkowym dysponentem prawdziwej kuli, przystanej w paczce z Reichu, był absolutny boiskowy niedorajda. W czasach guminiokowych mógł co najwyżej przyglądać się naszym meczom, bo był za słaby nawet na to, żeby stanąć „w budzie”, kiedy tradycyjnie brakowało golkipierów. Nie umiał grać, w dodatku jego cieleca fizys wywoływała nieposkromioną niechęć –

najlepszych dryblerów, że ten nabawił się krwawej kontuzji na asfalcie. Zaprotestowaliśmy solidarnie i niedojda został na ulicy sam ze swoją kulą. Okazało się, że to była chwila, na którą czekał całe życie: obserwowaliśmy z okien, jak się kiwa z powietrzem, pokracznie biega i strzela gola za golem do pustej bramki, co chwila gromko ogłasza, że wynik rekordowo rośnie. Udawał komentatora sportowego, zdawał sprawozdanie z każdej „akcji”, wreszcie był najlepszy na pustym placu gry. Nie znudziło się złamasowi, traktował to zupełnie poważnie – doszedłby pewnie do wyniku tysięcy do zera, gdyby go rodzice nie zawołali na kolację.

Wraca mi to wspomnienie, kiedy spoglądam z obrzydzeniem i bezsilnością na hybrydową kampanię Dudy, a zwłaszcza kiedy zerkam na media prawicowe, które od pięciu lat w nieustającym fellatio podtrzymują stan satysfakcji rządzących. „Rośnie poparcie dla prezydenta!”, krzyczą tytuły i wykresy, pod którymi tłoczą się wiadomości o tym, że co prawda mamy wirusa, ale przywlekli go obcy, polski rząd radzi z nim sobie znakomicie.

Między słupkami

miał oblicze klasowego prymusika, co to wiecznie trzyma rękę w górze i wzrokiem głodnego cocker-spaniela łasi się z pierwszej ławki do wychowawczyni. Nie był bystry, ale nadrabiał w szkole lizusostwem, co skazywało go na los podwórkowego pariasa. Nie zasługiwał nawet na to, żeby mu spuścić manto, nie wywoływał agresji, tylko zażenowanie – gdy stał zbyt blisko linii autu, gapiąc się na nasze rozgrywki, czasem zdarzało się, że niedelikatnie go przedstawiano lub wręcz popychano – ale nikomu nie chciało się go bić. Kiedy zatem pierwszy raz wyszedł na naszą ślepą uliczkę z kulą i zaczął nią objąć garaż, straciliśmy grunt pod nogami. Zamiast tradycyjnie „Mogę se z wami zagrać?”, zapytał: „Chcecie se ze mną pograć?” i tak się skończył świat, który znaliśmy.

Grać się nie nauczył, ale od tej pory nie było meczu, w którym by nie wystąpił, zawsze tak wybierał składy, żeby mieć po swojej stronie najlepszych. Nikt nie chciał mu podpaść, żeby nie zostać wykluczonym, przyjmowaliśmy więc jego nieudolność cierpliwie i pobłażaliśmy mu, choć plątał się po boisku nieporadnie, tak przeszkadzając swoim, że zdarzało mu się osłabić nawet najsilniejszy skład. Z czasem się rozbisurmanił i zaczął faulować – okazało się, że w tym był naprawdę dobry – kopał nas, sukinkot, po kostkach i piszczelach, a myśmy tylko rozkładali bezradnie ręce w niemym oburzeniu. Trzeba było znieść i to, bo niedorajda nie tylko był jedynowładcą kuli, ale i do niego należało rozsądzanie spornych sytuacji – podstawiając nam nogi i ładując łokieć w żebra, nie przyznawał się do fauli. Za którymś razem przesadził – tak podciął jednego z naszych

Prezydent w bluzie khaki głębię swoją nam przyprawia na dziesiątkach fotografii, głębię swoją przyprawia mnie o mdłości, kiedy wizytuje zakłady pracy, szpitale, kiedy wygłasza sążniste monologi na codziennych konferencjach prasowych. Słupki uparcie mu rosną, bo rywale zesłali z boiska. PiS wprowadzi stan wyjątkowy, nie ogłaszając go formalnie, bo wybory muszą się odbyć o czasie, który redukuje groźbę przegranej praktycznie do zera.

Duda fauluje od początku swojej kadencji, czemuż by miał grać *fair* właśnie teraz, kiedy waży się jego losy? Nasz podwórkowy niedojda utracił władzę, kiedyśmy mu w akcie solidarnego protestu piłkę odebrali i wykopnęli za płot ponurego sąsiada – prosto na ulubioną grządkę. Egzekucji dokonał na naszych oczach, choć kula nawet stawiła opór, to było porządne, zachodnioniemieckie dzieło rzemiosła sportowego, sąsiad musiał pójść do szopki po ostry szpikulec, bo sekator ogrodniczy ześlizgiwał mu się po skórzanych łatach. Niedojda doniósł swoim rodzicom, ci donieśli naszym, wszyscy dostaliśmy wielodniową sztabę – tak na śląsku nazywano z niemiec-ka areшт umowy, a ściślej pokojowy. Czas tamtej kwarantanny umiłało nam jednak nasycenie faktem obalenia władzy. A potem zrobiliśmy zrzutkę i wystaliśmy do sklepu delegata, który zakupił nam kulę produkcji rodzimej. Każdego dnia trzymał ją w domu kto inny; była jak ołtarzyk wędrowny, stawiany w poczesnym miejscu. Co do niedojdy, przestał w ogóle się pojawiać na podwórku, bo zmieniło się w nas jedno. Zażenowanie zastąpiła agresja – teraz już każdy chciał mu przyłożyć.



1

STAN EPIDEMICZNY

Od 13 marca na terytorium Polski obowiązuje stan zagrożenia epidemicznego. Zamknięto szkoły i uczelnie, odwołano imprezy masowe. Nieczynne są bary, restauracje, muzea i kina. Zalecane jest pozostanie w domach i podejmowanie pracy zdalnej. Rozprzestrzeniający się w ekspresowym tempie wirus COVID-19 wpłynął na większość aspektów życia w Polsce i innych krajach dotkniętych pandemią.



2



3

1. Warszawa. Opustoszały skład metra na stacji Rondo ONZ.
2. Poznań. Zgromadzenie Sióstr św. Elżbiety. Bezdomni, ubodzy i potrzebujący odbierają jedzenie w jadłodajni Caritasu.
3. Lublin. Proboszcz Parafii Nawrócenia św. Pawła ks. Mirosław Matuszny przeszedł ulicami z relikwiami św. Antoniego, modląc się o wypędzenie z Polski koronawirusa.
4. Warszawa. Szczególne środki ostrożności podczas zakupów w sklepie spożywczym.
5. Centrum Warszawy. Napis został niezwłocznie zamalowany.
6. Katowice. Mycie i dezynfekcja pociągów Kolei Śląskich.



Lektury pod specjalnym nadzorem

Kraje na całym świecie wracają do tworzenia indeksów zakazanych pozycji

Mateusz Mazzini

Philip Nitschke, 72-letni australijski fizyk teoretyczny i lekarz, jest bez wątpienia jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci we współczesnej historii antypodów. Świat po raz pierwszy usłyszał o nim w 1995 r., gdy władze lokalne Terytoriów Północnych, jednego ze stanów Australii, na krótko wprowadziły prawo zezwalające lekarzom na dokonanie eutanazji w szczególnych warunkach. Nitschke, wówczas internista w szpitalu w Darwin, początkowo niespecjalnie interesował się nową legislacją, ale gdy pierwszy pacjent, chory na raka prostaty w zaawansowanym stadium, zwrócił się do niego o pełnienie funkcji lekarza prowadzącego i przygotowanie gruntu pod jego eutanazję, nie odmówił. Przygotował nawet w tym celu prymitywną, choć później uznaną za pierwszą w historii,

bójtwa – jak nazywa eutanazję osób, które nie cierpią na śmiertelne choroby, ale np. nie chcą starości w kompletnym zniechęceniu. Wydał też książkę „The Peaceful Pill Handbook” (w wolnym tłumaczeniu „Podręcznik spokojnego odchodzenia”), w której spisał dostępne fakty na ten temat. I tym samym przekreślił swoją szansę na kontynuowanie kariery medycznej w ojczyźnie.

Australijska Rada Lekarska zawiesiła jego licencję i odebrała mu prawo do wykonywania zawodu – m.in. za popularyzację metod samobójstwa. Nitschke pozwał ją do sądu, wygrał po półtorarocznej batalii i odzyskał licencję. Pod jednym warunkiem – że usunie swoje nazwisko z listy autorów podręcznika wydawanego przez Exit International. Internista odmówił, licencję medyczną spalił w geście protestu i wyjechał z Australii do Holandii. Rada nie dała jednak za wygraną. Podręcznik dostał

W wielu krajach nie pozwala się więźniom używać podręczników do arabskiego i języka migowego – to pokłosie strachu przed terroryzmem.

maszynę do eutanazji, czyli aparat ze śmiertelnością kroplówką podłączony do laptopa. Cyrkulację płynu odblokowywało wciśnięcie odpowiedniego przycisku na klawiaturze. Dzięki temu eutanazji na sobie samym dokonywał pacjent, a nie prowadzący go lekarz.

Od tego momentu Nitschke stał się jednym z wiodących na świecie aktywistów tzw. prawa do śmierci, czyli rozwiązań prawnych, technologicznych i medycznych popularyzujących możliwość pozbawienia siebie życia we wcześniej ustalonym momencie, na konkretnych warunkach. Założył organizację o nazwie Exit International, mającą na celu promowanie wiedzy o metodach racjonalnego samo-

status publikacji zakazanej. Jest pierwszą w ostatnich 50 latach książką, której posiadanie i dystrybucja na terenie kraju są nielegalne, grozi za nie kara grzywny, a w przypadku recydywy – więzienia.

I choć prawo do śmierci czy eutanazja to bez wątpienia tematy wzbudzające kontrowersje, tak drakońskich środków nie przedsięwzięto nawet wobec publikacji dotyczących ustrojów totalitarnych. Przykład z Australii pokazuje, że rządy na świecie wracają do znanych z poprzednich stuleci praktyk tworzenia indeksów książek zakazanych. Bo słowo pisane wciąż ma potężną moc sprawczą w społeczeństwie.



W Stanach Zjednoczonych cenzurowanie i ograniczanie dostępu do książek ma długą i bogatą tradycję mimo utożsamiania tego kraju z szerokimi prawami obywatelskimi. Te akurat pod wieloma względami, również czytelniczymi, nie dotyczą więźniów. System penitencjarny w USA jest zresztą jednym z największych problemów tamtejszego społeczeństwa i ogromnym wyzwaniem dla każdej władzy. Kraj ma najwyższy na świecie odsetek swojej populacji za kratami – łącznie to ponad 2,1 mln obywateli lub 726 osób na każde 100 tys. mieszkańców. Jeszcze bardziej szokujące są te liczby w perspektywie globalnej – 22% wszystkich więźniów w ogóle to obywatele Stanów Zjednoczonych.

Bardzo wielu z nich ma ograniczone prawa obywatelskie, i to wcale nie ze względu na charakter i surowość wyroku. Za tymi ograniczeniami stoją najczęściej władze stanowe, kontrolujące dużą część zakładów karnych. To one zarządzają zasobami penitencjarnymi – w tym więziennymi bibliotekami.

I tak władze stanu Kansas zakazały udostępniania osadzonym kopii „The Bluest Eye” („Najbardziej niebieskie oko”, książka nieprzetłumaczona dotychczas na język polski). Decyzja ta może nas dziwić, bo to pierwsza pozycja w dorobku Toni Morrison – laureatki literackiego Nobla i Nagrody Pulitzera. Morrison, jedna z najbardziej znanych czarnoskórych



Wybitna nigeryjska pisarka nie może w ojczyźnie propagować powieści dokumentującej brutalną wojnę domową z początku lat 70.

pisarek, poruszała w twórczości przede wszystkim tematy segregacji rasowej, skutków niewolnictwa i wykluczenia czarnych obywateli USA ze społeczeństwa. Dziś uważana jest za symbol walki o ich prawa publiczne i przywoływana jak Ameryka długa i szeroka w czasie przypadającego na luty tzw. Miesiąca Czarnoskórej Historii.

W więzieniach w Kansas nie można czytać „The Bluest Eye” – książki o czarnoskórej dziewczynce dorastającej w Ohio w czasach po wielkim kryzysie lat 1929-1933. Bohaterka nie tylko jest prześladowana za kolor skóry, ale też molestowana i wreszcie zgwałcona przez ojca. Odpowiedzialni za system penitencjarny urzędnicy uznali, że to niewłaściwe tematy dla osób przechodzących resocjalizację. Nieoficjalnie jeden z nich opowiedział reporterom publicznego radia NPR, że udostępnienie takich książek osadzonym może ich radykalizować, doprowadzić do rozruchów lub nawet pobudzić niewłaściwe instynkty u osób odsiadujących wyroki za przestępstwa seksualne. Nie wspominał przy tym nic o równości wobec prawa, swobodach obywatelskich, walce z wykluczeniem i rasizmem.

Najciekawszy jednak w kontekście cenzurowania książek w więzieniach w Kansas jest inny szczegół. W tamtejszych bibliotekach ogólnodostępne są egzemplarze „Mein Kampf” Adolfa Hitlera.

„The Bluest Eye” jest także regularnie wyrzucana z list lektur w amerykańskich szkołach podstawowych i średnich. Tu pada inny argument: zbyt drastyczna, niewłaściwa dla nastolatków. Podobnie jak „The Hate U Give” („Nienawiść, którą dajesz”) – powieść dla młodzieży o segregacji rasowej w dzisiejszych Stanach Zjednoczonych (na jej podstawie powstał też film). Amerykańskie szkoły nie chcą u siebie również literatury o mniejszościach seksualnych. Według statystyk tamtejszego Narodowego Stowarzyszenia Bibliotekarskiego od 2014 r. ponad połowa książek, wobec których rodzice lub

szkoły składają prośby o wykluczenie z bibliotek, dotyczy tematów homoseksualizmu i transpłciowości. Warto podkreślić w tym miejscu, że amerykańska oświata jest mocno rozproszona, a placówki często same decydują o kształcie list lektur, ba, nawet całych programów nauczania. Łatwo więc się domyślić, że

W więzieniach w Kansas nie można czytać książki o czarnoskórej dziewczynce dorastającej po kryzysie lat 1929-1933, za to dostępna jest „Mein Kampf” Hitlera.

wiele z tych skarg materializuje się później w wykluczeniach książek ze szkolnego obiegu.

Problem zakazywania powieści o trudnych tematach obyczajowych nie dotyczy tylko świata anglosaskiego. Na wszystkich kontynentach blokuje się dystrybucję pozycji uznawanych arbitralnie za lubieżne lub niemoralne – a które w innych rejonach globu należą do kanonu literatury. Przykładem jest chociażby „Lolita” Vladimira Nabokova, zakazana w Argentynie z powodu erotyzmu. „Killing Commendatore” („Zabić Komandora”), jedna z najnowszych powieści

Harukiego Murakamiego, została poddana ograniczeniom w Hongkongu, bo uznano, że może namawiać do popełnienia morderstwa.

Nierzadko zakazy dotyczą najbardziej znanych pisarzy danej narodu. Chimamanda Ngozi Adichie (na zdjęciu), wybitna nigeryjska pisarka, nie może w ojczyźnie propagować „Half of A Yellow Sun” („Połówka żółtego słońca”), powieści dokumentującej brutalną nigeryjską wojnę domową z początku lat 70. Z tych samych powodów bardzo długo w Chile niedostępny był „Dom duchów” Isabel Allende, powieściopisarki i krewnej zmarłego w czasie zamachu stanu z 1973 r. lewicowego prezydenta kraju Salvadora Allende. Książka opowiadająca o losach narodu w okresie przewrotu i niesamowicie represyjnej prawicowej dyktatury została wyrzucona na margines społeczny również przez demokratycznie wybranych liberałów. Bali się, że wspomnianie reżimu wstrzyma proces społecznej rekuncji.

Powieści, które eliminuje się z rynku wydawniczego i bibliotek, bo zagrażają nie do końca demokratycznej władzy, można znaleźć prawie w każdym zakątku świata. Zjednoczone Emiraty Arabskie obawiają się rewolucyjnego potencjału „Folwarku zwierzęcego” George’a Orwella, a Kreml – „Historii Rosji” Borisa Akunina. Osobną kategorię na listach książek zakazanych stanowią

pozycje wykluczone z powodów religijnych. „Szatańskie wersety” Salmana Rushdiego są całkowicie zakazane w Tanzanii, a w wielu miejscach na terenach dawnego kalifatu ISIS za posiadanie chrześcijańskiej Biblii grozi kara śmierci. W coraz większej liczbie krajów nie pozwala się więźniom używać podręczników do arabskiego i języka migowego – to z kolei pokłosie globalnego strachu przed terroryzmem. Jak zatem widać, pogłoski o śmierci słowa pisanego i utracie przez nie wpływu na świat są naprawdę mocno przesadzone. ■

Piotr Bojarski

Arkady Fiedler na Madagaskarze

Nęci go przyroda i puszcze tropikalne.
No i ludność, a zwłaszcza kobiety...

Polska kolonia, czyli na Madagaskar

W 1936 r. Fiedler jest już celebrytą. O jego przygodach rozpisuje się z pasją ogólnopolska prasa. W Wigilię 1936 r. pisarz opowiada na łamach „Kuriera Polskiego” o innym Bożym Narodzeniu, spędzonym poza krajem, w amazońskiej puszczy. (...)

W styczniu 1937 r. w „Wiciach Wielkopolskich” swoje spotkanie z Fiedlerem opisuje Marian Turwid. Jego żona spędziła kilka lat na Madagaskarze, więc pisarz odwiedza Turwidów, by dowiedzieć się czegoś o wyspie i jej mieszkańcach.

„Zjawił się. Ciasna przestrzeń naszego mieszkania, zdawało się, skurczyła się jeszcze bardziej – relacjonował na łamach „Wici” Turwid. Bo gość nasz wniósł z sobą jakąś – szerokość, rozmach jakiś nie na miarę, pożał się Boże, standardowego człowieka i jego nowoczesnych klitek. (...) Nie sposób wyobrazić sobie Fiedlera w takim czy innym mundurku, maszerującego grzecznie, w szeregu, równym kroczkiem ku jakiemuś wspólnemu szczęściu. Od razu widać: to jest człowiek, który maszeruje sam (...)”.

Zamorskie wyprawy wciągają go jak ruchome piaski. Ledwie wraca z rejsu na „Batorym”, a już szykuje się do nowej podróży – tym razem na celownik bierze Tahiti. Los chce jednak inaczej – dostaje propozycję zbadania Madagaskaru. (...)

Wyspa na Oceanie Indyjskim, u wschodnich wybrzeży Afryki, należy do Francji, ale polska Liga Morska i Kolonialna, licząca w końcu lat 30. ubiegłego wieku niemal milion członków organizacja wspierana przez sanację, z gen. Gustawem Orlicz-Dreszerem – przyjacielem Fiedlera – na czele, właśnie tam rości sobie prawa do zapewnienia Polsce zamorskiej kolonii. Podejmuje nawet nieformalne rozmowy z Francuzami na temat polskiej kolonizacji Madagaskaru.

Sanacyjnym władzom Polski już od końca lat 20. ubiegłego wieku marzy się zamorska kolonia, która z jednej strony potwierdziłaby mocarstwowość statusu Rzeczypospolitej, a z drugiej –

uwolniła kraj macierzysty od przeludnienia wsi (także od elementu żydowskiego). Już w 1929 r. Liga Morska i Rzeczna, poprzedniczka Ligi Morskiej, pod hasłem „Żądamy kolonii dla Polski!” podejmuje próbę rozkręcenia akcji kolonizacyjnej w Angoli. Gdy polska prasa trąbi, że Polska lada moment odkupi ten afrykański kraj od Portugalii, stanowcza odmowa Portugalczyków w 1930 r. szybko ucina te mrzonki.

Rozochoceni zwolennicy polskich kolonii nie porzucają jednak ambicji. Paradują na większych patriotycznych imprezach w egzotycznych, tropikalnych mundurach i korkowych hełmach, niosąc transparenty z przekazem: „Siła Polski leży w koloniach”. Tyle że najpierw trzeba je zdobyć.

Podczas pobytu na Madagaskarze Fiedler żyje nie tylko kwestią kolonizacji wyspy.

Kolejne roszczenia, a raczej rojeżenia Ligi Morskiej i Kolonialnej dotyczą Kamerunu, potem Liberii, wreszcie rejonów Brazylii zamieszkałych przez tamtejszą Polonię. I znowu fiasko. W 1936 r. na cel idzie więc Madagaskar. Sęk w tym, że francuska dyplomacja nie odpowiada na polskie awanse entuzjastycznie. W Paryżu dominuje oziębłość i dystans.

Propozycję rekonesansu na Madagaskarze składa Fiedlerowi Bogusław Miedziński, redaktor naczelny „Gazety Polskiej”, czołowego organu sanacji. Tłumaczy podróżnikowi, że Polska jest zainteresowana możliwościami kolonizacyjnymi słabo zaludnionej wyspy. Dlatego wysłała tam Komisję Studiów z mjr. Mieczysławem Lepeckim na czele. Komisja ma zbadać, czy na Madagaskarze można by osiedlić emigrantów, zwłaszcza żydowskich.

Polskie władze planują bowiem przesiedlić tam tych spośród

ok. 3 mln obywateli wyznania mojżeszowego, którzy nie zechcą wyemigrować do Palestyny. Nie bez znaczenia jest też przeświadczenie kół rządzących o „przeludnieniu” Polski – przyszła kolonia na Madagaskarze ma dać pracę bezrolnym i bezrobotnym z kraju nad Wisłą.

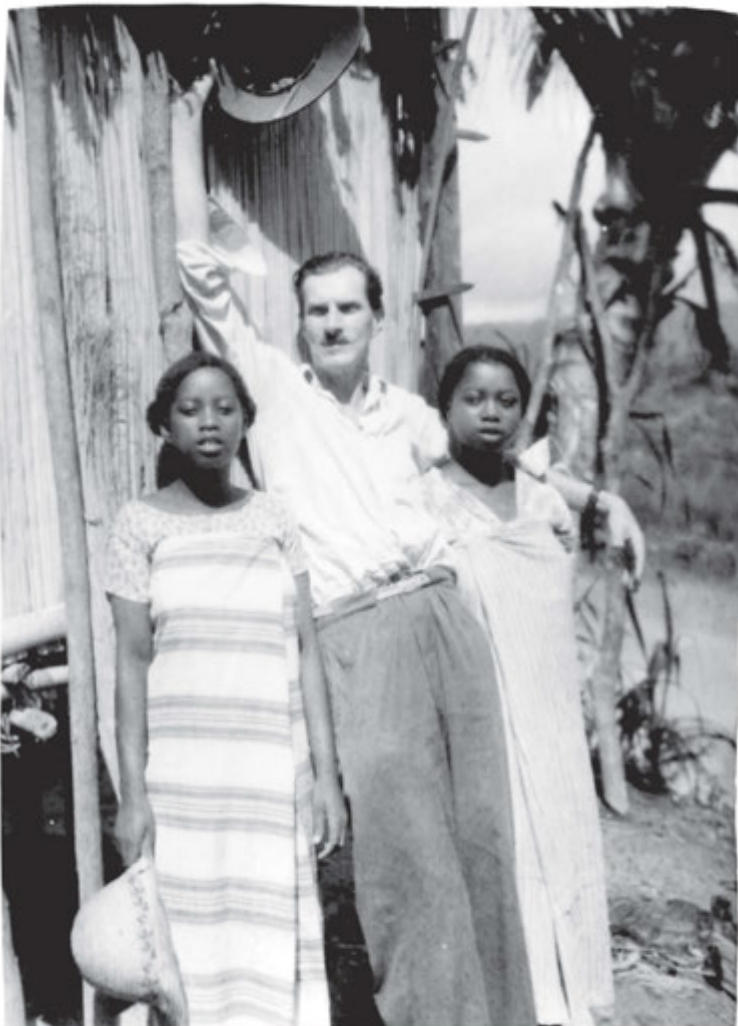
Lepecki – w ostatnich latach życia osobisty adiutant marszałka Piłsudskiego – jest też znany z autorstwa książek podróżniczych o Ameryce Południowej. Władze nie mają jednak nadmiernego zaufania do jego nadzwyczaj optymistycznych raportów. Dlatego Miedziński prosi Fiedlera, by ten – jako badacz przyrody, folkloru i „urody Malgaszek” – zgodził się pojechać razem (choć niezależnie) z trzyosobową Komisją Studiów i napisał równoległe własny, niezależny od ustaleń komisji raport.

– Po sukcesie „Ryb...”, a później także „Kanady pachnącej żywicą”, ojciec miał w kraju status eksperta – zwraca uwagę Arkady Radosław Fiedler.

Pisarz zgadza się, tym bardziej że część niezbędnych wydatków oferuje wziąć na siebie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Zastrzega sobie swobodę działania na wyspie i „niezależność w ocenie widoków emigracyjnych”, obawia się jednak reakcji Lepeckiego. „Lecz przede wszystkim nęcił mnie Madagaskar (...) swą tajemniczością i także urokiem swych mieszkańców (...)”, wyjaśniał po latach. Nęci go przyroda, „drapieżne krokodyły” żyjące obok „potulnych lemurów” i puszcze tropikalne, podobne do amazońskich. „No i ludność, a zwłaszcza kobiety, opiewane tak gorąco przez francuskich podróżników. Czym kuszące Tahiti było na Pacyfiku, tym Madagaskar na Oceanie Indyjskim”, pisze we wspomnieniach.

Szczerze przyznaje, że w tym okresie był to dla niego argument nie-

37 Madagaskar



Arkady Fiedler z malgaskimi żonami Benaczehiną i Velomody. Madagaskar 1937 r.

zwykle ważki. Żar jego relacji z Andrą – „miłą, ale chwiejną przyjaciółką” – wygaś, znalazł się w „ślepej uliczce”. Z kilku zdań, jakie napisze później na ten temat, można między wierszami wywnioskować, że sporo młodsza, atrakcyjna dziewczyna nie była mu wierna („wzruszająco oddana tylko tak długo, jak byliśmy blisko siebie”). Wpędzała go w ciągły niepokój.

„Dotkliwie odczuwałem brak kobiecego ciepła”, wyzna po latach. Fiedler spodziewa się, że na Madagaskarze będzie mógł „napawać się pełną duszą – wybaczenie mi asceci i abnegacji – kobiecością Malgaszek”.

„Jeśli Madagaskar miał stać się Wielką Przygodą, to Malgaszki musiały w tym odgrywać niepomiarne rolę”, podsumował po latach. Mimo poważnego wieku (pisał wszak te słowa jako 80-latek) nie krył się z tym, co było prawdziwą podniętą

do tego wyjazdu. W jego postawie znalazło zapewne odbicie ówczesne przekonanie świata białych Europejczyków, że kolonie są dla nich rezerwuarem wszelakich, również erotycznych, doznań.

Przyznaje to pośrednio Arkady Radosław Fiedler, syn pisarza:

– Ojciec bez dwóch zdań był zafascynowany egzotycznymi kobietami. Czytał zresztą wiele francuskich książek na temat niezwykłości Malgaszek.

Szykując się do wyprawy i załatwiając wszelkie formalności w Warszawie, Fiedler spędza popołudnia w Ziemiańskiej – wówczas mekce polskiego świata literackiego. Pije tam kawę z Ksawerym Pruszyńskim, ma też okazję porozmawiać z Tadeuszem Boyem-Zeleńskim, pisarzem, krytykiem i satyrykiem. Poznaje także Wiktora Grosza, wtedy tłumacza, któ-

ry w Polsce Ludowej zostanie generałem. Ta znajomość – podobnie jak przyjaźń z Belą Gelbard – okaże się po wojnie niezwykle cenna.

Czy gra jest warta świeczki?

Na Madagaskar wyrusza wiosną 1937 r. Do Afryki podróżuje przez rumuńską Konstancję, Hajfę i Suez. (...) Na wyspę dociera na przełomie maja i czerwca. Fiedler początkowo towarzyszy komisji w pięciu wyprawach, jakie dwoma samochodami wykonuje ekipa Lepeckiego w głąb Madagaskaru. Pisarz wspomina te wyprawy krótko, w tonie lekko prześmiewczym: „Pędziliśmy na łeb na szyję, by móc poszczycić się wielu tysiącami przemierzonych kilometrów (ambicja wtedy jeszcze dość modna) i potem szybko wracaliśmy do Tananariwy, stolicy kolonii. Szybko wracaliśmy, bo Lepecki nie był zbyt pewny przychylności francuskich władz, a chciał trzymać rękę na pulsie ich nastrojów”.

Kontrola jest potrzebna, bo Francuzi spoglądają na polskie aspiracje chłodno, z udawaną tylko przychylnością. Lepecki dochodzi do wniosku, że najlepszym miejscem do ewentualnej kolonizacji wyspy jest północny rejon Ankaiziny, w dolinie rzeki Maeverano.

Jak sądzi, można tam osiedlić 50-70 tys. Europejczyków (rolników, drobnych przemysłowców i pracowników branży rolniczej). Te założenia opisze w książce „Madagaskar”, która ukaże się w 1938 r.

Fiedler nazwie po latach te rewelacje mianem „potwornej przesady”, a także „niepoczytalną fantazją, naiwną mrzonką”, a nawet „utopią”. Sam zostanie na Madagaskarze o wiele dłużej – wróci do kraju dopiero w październiku 1938 r., z przekonaniem, że wizja Lepeckiego jest do cna nierealna. Tym bardziej że nastroje na wyspie – i we Francji – były zdecydowanie przeciwne planom emigracji polskich Żydów.

Na miejscu miewa niebezpieczne przygody. Jeśli wierzyć jego relacji, w jednej z wiosek wraz ze swoim towarzyszem Bogdanem Kreczmem (który przyjechał na Madagaskar wcześniej) dostają się pod osąd miejscowej ludności, która dawno nie widziała białych. Tubylcy chcą zmusić Polaków do zażycia trucizny. „Gdybyśmy nie przeżyli trucizny, ▶

► wina byłaby udowodniona. No, ale jakoś wyszliśmy cało, truciznę podano kogutowi, który zdechł, i w którym pewnie siedział zły duch”, opowiadał wiele lat później z przymrużeniem oka polskiej prasie Fiedler.

Do Polski wraca z gotowym rękopisem książki „Jutro na Madagaskar”. Tytuł brzmi przewrotnie, zważywszy, że w swojej książce Fiedler polemizuje z rojeniami Lepeckiego o masowej polskiej emigracji na wyspę. „Obwarowałem ją tytułowi zastrzeżeniami, rozbijały polot Lepeckiego ująłem w takie wędzidła, napomykałem o tak olbrzymich a koniecznych nakładach melioracyjno-inwestycyjnych, zanim postano by tam pierwszego osadnika, że okrutnie rozczarowałem naszych zatwardziały utopistów”, podsumował we wspomnieniach, pisanych już w innych realiach, w PRL z lat 70. (...)

W połowie listopada 1938 r. kończy raport dla MSZ. W styczniu 1939 r. ministerstwo zaprasza go na spotkanie z kilkunastoma urzędnikami i specjalistami od spraw emigracji. Fiedler czyta im dość krytyczne opracowanie. Jego główne tezy, ujęte na 40 stronach, znalazłem w osobistych papierach pisarza.

„Tak więc należy stwierdzić bez obstrukcji, że Francuzi nie chcą na Madagaskarze ani imigracji żydowskiej, ani w ogóle innej imigracji z Polski, zbyt licznej, więc politycznie niebezpiecznej”, stawia jasno sprawę

W postawie Fiedlera znalazło odbicie przekonanie białych Europejczyków, że kolonie są dla nich rezerwuarem wszelkich doznań, również erotycznych.

Fiedler. Nie wyklucza możliwości polskiego osadnictwa na Madagaskarze, ale jego ewentualną skalę określa znacznie skromniej. Zdaniem pisarza na początek możliwa byłaby akcja osiedleńcza dla 1,5 tys. „rdzennie polskich rodzin chłopskich (...) na razie na próbę” w dystrykcie Bealanana – tylko taką grupę imigrantów mogłyby bowiem zaakceptować władze francuskie. „Nasuwa się pytanie, czy w ogóle dla nas gra warta świeczki i czy tysiąc (do tysiąca



pięset) rodzin polskich, rzuconych na Madagaskar, nie będzie dla nas pozycją straconą. Otóż stanowczo i z całym naciskiem twierdzę, że nie będzie pozycją straconą, lecz wybitnie dodatnią”, przekonuje. (...)

O, urocza Kintano, o wspaniała Kintano!

Podczas pobytu na Madagaskarze Fiedler żyje nie tylko – a może nie przede wszystkim – kwestią kolonizacji wyspy. W pełni wykorzystuje daną mu przez los okazję do poznania Madagaskaru, jego przyrody i mieszkańców. W tym urokliwych, zmysłowych Malgaszek, co przysporzy mu potem kłopotów.

„Był to intrygujący szmat powierzchni ziemi jakby nie z naszego świata rodzony, jakby nietkwiący w dzisiejszej epoce, i w istocie zagadkowe tu było wszystko: roślinność, zwierzęta, ludzie, zamierzcha historia ziemi. Jeszcze ciągle znajdowano na wyspie jaja-giganty epiornisa, wymarłego niedawno strusia-olbrzymia, który przeszedł do legend Arabów jako straszliwy ptak Rok”, opisał madagaskarskie przeżycia po latach. „Wpadłem tu w dziwacz-

Arkady i Kintana.
Madagaskar 1937/1938.

niejszą egzotykę, niż istniała w Amazonii, i wszystko było jakieś romantyczniejsze, szczególnie ludzie urzekali swym wdziękiem i dorodnością; byli frapujący i fantastyczni. Kobiety nie zawiodły. Francuzi mieli rację. Malgaski były wyjątkowo powabne. Ich zaborcza kobiecość, obok której nie można było przejść obojętnie, stanowiła jakiś ważny, wręcz kluczowy element w madagaskarskiej rzeczywistości. Była zmysłowym spoiwem między przybyłym a niedocieczoną wyspą”.

Na dalekie południe wyspy wybiera się z „uroczą Kintaną”. W okolicach Fortu Dauphin zaglądają razem w drapieżne kielichy owadożernych *nepenthes*.

Ale nie egzotyczne kwiaty wzbudzają największy zachwyt Fiedlera. Na zaborcę zakochuje się w 17-letniej malgaskiej towarzyszkę. „Przez cały rok trwała nasza płomienna przyjaźń z Kintaną”, napisze niemal 40 lat później, jako żonaty mężczyzna po osiemdziesiątce. „Przez cały czas tonąłem w zachwycie, aż do ostatniej chwili mego pobytu na Madagaskarze pozostał mój podziw, moje uwielbienie dla dziewczyny. O, urocza Kintano, o wspaniała Kintano!”.

Dziewczyna tak mocno zapadnie w pamięć pisarza, że kiedy wróci na Madagaskar w 1965 r., odnajdzie Kintanę w jej domu w Tananariwie: „Powodziło się jej dobrze, a 45-letnia dama była wciąż pełna wdzięku i urody, tylko że teraz dojrzałej niż ongiś. Była od lat mężatką – wyszła za malgaskiego lekarza czy weterynarza – doczekała się dwojga dzieci, córki i syna. Z dawnych lat, jak się okazało, zachowała dla mnie wiele ciepła i szacunku”, wspominał Fiedler. (...)

Ile Fiedler miał Murzynek

„Radosny ptak drongo”, drukowany w 1946 r. w odcinkach w Polsce w tygodniku „Przekrój” (za sprawą Jerzego Borejszy, szefa wydawnictwa Czytelnik), stanie się po wojnie okazją do ataku na autora. Pójdzie o jego „swawolne perypetie” – jak je określi sam Fiedler – z dwiema Malgaskami, siostrami Benaczehiną i Velomody.

Chodzi o wielomiesięczny pobyt w 1938 r. w wiosce Ambinanitelo, należącej do plemienia Betsimisaraków. Fiedler mieszka w niej z Bogdanem Kreczmerem, nocują w chatkach krytych liśćmi palmowymi. Biali zdobywają w końcu zaufanie miejscowych – na tyle, że zgodnie z obowiązującymi tam obyczajami starszyzna ofiarowuje Fiedlerowi „w dowód trwałej i szczerzej przyjaźni” żonę. Zostaje nią wnuczka starego Dżinarivelo o imieniu Benaczehina, która już wcześniej wpadła podróżnikowi w oko.

Wieczorem Benaczehina przychodzi z rodziną do chaty Fiedlera.

A potem zostaje u niego na noc.

„Podchodzę do dziewczyny i kładę ręce na jej obnażonych ramionach. Skórę ma chłodną i gładką jak jedwab, dwie właściwości stanowiące nieodparty urok i tajemnicę rasy. (...) Włosy jej pachną świeżym olejem kokosowym. Wieczorem kąpała je, by się przypodobać. Podniecający zapach mile łaskocze moje powonienie i stwierdzam z uznaniem:

– Lubię zapach twoich włosów...

To ją uspokaja. Jest wdzięczna za pochwałę i uśmiecha się. Więcej nawet: chwyta moją dłoń i kładzie ją na swej lewej piersi. Prosty, naiwny gest, mający mnie przekonać o jej oddaniu. A gdy ją nie dość tęgo ujmuję, przyciska moją rękę kurczowo, z całej mocy, żebym jak najdobitniej czuł jej ciało”.

Rano – niespodzianka. Fiedler budzi się po niezapomnianej nocy sam. Benaczehina ucieka bez pożegnania.

O zachodzie słońca skonsternowani członkowie starszyny dają podróżnikowi nową żonę, młodszą siostrę Benaczehiny. „Velomody nie jest tak świetna jak jej siostra i chodzi z otwartymi wciąż ustami. Ale nastąpiło dla mnie bezrybie: niech będzie Velomody”, opisuje Fiedler.

Kolejna noc przynosi Fiedlerowi nową niespodziankę, tym razem radosną. Odkrywa „piękny, polny kwiat, obok którego ludzie przechodzili obojętnie, nie domyślając się jego wartości”.

Finał kolejnej upojonej nocy jest jednak ten sam: Velomody chce odejść. Nie zatrzymuje jej nawet obiecany przez kochanka materiał na lambę – tradycyjny strój madagaskarski, złożony z pasa wielobarwnej tkaniny. W końcu znika mu z oczu. Do podróżnika wybiera się za to starszyzna plemienia. Miejscowi mają gniewne miny, mówią coś o znieważeniu swoich kobiet. Sedno oburzenia: Fiedler zabezpieczył się za pomocą prezerwatyw. Tymczasem obie Malgaski chciały mieć z nim potomstwo.

Ostatecznie przy Fiedlerze pozostaje Velomody. Ale jej marzenie o dziecku z białym nie spełnia się. Idylla w malgaskiej chacie w Ambinanitelo szybko dobiega końca, Fiedler wraca do Polski. (...)

Fragmenty książki
Piotra Bojarskiego
Fiedler. Głód świata,
Wydawnictwo Poznańskie,
Poznań 2020



1% TWÓJ 1% DAJE SIŁĘ I NADZIEJĘ
NIEULECZALNIE
CHORYM DZIECIOM
KRS: 0000168783

Fundacja Dziecięca Fantazja

Mateusz Mazzini

Homero Gómez często był nazywany przez znajomych „panem od motyli”. 50-latek, z wykształcenia inżynier, z zawodu samorządowiec, a z zamiłowania działacz na rzecz ochrony naturalnych siedlisk danaida wędrownego, monarcha, w Meksyku, na pierwszy rzut oka nie wyglądał jak ktoś, kto mógłby zagrozić interesom wielkich syndykatów kryminalnych. Wprawdzie był mężczyzną wysokim, postawnym, ale na zdjęciach prawie zawsze się uśmiechał, a współpracownicy z urzędu i mieszkańcy miasteczka El Rosario w stanie Michoacán wspominają go jako niezwykle ciepłego, serdecznego, unikającego konfliktów.

Konflikty i przemoc nie unikały natomiast jego samego. Jako aktywista zajmujący się ochroną olbrzymich połaci meksykańskich lasów – niezamieszanych i państwowych, a więc idealnie nadających się do prowadzenia działalności przestępczej – prędzej czy później musiał wejść w drogę kryminalistom. Zwłaszcza że walczył o poszerzenie terenu rezerwatu biosfery monarcha. Ustanowiony w 1980 r. i skupiający 56 tys. ha dziewiczego lasu w centralnej części Meksyku rezerwat jest największym na planecie siedliskiem tych motyli, wpisanym nawet na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Gómez, będący jednocześnie zarządcą rezerwatu, chciał go powiększyć o kolejne hektary – również z powodu ekspansji turystycznej w regionie, stanowiącej zagrożenie dla motyli i innych rzadkich gatunków.

Ze swoim przeciwnikiem w realizacji tej misji nie miał jednak za bardzo szans. Na terenie stanu Michoacán niezwykle aktywny jest kartel Sinaloa, największa i najbrutalniejsza organizacja kryminalna w Meksyku, a prawdopodobnie nawet na całej półkuli zachodniej. Obecna w 17 z 31 stanów kraju, działa jak ogromna korporacja międzynarodowa. Tak potężna, że nawet sama nie wykonuje wyroków. Do zabójstw zdrajców albo donosicieli wynajmuje inne gangi. Już dawno nie ogranicza się też do handlu narkotykami. Zarabia na wszystkim, na czym się da – od przeprowadzania ludzi przez granicę z USA, przez przemyt dóbr luksusowych,

Ekologia z narażeniem życia

Coraz częściej aktywizm na rzecz środowiska naturalnego niesie ryzyko śmierci



Ciało Homera Gómeza odnaleziono po przeszło dwóch tygodniach. Wciąż nie wiadomo, kto zabił aktywistę.

wych, aż po haracze od właścicieli hoteli na obu wybrzeżach Meksyku i nielegalny wyrąb drewna.

To właśnie z wycinką drzew walczył Homero Gómez. Dziś, niestety, trzeba o nim pisać w czasie przeszłym. Ostatni raz widziano go żywego 13 stycznia na spotkaniu z innymi samorządowcami. Choć rodzina zgłosiła jego zaginięcie już 24 godziny później, a w poszukiwaniu zaangażowało się ponad 200 ochotników, Gómez nie wrócił do domu żywy. Ciało odnaleziono ponad dwa tygodnie później na terenie innego rezerwatu przyrody, w Ocampo. Chwilę potem władze meksykańskich parków krajobrazowych wydały oficjalny komunikat stwierdzający, że jego śmierć nie miała nic wspólnego z ekoaktywizmem – według nich Gómez po prostu potknął się i utonął. Dopiero druga autopsja ujawniła ślady uderzenia w głowę. Do dziś nie ustalono, kto i dlaczego zabił aktywistę.

Homero Gómez to jedno z ostatnich nazwisk na długiej liście ofiar walki o ochronę środowiska naturalnego. Według szokującego raportu przygotowanego przez Global Witness, organizację pozarządową monitorującą globalny aktywizm klimatyczny i ekologiczny, tylko w 2018 r. na całym świecie zabitych zostało 164 działaczy zajmujących się różnymi aspektami ochrony przyrody. To wprawdzie niewielki spadek w porównaniu z rekordowym pod tym względem rokiem 2017, kiedy życia pozbawionych zostało 201 osób, ale liczba ta wciąż przeraża. Zwłaszcza że w szerszej perspektywie potwierdza tendencję zwyżkową, bo jak pokazują wyniki badań przeprowadzonych przez zespół dr Nathalie Butt z australijskiego uniwersytetu stanowego w Queensland, w ciągu ostatnich 15 lat liczba zabójstw ekologów podwoiła się. Pomiedzy 2001 a 2017 r. zamordowano co

najmniej 1155 osób, niemal w każdym zakątku świata. Dla porównania – to niemal połowa ofiar śmiertelnych w amerykańskich jednostkach w Afganistanie i Iraku (łącznie!) tym samym okresie.

Jak wynika z raportu Global Witness, najniebezpieczniejsze dla aktywistów są w ostatnim czasie Filipiny. Wyspiarski kraj, w którym rządzi Rodrigo Duterte, populistyczny strongman skłonny zabijać w imię realizacji swoich celów, stał się w 2018 r. grobem dla aż 30 działaczy na rzecz ochrony środowiska. Większość zginęła, walcząc o swoje tereny uprawne. Duterte jest bowiem wielkim zwolennikiem poszerzania uprawnień koncernów spożywczych i tworzenia na Filipinach ogromnych gospodarstw rolnych. Zarządzające nimi firmy nie chcą jednak płacić drobnym farmerom ani gospodarstwom ekologicznym za ziemię, próbują zamiast tego wyrzucać ich z tych terenów. Opłacają więc lokalnych watażków, używających w negocjacjach wyłącznie argumentu siły. Często kończy się to w najgorszy możliwy sposób, czyli właśnie zabójstwem.

Znacznie bardziej złożoną strukturę mają morderstwa aktywistów w drugim kraju kojarzonym z przemocą wobec ekologów, czyli Brazylii. Od kąd w styczniu zeszłego roku władzę w tym kraju przejął inny prawicowy radykał, Jair Bolsonaro, największe państwo Ameryki Południowej regularnie łąduje w czołówkach światowych serwisów informacyjnych z powodu kolejnych doniesień o zabójstwach, głównie w dżungli amazońskiej. Choć w raporcie Global Witness za 2018 r. Brazylia zajęła dopiero czwarte miejsce (20 przypadków, za Kolumbią i Indiami), akurat w tym wypadku statystyka raczej zaciemnia obraz. Zdecydowana większość aktów przemocy wobec ekologów – nie tylko morderstw, ale i pobic czy dewastacji mienia – w ostatnim czasie nie jest tam w ogóle rejestrowana. Przynajmniej dlatego, że policja, nawet jeśli obecna w tak odległych częściach kraju, sama bywa zastraszana, korumpowana lub zwyczajnie nie ma zasobów, ludzkich ani finansowych, by prowadzić śledztwa w tych sprawach.

Przyczynił się do tego sam Bolsonaro. Najpierw o 98% obciął budżety

terenowych delegatur ministerstwa środowiska, w praktyce eliminując obecność państwa w dżungli. Następnie jeszcze bardziej otworzył Amazonię dla koncernów wydobywczych i funkcjonujących w przemyśle drzewnym. Koncesje popłynęły do biznesu szerokim strumieniem, ku przerażeniu ekologów, zarówno tych lokalnych, jak i działających w ramach organizacji międzynarodowych, takich jak

Według szokującego raportu Global Witness tylko w 2018 r. na świecie zabito 164 działaczy zajmujących się ochroną przyrody.

Greenpeace i WWF. Dlatego w Brazylii za śmierć ekologów dużo częściej odpowiedzialne są bezpośrednio wielkie korporacje, zwłaszcza wydobywcze i paliwowe. W porównaniu z Meksykiem, Kolumbią i innymi państwami regionu rzadziej giną oni w walkach z kartelami narkotykowymi czy przemytnikami. Swoje dokładają poza tym korporacyjni hodowcy wołowiny, jednego z głównych towarów eksportowych Brazylii (odpowiada za niemal 5% tamtejszego PKB). Ci z kolei obrali za cel szczególnie obrońców praw rdzennej ludności do jej ziemi. Wypalając lasy tropikalne, często niszczą domy Indian i pastwiska, czasem doprowadzając do śmierci samych aktywistów. Te przypadki nie trafiają do rejestru zabójstw ekologów, bo są klasyfikowane jako skutki pożarów, czyli katastrof naturalnych.

Globalnie rozkład przyczyn morderstw aktywistów ekologicznych bardziej przypomina sytuację w Brazylii niż na Filipinach. Według Global Witness koncerny wydobywcze odpowiadają za 43% ofiar śmiertelnych, korporacje rolnicze i spożywcze – za 21%. Kolejne miejsca zajmują zabójstwa związane z budową zapór i hydroelektrowni (17%) oraz nielegalną wycinką drzew (13%). Statystyki te pokazują jedną, bardzo ważną prawidłowość: zdecydowana większość morderstw ekologów i działaczy na rzecz środowiska jest związana z walką o zasoby naturalne. Obrońcy postrzegają te obszary jako ekosystemy, siedliska zagrożonych gatunków, dziedzictwo całej ludzkości. Mordercy lub ich sponsorzy widzą przede wszystkim szansę na relatywnie łatwy i szybki zarobek.

Trudno ocenić, które dane dotyczące przemocy wobec ekoaktywi-

stów są najbardziej przerażające. Czy te o rosnącej liczbie zabójstw, czy informujące o tym, że zdecydowana większość z nich niemal natychmiast zamienia się w bezimienne statystyki w policyjnych rejestrach. Tylko 10% spraw sądowych kończy się wyrokiem skazującym, yliczka w swoich badaniach dr Nathalie Butt. To ponad cztery razy mniej, niż wynosi globalna średnia w sprawach o zabójstwo.

Innymi słowy, rodziny tylko co 10. zabitego ekologa doczekają się jakiegokolwiek sprawiedliwości, choć i tak słowo to wydaje się użyte na wyrost, skoro te rzadkie wyroki skazujące z reguły ograniczają się do kar finansowych lub minimalnej odsiadki.

Walka o środowisko naturalne staje się walką w dosłownym znaczeniu, coraz częściej o życie ludzi w nią zaangażowanych. Oni chronią naszą planetę. Problem w tym, że ich nie chroni już prawie nikt. ■



Wiesław Kot

Dekameron 2020

W tym podarowanym przez epidemię czasie sięgamy po artystyczne dziwadła, bziki, odpryski, ekstrawagancje i osobliwości

Epidemia? Wszystko już było! Na przykład w roku 1348 w okolicach Florencji. Jak w tej sytuacji odnalazło się dziesięcioro szlachetnie urodzonych mieszkańców miasta? Po pierwsze – prewencja. Wyjechali więc do pobliskiej winnicy, aby tam przecześć zarazę. A po drugie – zdecydowali się obrócić przymusowe wygnanie na własną korzyść. Każdy z tej dziesiątki co wieczór opowiadał jakieś zabawne zdarzenie dla rozrywki i ku nauce. A że wygnanie trwało 10 dni, zbierała się setka pysznych anegdot, które kipią rubaszością, miłością, sprytem i humorem. Tak przynajmniej rzecz przedstawił Giovanni Boccaccio, który sporządził ten zbiorek i zatytułował go „Dekameron” (1353). Tym samym nie tylko podarował ludzkości arcydzieło nowelistyki, nie tylko zaintonował pieśń na cześć życia, które triumfuje nad śmiercią, ale również podsunął nam pomysł na przeczekanie epidemii.

Mamy więcej czasu, siedzimy w domu – nie nudźmy się! Sięgnijmy po książki, obejrzyjmy filmy, znajdźmy chwilę dla teatrów radiowych, których nigdy byśmy nie odsłuchali, gdyby nie okazała, jaką stwarza wirus.

Skiroławki w Bangkoku

Sam sięgam w tym podarowanym przez epidemię czasie po artystyczne dziwadła, bziki, odpryski, ekstrawagancje i osobliwości. Niech wreszcie skończy im się kwarantanna na zakurzonej półce. Żeby pozostać w klimacie frywolnego i nieobyczajnego „Dekameronu”, na pierwszy ogień biorę pokątną literaturę erotyczną. Tyle że klasyczną.

Książeczka nosi tytuł „Emmanuelle”, jako autorka na okładce figuruje także Emmanuelle, nazwiskiem Arsan. A to sugeruje, że spisane tu figle wzięte są wprost z jej własnego życia. Co przydaje pikanterii. Poza tym format jest wygodny: książeczka mieści się w tylnej kieszeni dżinsów i w damskiej torebce. U nas do obrotu weszła z początkiem lat 90., a więc 30 lat po francuskim debiucie (1959), i od razu trafiła pod szyld „Erotyczny Biskupin”. Obok innych późniejszych klasyków, takich jak „Pamiętniki Fanny Hill”, ale też obok rodzimej

erotyki w tonacji *soft*, jak „Raz w roku w Skiroławkach” (1983) Zbigniewa Nienackiego. Jeśli któryś egzemplarz ocalał, to jest zaczytany do imentu – w chwili premiery książkę po prostu wykradano sobie z domu, a żeby pożyczyć, trzeba było się wpisać na listę oczekujących. Całkiem jak z pralką czy meblościanką w tamtej epoce. I to samozaparcie – żeby doczytać się „momentów”, trzeba było wpiersi przedrzeć przez sto stron druku! Te wspomnienia są jednak tak silne, że parę lat temu nadłożyłem sporo drogi, by się zjawić w mazurskim Jerzwałdzie (pierwowzór Skiroławek) i zapalić świeczkę na grobie pana Nienackiego.

Tymczasem w „Emmanuelle” kamuflaż pozostaje umowny. Oto francuski dyplomata z żoną w trakcie misji w Bangkoku. Tworzą tzw. małżeństwo otwarte i uprawiają poliamięć, co znaczy, że miewają okazjonalne pożycie na boku, ale za wiedzą i przyzwoleniem małżonka. Z tym że Emmanuelle ląduje w ramionach zarówno męskich, jak i damskich, a mąż jej w tym kibicuje. „Pragnę tylko szczęścia mojej żony”, powtarza jak refren. W poszukiwaniu tego szczęścia żona wypuszcza się na miasto, lecz nie sama. Za przewodnika po labiryntach pożądania obrabła sobie finezyjnego geja imieniem Mario, ale i tak kończy się na pośpiesznym współżyciu z przygodnym Azjatą w bramie. Wszystko dla satysfakcji czytelnika, który pomyśli: niby sfery dyplomatyczne, Bangkok i „a, e”, a jak ich przyprze, robią to tak jak ja z moją Michelle albo Maryską.

Jeśli kogoś ta książeczka wciągnie bardziej, może sobie obejrzeć wizualizację, ponieważ od roku 1974 na ekranach kin (oczywiście zachodnich) lądowały kolejne, numerowane części przygód owej nadpobudliwej żony dyplomaty. „Emmanuelle” numer 5 nakręcił nasz rodak Walerian Borowczyk, kiedy udał się na emigrację do Francji, wcześniej wyreżyserowawszy

także pikantne „Dzieje grzechu”. W pierwszej „Emmanuelle” pokazała się Sylvia Kristel, holenderska modelka, i to ona wprowadziła erotykę do głównego nurtu europejskiego kina. Kolejne „Emmanuelle” były na szczytach frekwencyjnych we Francji przez całe lata 70. Oglądano je nawet chętniej niż filmy z agentem 007. Jedno kino przy Champs-Élysées przez kilka lat na okrągło wyświetlało tylko ten jeden film. Oczywiście głównie dla turystów, którzy uważali, że przygody Emmanuelle są taką samą kwintesencją Paryża jak Luwr, wieża Eiffla czy Łuk Triumfalny.

Dochodzenie posunęło się duży krok naprzód

Rzadko uprawianą dziś szajbą literacką jest lektura kryminałów z czasów PRL. Tych wszystkich „srebrnych kluczy”, „jamników”, „labiryntów”. Zwłaszcza że dziś pracuje cały wydajny tłum dostawców podobnej literatury i towar dostarcza hurtowo. Dziełka te najczęściej bywają wzruszająco nieporadne, ale te PRL-owskie są pokraczne na swój jedyny, niepowtarzalny sposób. Intryga rozgrywa się w jakiejś magicznej krainie – z realną działalnością MO nie ma to nic wspólnego, ale i tu na marginesie przebijają się uroczce realia epoki. Sięgam po dziełko mistrza w swojej kategorii, Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego, pod tytułem „Nawet umarli kłamią” (1971). Śledztwo ma podtekst klasowy. Prowadzi je młody milicjant nazwiskiem Kociuba, który po protekcji, dzięki mjr. Downarowi (to stały bohater Zeydlera), dostał się na dwuletnie studia do Słupska, a teraz próbuje rozwiązać zagadkę serii zabójstw w samej stolicy. To nie na głowę biednego milicjanta ze wsi, a choćby i po Słupsku. Gdyby nie pomógł mu Downar, chłopak pewnie musiałby wrócić krowy pasać. Ale pod światłym kierownictwem mentora daje sobie radę w najbardziej



Jeśli kogoś książeczka o Emmanuelle bardzo wciągnie, może sobie obejrzeć jeszcze filmową wizualizację.

elitarnych środowiskach stołecznych. Ze szczególnym uwzględnieniem górnego Mokotowa, co jest – przynajmniej – szczytem wirtuozerii.

Wejźmy jednak w materię powieści. Oto Kociuba wypytuje babcię klozetową. „– Był tu u pani? – spytał, siląc się na spokój. – No chyba, że był. – Co robił? – Też się pan głupio pyta. A co klient u mnie może robić?”. No tak, słupska Sorbona nie na wiele się zdała. Na szczęście Kociuba ma do siebie zdrowy dystans. Pyta go Downar: „– Czy potrafiłbyś odegrać rolę takiego głupawego chłopaka? – Przecież ja jestem ze wsi, panie majorze. A z mojej gęby nie widać, żebym był za bardzo inteligentny”. Sam Downar ma z kolei problemy z rozróżnianiem picia i palenia. Mówi: „– Pierwszą rzeczą, którą zrobiłbym u siebie w domu, to zdjąłbym buty. Cholernie mnie palą”. Zasadniczo buty piły, nie paliły. A zbiorowa mądrość tamtych czasów powiadała: jak kto pije i pali, to wiadomo – harcerz. Poza tym ta skromna książeczka przynosiła mnóstwo bezcennych obserwacji. Oto np. kredo podrywacza: „– Dla mnie kobita musi być zadbana i dobrze odżywiona. Nie lubię desek do prasowania”. W kwestii kobiecej urody czytaliśmy też: „Na okrągłej, banalnej twarzy kosztowne kosmetyki walczyły bez powodzenia z przystawionym zębem czasu”. O jałowej dyspucie w gabinecie pułkownika nadzorującego śledztwo Zeydler pisze: „Rozmowa stawiała się ogólna”.

Skomplikowane ludzkie losy autor prostuje za pomocą zdań, których jasna wymowa pozostaje niekwestionowalna. Dzięki tym bezcennym sformułowaniom czytelnik odnajduje się w świecie powieściowym jak u siebie. Czytamy: „Niech się koń martwi. Ma duży łeb”; „Nie zawsze jest miarodajne to, co twierdzi żona”; „Nie można zawsze mieć 25 lat”; „Z babami to nigdy nie wiadomo”. I wreszcie padają diagnozy wręcz nieśmiertelne: „Życie prędko ucieka. Trzeba korzystać”, a zwłaszcza: „Różnie bywa”.

Osobna legenda wśród kryminałów tamtej epoki to seria niebieskich zeszytów „Ewa wzywa 07...”.

Po pierwsze – prewencja. Bohaterowie „Dekameronu” wyjechali z zagrożonego miasta do pobliskiej winnicy, aby tam przeczekać zarazę.

Inicjatywa kierownictwa resortu, by przybliżyć realia pracy stróżów prawa w atrakcyjnych historyjkach kryminalnych sprzedawanych za przystępną cenę w kiosku, spotkała się z odzewem ze strony rozmaitych lumpenliteratów, adwokatów i funkcjonariuszy na emeryturze. Czas był najwyższy na taką akcję promocyjną MO, bo w roku 1968, kiedy seria wystartowała, organa miały dość szarganą opinię. A literaci? Poszli w to jak w dym. Nie dość, że Wydawnictwo Iskry wypłacało hojne honoraria, to wręcz wyrzywało im z maszyny do pisania wszystko, co nastukali. Poza tym, który z tych pisarzy śmiało by marzył, że wy-

da coś w stutysięcznym nakładzie, że będą dodruki, a ludzie wykupią ich pisaninę bez żadnego przymusu i do zera? Choć i tu zdarzały się wyjątki. Bo zeszyt pod tytułem „Dzień słodkiej śmierci” sprokurował w roku 1969 Janusz Głowacki. Jeden z epizodów umieścił w lokalu o nazwie Lotos na Dolnym Mokotowie (okładka jest z dumą prezentowana w okolicach szatni). Miłośnicy starych kryminałów – a jest to grono w najwyższym stopniu wyrafinowane – spotykają się tam na sesjach poświęconych fenomenologii tych powieści. Również przy cateringu z epoki: seta i galareta. Byłem, uczestniczyłem, uwielbiam.

Tych „Ew...” przez 20 lat ukazało się 146. I wytyczne były takie, by nadział na kiosk wynosił nie więcej niż dwa-trzy egzemplarze, aby społeczeństwo zostało milicyjnymi treściami obdzielone równo i sprawiedliwie. Na przykład historię „Dziewczyna w męskiej koszulce” (1973) skomponowaną przez Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego, żeby daleko nie szukać. Tutaj także całkiem sporo realiów przeziera przez baśniową opowieść o polskim szlaku heroinowym. Do tego przyplątuje się handel żywym towarem, czyli „sprzedawanie” polskich dziewcząt do angielskich klubów. To też nieco problematyczne, bo te dziewczyny same nalegają, by je „sprzedać”. A jak która nie zostanie „sprzedana”, to zaraz leci na MO z donosem. I kiedy funkcjonariusz milicji opisuje taką sfrustrowaną pannicę, która przyszła się poskarżyć,

używa słownictwa fachowego: „Sierżant uśmiechnął się. – Niczego sobie. Taka więcej... tego...”. Śledztwo prowadzi oczywiście mjr Downar, który podrywa dziewczynę (służbowo!): „– Widzę, że ma pan zamiar mnie poderwać – powiedziała z wystudiowaną nonszalancją. – Ostrzegam pana jednak, że to nie takie proste. – Jestem już w tym wieku, że rzeczy proste mnie nie ekscytują – odparował Downar”. Ten sam podryw, Downar pozuje na niebieskiego ptaka: „– Nie skarzę się na trudności finansowe. – Czy można wiedzieć, gdzie pan pracuje? – Och, gdybym pracował, to nie miałbym pieniędzy – roześmiał się ▶

► Downar”. Rzecz dzieje się w Sopocie w sezonie. Oficer milicji: „– To teraz zbiorowisko najrozmaitszych mętów, większych i mniejszych hochsztaplerów, łobuzów, kombinatorów i zwykłych złodziei. Będzie jeszcze gorzej, jak się zacznie festiwal piosenki”. Ale sfery przestępcze majorowi niestraszne, więc „dochodzenie posunęło się duży krok naprzód”. Poza tym czytelnik zostaje zsypany lawiną sentencji mądrościowych o zastosowaniu uniwersalnym: „Koniecznie trzeba się przystosować do każdej sytuacji”; „Z samej wyobraźni trudno się utrzymać”; „Życie, niestety, nie zawsze bywa wesołe”; „Każdy pretekst do zaczepienia nieznamym dziewczyny jest dobry, a czym głupszy, tym lepszy”; „Z wariatkami nigdy nie wiadomo” itd. I wreszcie to, co najcenniejsze ze skarbczyka myśli mjr. Downara: „Żeby skutecznie zwalczać alkohol, należy naprzód zapoznać się dokładnie z jego działaniem na ludzki organizm”. Nic dodać...

Wódz Winnetou i ten drugi

W czasie oferowanym tak hojnie przez epidemię można wrócić też do lektur z młodości. Fakt, to trochę jakby próbować wpakować się w dżinsy z Peweksu, ale przecież nie jest powiedziane, że się nie uda. Sam od czasu do czasu podczytuję Karola Maya, legendę mojej młodości. Ze zdumieniem odkryłem, że eseista tej miary co Marek Bieńczyk poświęcił postaci

Rzadko uprawianą dziś szajbą literacką jest lektura kryminałów z czasów PRL. Tych wszystkich „srebrnych kluczy”, „jamników”, „labiryntów”.

Winnetou spory rozdział w tomie „Książka twarzy” (Nike 2012). A kiedy oglądaliśmy wodza Apaczów w kinie (ach, te bijące w oczy kolory taśmy ORWO), wcale nie przeszkadzało nam, że film jest z NRD, pod prerie podszycją się parki narodowe Jugostawii, a Winnetou gra aktor francuski. I za nic mieliśmy tłumaczenia nauczycieli, że Karol May (1842-1912) nigdy nie był na Dzikim Zachodzie.

Teraz chętniej poczytalibyśmy raczej o życiu samego Karola Maya niż o perypetiach jego bohaterów; więcej w nim było przełomów i awantur, niż się trafiało na Dzikim Zachodzie. Karol dorastał w skrajnej nędzy. Wskutek



Teraz chętniej poczytalibyśmy raczej o życiu samego Karola Maya niż o perypetiach jego bohatera Winnetou.

niedożywienia był ślepy do piątego roku życia. Rodzice próbowali wydobyc się z biedy na wszelkie sposoby, zarabiali nawet szyciem rękawiczek dla nieboszczyków. Zarobili na czesne dla Karola, który wykształcił się na nauczyciela. Szurnięto go jednak już z pierwszej posady – i to zaledwie po 14 dniach – ponieważ dostawiał się do żony gospodarza na przyszkolnej stacji. Zresztą systematyczna praca w ogóle nie leżała w jego charakterze. Z zasady rozglądał się za pieniądzem, a nie za posadą. A to podawał się za

okulistę, a to brał zadatek za przepisywanie nut i zniknął, nie postawiwszy nawet klucza wiolinowego. Innym razem ukradł mundur policjanta. Wkraczał w nim do sklepów, żądając wydania wszystkich banknotów z kasy – twierdził, że są sfałszowane i niniejszym rekwiruje je na potrzeby śledztwa. W tym trybie nie mógł bujać na wolności zbyt długo. Poszedł siedzieć i to go uratowało. Dostał posadę więziennego bibliotekarza, poczytał trochę i w mig pojął, że produkowanie sensacyjnych „odcinkowców” do gazet to łatwe i popłatne zajęcie. Redaktorom kłamał w żywe oczy, że jest marynarzem albo podróżnikiem,

że zwiedził kawał świata i dlatego nikt lepiej od niego nie opisze historii, które rozgrywały się a to w Kurdystanie, a to w Afryce, a to – właśnie! – na Dzikim Zachodzie. Z czasem zaczął te jednorazowe historyjki kompilować w powieści, które sprzedawano już w księgarniach. Natłukł ich przeszło 70 i jeszcze. Zrzynał z innych, czasem z siebie samego. Sodówka szybko uderzyła mu do głowy. Nosił się jak celebryta. Obcinał koniom grzywy i wysyłał to włosie swoim wielbielcom jako fragmenty indiańskich skalpów, które sam zdarł z czerwonoskórych w trakcie wypraw na Dzikim Zachodzie. Kiedy w tej samej serii co jego awanturnicze historie wydano powieść Jacka Londona, oburzył się, że ten amerykański grafoman próbuje się lansować przy jego nazwisku.

Powieści Karola Maya pochłania się w pewnym wieku i później zasadniczo do nich nie wraca (no, chyba że pandemia), a w ogóle czyta się tę literaturę płytko i nieuważnie. Z tym że Karol May trafia też na bardzo wnikliwego czytelnika. Ten doszedł do wniosku, że to niezwykle trafna koncepcja, iż Old Shatterhand, biały mężczyzna, z pochodzenia Niemiec, postawny blondyn o niebieskich oczach (jak aktor Lex Barker), zarządza podległymi sobie plemionami wywodzącymi się z ras ewidentnie niższych. Ten uważny czytelnik nazywał się Adolf Hitler.

Wiesław Kot

Sort lepszy i gorszy

No to mamy w MSZ powrót do czasów pierwszego Skubiszewskiego, kiedy młodego towarzysza wspierał towarzysz doświadczony, ale z podejrzany życiorysem. Ten model oczywiście jest chory, bo na górze powinni być ludzie doświadczeni, z kwalifikacjami, i co najwyżej wspierać ich mogą ci młodszy stażem, ale jakie czasy, takie modele.

W MSZ widać to jak na dłoni na przykładzie podsekretarza stanu ds. polityki azjatyckiej Marcina Przydacza i jedyne podległego mu departamentu – Azji i Pacyfiku, którego dyrektorem został Witold Sobków. Śmiesznie to wygląda – wiceminister nadzoruje tylko jeden departament. Ale robi się jeszcze śmieszniej, gdy porównamy życiorysy nadzorującego i nadzorowanego.

Marcin Przydacz urodził się w roku 1985, skończył prawo na UJ, potem działał w Klubie Jagiellońskim oraz w Centrum Analiz Fundacji Republikańskiej. A jego doświadczenie, jeśli chodzi o pracę w administracji, to lata 2015-2019, kiedy pełnił funkcję zastępcy dyrektora Biura Spraw Zagranicznych w Kancelarii Prezydenta RP. Do MSZ przyszedł rok temu i powierzono mu nadzór nad polityką wschodnią, współpracą rozwojową oraz dyplomacją ekonomiczną. Teraz jest od Azji. No i – jeśli zauważymy jego medialną aktywność – od wysyłania samolotów po polskich turystów w związku z pandemią koronawirusa. Jak widać, nie ma specjalnego znaczenia, co nadzoruje, czy Wschód, czy Azję, zdaje się – biorąc pod uwagę jego doświadczenie i wiedzę – że może nadzorować wszystko.

A jego podwładny, Witold Sobków? Rocznik 1961, do MSZ przyszedł w roku 1991. Był ambasadorem w Irlandii, stałym przedstawicielem RP przy ONZ, ambasado-

rem w Wielkiej Brytanii. W centrali zaś m.in. wicedyrektorem Departamentu Europy Zachodniej, dyrektorem Departamentu Systemu Narodów Zjednoczonych, dyrektorem politycznym MSZ, a teraz został dyrektorem Departamentu Azji i Pacyfiku. No i był jeszcze... podsekretarzem stanu. Krótka, nieco ponad dwa miesiące, gdy w MSZ szefowała Anna Fotyga. Zakończyło się to bardzo niezręcznie – bo Sobkowi utraciła ABW, cofając mu dostęp do tajemnic państwowych.

Jaki był powód? Nie ujawniono. Ale od tego czasu Sobków pozycji w obozie PiS już nie odzyskał. Lepiej miał z PO. Minister Sikorski mianował go ambasadorem w Londynie i była to dobra decyzja, Sobków był aktywnym szefem placówki. Może nawet w oczach PiS zbyt aktywnym, bo wypominano mu tweety, które zamieszczał, gdy do Londynu przyleciał Lech Wałęsa na premierę filmu „Wałęsa. Człowiek z nadziei”. Oto one: „Na premierze owacja dla LW na stojąco!”. I jeszcze jeden: „Tak wiele osób zapomniało już, jak było nam kiedyś źle. Respect!”.

Co na to PiS? Gdy w MSZ nastał Witold Waszczykowski, Sobków był jednym z pierwszych ambasadatorów, których wymienili. Choć – dodajmy – stało się to już po zakończeniu czteroletniej kadencji. Potem wypchnięto go z funkcji dyrektora politycznego MSZ.

A teraz powierzono mu konkretną pracę, szefowanie departamentowi, który obsługuje połowę świata. Wszystko zaś pod okiem wiceministra, który wcześniej w MSZ niczym nie kierował ani nie był na żadnej placówce.

Owocnej współpracy!

Attaché



Utrzymuj separację! W centrum handlowym w Surabai w Indonezji ułatwiają to naklejone w windzie znaczniki.

PENETRACJE

Press **ANDRZEJ SKWORZ,** REDAKTOR NACZELNY

Byłem pewien, że sprawa zostanie zamieciona pod dywan. Wyniki śledztwa OKO.press w Wirtualnej Polsce poruszyły redakcję. Wyszło na jaw, że Tomasz Machała, redaktor naczelny WP, kazał swoim dziennikarzom napisać 400 panegirów ku chwale premiera, ministra Ziobry oraz dla promowania polityki rządu. Jakoś mnie to nie zdziwiło, bo już w lipcu 2018 r. pisaliśmy w „Press”: „Pierwsze symptomy ocieplenia między Wirtualną Polską a rządem PiS można było zauważyć w grudniu 2017 r. Przykładem styczniowy wywiad z Patrycją Kotecką, żoną Zbigniewa Ziobry, a obecnie dyrektor marketingu Link4”.

ANGORA **ANDRZEJ ZAWIEJA,** ŻEGLARZ, TRENER

Na preolimpiadzie w Pekinie było gorąco i duszno. Mateusz Kusznierewicz ciągle wychodził ostatni, nie chciał na tej wodzie siedzieć. Raz dwa palce straciłem przez niego. Ten mi wisiał, a ten wpadł do wody. Miałem transplantację. Chińska lekarka paznokcie wzięła z tego, tu dołożyła, tu zaszyła. Nie mam linii papilarnych. Mateusz wyszedł tak późno z hotelu, że nie mógł zdążyć na start. Rzucili mi szybko linę. Robiłem węzeł, ale to była lina nie do holowania, ale do dźwigu. Szarpnęło. Krew się lała, wykrwawiałem się. Wezwałem pogotowie przez radio.

To mogło się zdarzyć, ale najgorsze było jego nastawienie: jak najpóźniej, jak najmniej. I takie są potem efekty.

DUŻYFORMAT **TOMASZ SEKIELSKI,** REPORTER

To nie kontynuacja „Tylko nie mów nikomu”. Temat ten sam, ale otwieramy zupełnie nowy wątek. Opowiemy historię księdza, który ma na koncie wiele ofiar. My wiemy o kilkunastu, a musiało być ich więcej. Ten ksiądz jest ciągle chroniony. Przy okazji przyglądamy się więc, jak wyglądają w Polsce relacje między Kościołem a wymiarem sprawiedliwości. Znow będą ofiary pokazujące twarze.

PRZE KRÓJ **PROF. BARTŁOMIEJ** **DOBROCYŃSKI,** PSYCHOLOG, INSTYTUT PSYCHOLOGII UJ

Z myśleniem jest jak z seksem: jest go i za dużo, i za mało. Generalnie uważam, że myślenia racjonalnego, wysoko-jakościowego jest za mało. Za dużo jest myślenia oderwanego od rzeczywistości, nawykowego, które w buddyzmie nazywa się mentalną paplaniną. Stosujemy myślenie w wielu sytuacjach, w których ono tylko przeszkadza. Przeceniamy myślenie jako narzędzie relacji ze światem kosztem ciała i zmysłów. A czasem trzeba pójść za impulsem, za uczuciem. Wybrać coś, co jest niemal irracjonalne.

Aby język giętki...

SZYMON HOŁOWNIA O „CHODŹ, TYGRYSIE”

Trzeba wielkiej miłości, by we mnie lub Władku Kosiniaku zobaczyć tygrysa. Miłość to wielka siła.

STANISŁAW TYM **O ABP. MARKU JĘDRASZEWSKIM**

Wymyślił sobie tęczową zarazę, a teraz, kiedy przyszła prawdziwa, to jakoś milczy.

WOJCIECH MANN O RADIOWEJ TRÓJCE

Kiedy grupa „fachowców” zabrała się za reperację tego, co nie wymagało reperacji, to słuchalność spadała na łeb na szyję.

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ **O RELACJACH Z USA**

Stany Zjednoczone cynicznie wykorzystują służalczość pisowskiej ekipy.

PROF. JERZY BRALCZYK O LUKSUSIE

To słowo kojarzy mi się z pewną pretensjonalnością, a nawet z nadmiernym celebryctwem.

HANNA BAKUŁA **O RYSOWANIU OLGII TOKARCZUK**

Bardzo mi się podoba fizycznie. Wygląda jak misio. Ma dwa okrągłe oczka, okrągłe czoło z grzywką, ma nos bez znaczenia, okrągłe usta.

MARIUSZ TRELIŃSKI O PRACY

Nie lubię nawet wychodzić na przerwy w czasie prób, nie przepadam za wizytami w bufecie. To mnie dekoncentruje.

AGATA PASSENT O OJCU DANIELU

Już dawno mógłby być na emeryturze, ale woli pisać felietony i prowadzić audycje radiowe. Wieczorami baluje, a poranki spędza na rehabilitacji.

MAJA KŁECZEWSKA O NIENORMALNOŚCI

Jako artystka całe życie przekraczam normy, pracuję w nienormalnych godzinach, w nienormalnych emocjach, nienormalnych sytuacjach.

JULIUSZ BRAUN O MAGDALENIE OGÓREK

Odeszła z telewizji publicznej do TVN, potem do SLD, a potem znowu znalazła się w TVP i udaje, że jest dziennikarką.

MONIKA ZAMACHOWSKA **O MĘŻU ZBIGNIEWIE**

Córka źle znosiła obcego mężczyznę w domu. Była strasznie najeżona. To długo trwało.



Statua Chrystusa Odkupiciela w Rio de Janeiro w barwach krajów dotkniętych epidemią.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Masz babo Jacek i Placek...

Władze chińskiego miasta Chengdu planują do końca roku umieścić na orbicie „sztuczny księżyc”, który nocą będzie oświetlał metropolię. Satelita ma świecić osiem razy mocniej od Księżyca w pełni, dzięki czemu z ulic znikną latarnie i zaoszczędzona zostanie energia. Astronomowie alarmują, że w efekcie nad miastem nie będzie już można zobaczyć rozgwieżdżonego nieba, a przyrodnicy – że inwestycja będzie miała niekorzystny wpływ na naturalne cykle dobowe zwierząt. Podpowiadamy: znajdźcie dwóch takich, którzy ukradną niechcianego satelitę!

Cenzura nie wygra

Z inicjatywy organizacji Reporterzy bez Granic w popularnej grze komputerowej Minecraft powstała Nieocenzurowana Biblioteka. Za jej pośrednictwem gracze z Egiptu, Meksyku, Rosji, Arabii Saudyjskiej oraz Wietnamu – krajów, które wyjątkowo kiepsko wypadają w rankingach wolności prasy – mogą w bezpieczny sposób zapoznać się z tekstami aktywistów na rzecz praw człowieka oraz reportażami śledczymi, których autorzy zostali zamordowani. Bibliotekę „oddano do użytku” z okazji obchodzonego 12 marca Światowego Dnia Przeciwko Cenzurze Internetu.

Tylko dla pięknych, zdrowych i bogatych

Cenzurę wspiera za to inny społecznościowy fenomen – aplikacja TikTok służąca do wymieniania się krótkimi nagraniami wideo. Z dokumentów, do których dotarli dziennikarze portalu The Intercept, wynika, że jej moderatorzy ograniczali zasięg treści tworzonych przez wybranych użytkowników. Na cenzurowanym znalazły się m.in.



osoby uznane za brzydkie, chorujące na otyłość i ludzie z zespołem Downa. „Jeżeli wygląd bohatera wideo bądź sceneria nie są zachęcające, to będzie ono mniej atrakcyjne, niegodne polecenia nowym użytkownikom”, pouczają wewnętrzne wytyczne TikToka.

Nieoczekiwana zamiana miejsc

Jeden z najpopularniejszych wodnych ogrodów zoologicznych w USA, Shedd Aquarium w Chicago, został zamknięty dla odwiedzających z powodu epidemii koronawirusa. Opiekunowie żyjącego tam stada pingwinów stwierdzili, że to wyjątkowa okazja, by podopieczni mogli stwierdzić część placówki. Z opublikowanego w sieci wideo można wywnioskować, że szczególnie ekscytująca dla uczestników wycieczki była wystawa kolorowych amazońskich ryb. Na podobny pomysł wpadli pracownicy Oregon Zoo, dzięki czemu mieszkające w nim słońtako miało okazję poznać m.in. lwy. Na dodatek morskie.

Na kłopoty Jahwe

Tymczasem w Izraelu znaleziono obiecujący sposób na powstrzymanie zarazy. Rabin Aryeh Lipo ogłosił, że jest ona karą za to, że nadal nie odbudowano Świątyni Jerozolimskiej, zburzonej przez Rzymian w 70 r. n.e. Na podstawie tekstów religijnych przekazuje, że powrót „korony” na Wzgórze Świątynne „usunie koronę cierpienia,

MEMY BEZ ŚCIEMY





Mistrzostwa Europy w piłce nożnej zostały z wiadomych powodów przesunięte na rok 2021. Jest zatem więcej czasu, by dobrze się przygotować.

koronawirusa, ze świata". Może rzeczywiście warto spróbować – jeśli zadziała, powinno wyjść taniej niż prace nad szczepionką.

Młode, gołe i wirtualne

Algorytmy sztucznej inteligencji znajdują coraz to nowe zastosowania. Strona These Nudes Do Not Exist po uiszczeniu opłaty w wysokości dolara generuje realistyczne zdjęcia erotyczne nieistniejących kobiet. Na razie oferta witryny jest uboga – same fotki topless białych pań w wieku 20-40 lat. Wkrótce jednak ma się pojawić więcej opcji: zdjęcia w innych pozycjach, zdjęcia panów i być może filmy.

Pierogi Kuszą Smakiem

Nowe technologie rozkwitają także na Wyżynie Lubelskiej. Na przystanku PKS w Poniatowej staną pierwszy w Polsce pierogomat. Umożliwia on zakup cenionych pierogów wytwarzanych przez Hotel Tukan bez konieczności stania w kolejce, co ma szczególne znaczenie w sytuacji zagrożenia epidemiologicznego. Pomysłodawcy innowacji zapewniają, że wyroby umieszczane w urządzeniu są zawsze świeże i najwyższej jakości – nie różnią się niczym od tych sprzedawanych w lokalu.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuta,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Turniłowicz,
Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredytorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyznar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chilecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

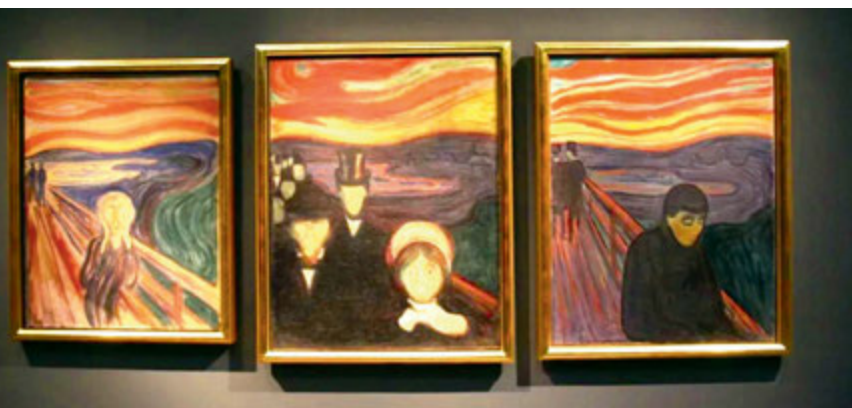
KOD SWIFT: WBKPLPPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



ZWIEDZANIE W DOMU

Od starożytności po sztukę współczesną – zajrzyj do najpiękniejszych muzeów na świecie, nie ruszając się z kanapy; wybierz się na wycieczkę Street View, aby odkryć ogromną kolekcję obrazów, rysunków, rzeźb, rękopisów i fotografii. Wystarczy odwiedzić witrynę Google Arts & Culture. Aby zwiedzić online muzea w Polsce za darmo, wystarczy wejść na stronę internetową danej placówki kulturalnej i po prostu rozpocząć oglądanie przygotowanych symulacji, zdjęć, nagrań itp. Nie trzeba się rejestrować, aby skorzystać z zasobów udostępnionych w internecie przez muzea, na www.e-muzeum.eu, a także na profilach muzeów, teatrów i innych instytucji kultury w mediach społecznościowych.



„Krzyk”, „Niepokój”, „Rozpac”, Edvard Munch



„Usta”, Salvador Dali



„Żniwa w La Crau z Montmajour w tle”, Vincent van Gogh

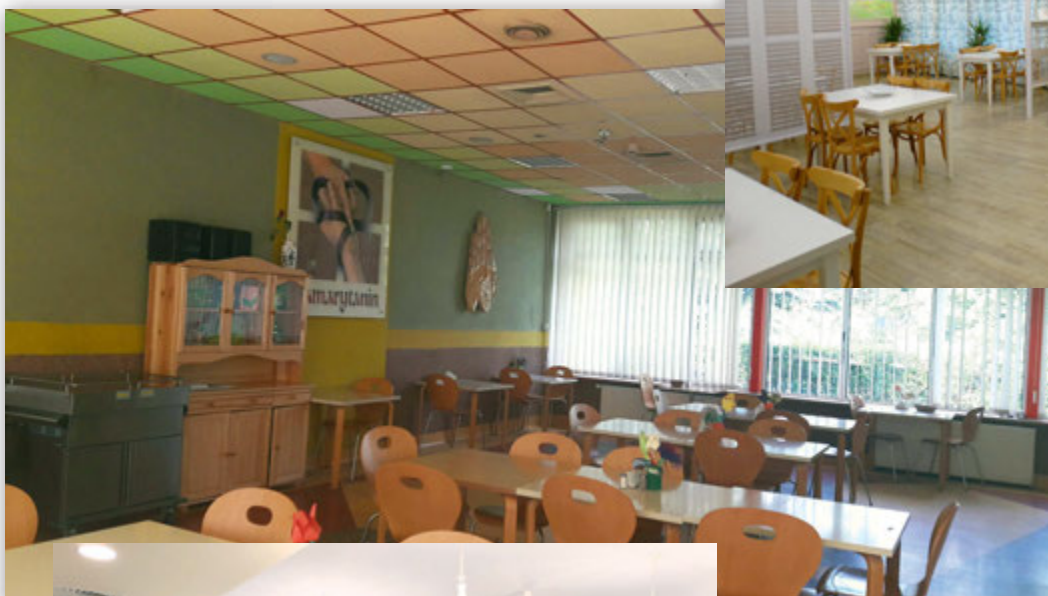


„O lavlador de café” (Zbieracz kawy),
Candido Portinari



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Panny z Awinionu”, Pablo Picasso



TWÓJ 1%

WESPRZE „KĄCIKI BABCI
I DZIADKA” W DPS.

Na 100% !!!



FUNDACJA JOLANTY KWAŚNIEWSKIEJ
Porozumienie Bez Barier

Fundacja Jolanty Kwaśniewskiej
„Porozumienie Bez Barier”

KRS 0000167578



100 000 DZIECI Z CAŁEJ POLSKI DOWIEDZIAŁO SIĘ JAK PRAWIDŁOWO DBAĆ O ZĘBY

20 marca, w Światowy Dzień Zdrowia Jamy Usťnej, oficjalnie zakończyła się 7. edycja programu edukacyjnego „Dziel się Uśmiechem”, organizowanego od 2013 roku przez Mars Polska oraz Polski Czerwony Krzyż. Akcję jak co roku wspierali partnerzy merytoryczni – Polskie Towarzystwo Stomatologii Dziecięcej i Polskie Towarzystwo Stomatologiczne. Ambasadorką kampanii była Magdalena Róźczka. Aktorka znana z zaangażowania w inicjatywy społeczne, aktywnie pomagała budować świadomość problemu próchnicy.

W trakcie 7. edycji blisko **100 000 uczniów w 683 szkołach podstawowych i placówkach oświatowo-wychowawczych w Polsce** wzięło udział w lekcjach, na których poznali zasady prawidłowej higieny jamy usťnej. Każde z dzieci otrzymało zestaw składający się z zeszytu edukacyjnego, pasty i szczotki oraz beczukrowej gumy do żucia.

Firma Mars Polska, która w całości finansuje program „Dziel się Uśmiechem”, co roku przekazuje na jego realizację 1% ze sprzedaży gum Orbit® we wskazanym okresie. W 7. edycji akcją zostały objęte produkty sprzedawane w sklepach stacjonarnych od 1 września do końca października 2019. 1% ze sprzedaży w tym okresie wyniósł **800 528 złotych**.



W ciągu siedmiu edycji programu:

- ✓ dotarliśmy do ponad **600 000 dzieci**
- ✓ na realizację programu przeznaczono ponad **5 400 000 zł**
- ✓ współpracowaliśmy z **ekspertami i kluczowymi przedstawicielami** branży dentystycznej

Więcej informacji na stronie: <https://mojorbit.pl/dziel-sie-usmiechem>

Organizatorzy:

MARS



Partnerzy merytoryczni:

PTSD
Polskie Towarzystwo Stomatologii Dziecięcej



**POLSKIE TOWARZYSTWO
STOMATOLOGICZNE**